

BEZ
DEKRETU

KRAKÓW NR 19

BEZ DEKRETU

PISMO CZŁONKÓW i SYMPATYKÓW
SOLIDARNOŚCI

NR 19

KRAKÓW 1988

SPIS TREŚCI

NASZA ROZMOWA

1. Dlaczego książka jest droga? - rozmowa z Oficyną Literacką3

TEMATY

2. Jan Maria Rokita - Traktat waszyngtoński z polskiej perspektywy7
3. Aleksander Paszyński - Drogi i bezdroża reformy11
4. Teresa Groman - Wiersze 15 i 43

POMYSŁY POLITYCZNE /I/

5. Stracona szansa? - czyli Towarzystwo Gospodarcze
/Aleksander Paszyński/16
6. Przełamać dominację systemu monopartyjnego - czyli samorząd
pracowniczy /rozmowa z doc.Szymonem Jakubowiczem/19
7. Uponiść się o legalne formy działania - czyli Gdański Klub
Polityczny /Aleksander Hall/24
8. Lesław Maleszka - Myśli przedwczorajsze i pytania na dziś26
9. Edmund Wierciński - Gałązki akacji30
10. Mateusz Zawieja - Pamięć historii39
11. Tomasz Gluziński - Coraz mocniej43

KLASYCY

12. Marek Tomaszewski - Aleksander Wat: pamięć i wygnanie44
13. Alain Besançon - O trudnościach zdefiniowania systemu radzieckiego50
14. Andrzej Wiernikowski - Targi Książki we Frankfurcie59

NASI ULUBIENICY

15. prof.Maciej Giertych - Wypowiedź dla Radia Watykańskiego64

OMÓWIENIA

16. S.L. - Książka specyficznie nieobecna66
17. Adam Waksman - "Widnokrąg"69
18. Konrad Struga - Tumany i fetysze: Naród się broni72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by "Bez Dekretu"

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Maria de Hernandez-Paluch
Paryż, Francja

NASZA ROZMOWA

Dlaczego książka jest droga?

ROZMOWA Z OFICYNĄ LITERACKĄ

Red.: *Rozmowa będzie o pieniądzach. Spróbujemy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego książka podziemna jest droga? Jak prosperują wydawnictwa niezależne? Wedle jednych - z trudem wychodzą na zero, utrzymując się przy życiu tylko dzięki dotacjom. Wedle innych - robią wielkie interesy i zarabiają krociowe sumy. A tak naprawdę...*

A.: Wydawnictwa trzeba podzielić na dwie grupy - na te, które trudnią się przedrukami książek z Zachodu oraz te, których dorobek w większej części stanowią pozycje autorskie: publikacje oryginalne i tłumaczenia. Sytuacja finansowa obu grup przedstawia się zupełnie inaczej. Firmy zajmujące się przedrukami nie ponoszą kosztów autorskich i redakcyjnych, które dochodzą nawet do 30% ceny książki. Działalność tych oficyń przynosi więc zysk, choć wbrew pozorom wcale nie tak duży.

Red.: *Jaki?*

A.: Sytuacja finansowa każdej dosłownie firmy jest jedyna w swoim rodzaju, bo wiem na jej kształt ostateczny wpływa ogromna masa czynników, często nieporównywalnych. Przyjmijmy jednak jakieś przybliżenie. Wydawnictwo zajmujące się przedrukami przeważnie nie posiada własnej maszyny, czyli robi "na dojeściu". Jeśli cena maksymalna jednej strony druku offsetowego formatu A 5 wynosi 4,50 zł, to koszt materiałów i druku tej strony "na zamówienie" kształtuje się około 2,30-2,50 zł. Odejmiemy jeszcze 0,70 zł /15%/ dla kolporterów - zostało nam około 1,35 zł. To wciąż nie stanowi czystego zysku małej firmy; trzeba odjąć cenę wynajmu jednego przynajmniej lokalu, eksploatacji samochodu i tak dalej. Kalkulując najniżej, jak na to pozwala zdrowy rozsądek, uzyskamy zysk 80-90 gr z jednej strony zadrukowanej.

Red.: *20% w stosunku do poniesionych nakładów?*

B.: Co najwyżej. Co to oznacza w praktyce? Po pierwsze - gdyby ci ludzie poszli do pracy w państwowej firmie, zarobili by tyle samo. Po drugie - uzyskując zysk poniżej 25% nie inwestują, zatem nie rozwijają tej imprezy. Wydajesz książkę, czekasz parę miesięcy na spływ pieniędzy z kolportażu, nic w tym czasie nie robisz, bo cię na to nie stać. W końcu odbierasz trochę grosza, więc znowu rozkręcasz interes, żeby po paru miesiącach wydać drugą książkę - i tak w kółko. Jałowy bieg.

Red.: Teraz o sytuacji dwóch firm drukujących pozycje autorskie.

A.: Sytuacja ulega radykalnej zmianie. Druk pozycji oryginalnej kosztuje tyle samo, co przedruk - o tym, jak zmieniają się jego koszty z chwilą zdobycia własnego sprzętu, powiemy trochę później. Do tego jednak dochodzą dalsze wydatki. Po pierwsze - honorarium autorskie. Płaci się je w wysokości średnich wynagrodzeń obowiązujących w wydawnictwach państwowych - aktualnie 25 tys. zł za arkusz wydawniczy. My płacimy 20 tys. zł za arkusz.

B.: Co nie jest sprzeczne z polityką finansową oficyn państwowych, mogą one bowiem płacić od połowy do półtorakrotnej wysokości stawki podstawowej honorarium autorskiego.

A.: To raz. Dwa - koszty redakcyjne, również kalkulowane w oparciu o stawki w wydawnictwach oficjalnych. W przypadku przekładów z języków obcych często potrzebne są dwie redakcje tekstu. Oficyna Literacka poświęca temu dużo uwagi i oczywiście pieniędzy. Trzy - maszynopisanie. Cztery - korekta, a właściwie co najmniej dwie korekty. Pięć - redakcja techniczna, opracowanie graficzne tytułów, makietowanie. Na każdym z tych etapów musimy, rzecz jasna, ponieść wydatki.

Red.: Książka znalazła się w miejscu, gdzie przeniesiona zostanie na blachy offsetowe, a wy już zdążyliście wydatkować z planowanej ceny 4,50 zł za stronę - około 1,50 zł na samo opracowanie tekstu do druku.

A.: Niekoniecznie aż tyle. To zależy od nakładu książki - im wyższy nakład, tym niższy udział kosztów opracowania książki w jej cenie. Koszta te granicznie dochodzą do 30%, lecz przeważnie wahają się koło 20-25%.

Red.: Innymi słowy - są książki, które już na tym etapie okazują się deficytowe.

B.: Tak. Rzecz dotyczy pozycji niskonakładowych, o których z góry wiadomo, że będą cieszyć się zainteresowaniem niezbyt szerokiego kręgu czytelników. Ostatni przykład: zbiór szkiców krytycznoliterackich Tadeusza Komendanta "Zostaje kantyczka".

Red.: To po co wydajecie takie książki?

B.: Bo ich pojawienie się stanowi wydarzenie kulturalne, bo cieszą się żywym zainteresowaniem elit intelektualnych, czego też nie sposób lekceważyć. Nie można robić wszystkiego, szczególnie w niezależnym ruchu wydawniczym, z myślą wyłącznie o forsie. Na całym świecie do filozofii czy krytyki literackiej dokłada się pieniądza.

Red.: W jaki sposób kalkulujecie nakład książki?

A.: W oparciu o dotychczasowe doświadczenie, a tak szczerze mówiąc - na wyczucie.

B.: I zamówienia kolportażu. Przy każdym tytule pytamy kolporterów, ile chcą u nas zamówić egzemplarzy danej pozycji. Ale ta metoda bywa cudownie zwodnicza, podobnie jak zwodnicze są nazwiska, tytuły... "Solidarność i samotność" Zagajewskiego, mimo przeciętnego nakładu, rozchodziła się z dużym trudem i do dziś zalega magazyny.

A.: Natomiast poezje Josifa Brodskiego wydaliśmy dwukrotnie w przeciągu dwóch lat i to w całkiem sporym nakładzie. Tomik sprzedawał się doskonale mimo powszechnych opinii, że poezja "nie idzie". Dla nas samych popularność tej książki była dużym zaskoczeniem.

B.: Bardzo sobie cenię książkę Zagajewskiego i sądzę, że wydalibyśmy ją nawet wówczas, gdybyśmy mieli pewność, że z komercyjnego punktu widzenia trzeba będzie do niej dopłacić. Oczekiwaliśmy jednak, że będzie to udane przedsięwzięcie handlowe. Z czasem sprzedamy ten nakład do końca, tyle że nie bez strat wynikających z inflacji pieniądza. Inne złotówki włożyliśmy w druk, inne spływają do nas w rok po zakończeniu prac wydawniczych.

Red.: Byliście jedną z pierwszych firm niezależnych testujących komputerowy program redakcji tekstu, opracowany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą. Na ile komputery rewolucjonizują działalność oficyn specjalizujących się w pozycjach autorskich? Na ile pozwalają obniżyć koszty prac redakcyjnych?

A.: Nie przesadzajmy z tą rewolucją. Mając komputer nie musisz parokrotnie przepisywać maszynopisu, robić kilku korekt... Żeby tę technologię rozwinąć, trzeba dysponować co najmniej paru komputerami. Ktoś inny przepisuje tekst z licznymi poprawkami, ktoś inny go redaguje, ktoś inny pracuje nad korektą. Nie sposób wozić jednego komputera z domu do domu. Potrzeba paru komputerów, co pozwoli na obieg dyskiety. Tu dotykamy drażliwej sprawy - mówiąc prosto, ceny komputera. Jest ona, jak na nasze możliwości, zbyt wysoka. Zakup kilku komputerów byłby dla nas inwestycją ogromną. We własnym zakresie nie stać nas na to.

Mimo to duże firmy wydawnicze starają się w całości opierać na własnym sprzęcie. Dokonują więc inwestycji, które mają szansę amortyzacji po wielu, wielu latach.

Red.: *Przecież macie przyjaciel na Zachodzie, którzy przysyłają wam sprzęt, komputery...*

A.: *Może i tacy są. Nam jakoś nie przysyłają. Komputerów w każdym razie ani oporzędowania do nich nie otrzymaliśmy od nikogo. Sami to sobie załatwiamy własnymi kanałami.*

Red.: *Z budżetu Oficyny Literackiej?*

A.: *Przeważnie tak.*

Red.: *Idźmy dalej. Książka została zamkietowana...*

A.: ... a następnie przygotowuje się płyty offsetowe. Te płyty trafiają na maszyny...

B.: ... tak zwane maszyny - jeśli pracuje się na własnym sprzęcie. Żaden producent offsetów nie poznałby swoich wyrobów, patrząc na coś, na czym drukuje się książka.

A.: *Etap następny - introligatornia. Falcowanie, składanie, klejenie grzbietów, okładki, obcinanie. Ostatni etap - magazyny kolportażowe i spedycja.*

Red.: *Własny kserograf i offset jest dużo tańszy niż "dojście"?*

A.: *I tak, i nie. Własna maszyna jest oczywiście tańsza w bezpośredniej eksploatacji. Wydrukowanie na niej jednej strony kosztuje znacznie mniej, niż płać się drukarzowi "na dojściu". Jeśli natomiast offset się zepsuje, dokupienie doń brakującej części stanowi wydatek rzędu setek tysięcy złotych. Po raz dwa - własny sprzęt to nie tylko pensje drukarzy. Również koszty organizacyjne: wynajęcia lokalu, transportu, magazynów i tak dalej.*

Red.: *Ceny wynajmu mieszkań - jakie są, każdy widzi. Jeśli właściciel decyduje się wynająć lokal na podziemną poligrafie, śada...*

A.: *Pomirny to. Krótko mówiąc - sum bajorńskich. Przeważnie, acz nie jest to regularną.*

Red.: *Zrozumiałe, że maszyny zużywają się w toku eksploatacji. Czy jednak, jak to się coraz częściej styższy, trafiają się maszyny niesprawnie już w chwili ich wyładunku w kraju?*

A.: *Mówisz tak, jak gdyby offseety stanowiły narzędzie pracy powszechne w podziemnej poligrafii. Tymczasem nadal są one "zjawiskiem", ich ilość jest po prostu b. niewielka. Wszystkie większe firmy realizują znaczną część produkcji "na dojściach".*

B.: *Po pierwsze - są to maszyny małe i słabe, nie przeznaczone do wysokonakładowej produkcji. Projektowano je z myślą o pracy w biurach czy bibliotekach. Po drugie - bardzo rzadko przychodzą do kraju maszyny fabrycznie nowe. Na ogół mają za sobą remont kapitalny. Po trzecie - z uwagi na konieczność konspiracyjnego transportu maszyny są częściowo rozmontowywane. Zdarzały się przy tym zagubienia części i uszkodzenia. Trafiły się offseety, których po dziś dzień nie udało się uruchomić z uwagi na stopień zdekompletowania.*

A.: *Najczęściej brakuje zespołów farbowo-wodnych. Ich koszt zakupu na Zachodzie równy jest jednej czwartej ceny całej maszyny.*

Red.: *Stan ten rodzi niekiedy legendy o uruchomieniu własnej wytwórni offseetów.*

A.: *To jest technicznie niewykonalne, już z uwagi na bariery materiałowe. Brak na przykład w kraju tworzyw koniecznych do produkcji niektórych elementów.*

Red.: *A części zamienne?*

A.: *Dorabianie części mechanicznych jest na porządku dziennym. Mimo iż chodzi o detale, dla których wymagana jest niezwykle wysoka precyzja wykonania.*

Red.: *Pozą offseetami są jeszcze kserografy, a także drobny sprzęt: gilotyny, urządzienia ułatwiające składanie.*

A.: *Trudno mówić o produkcji kserografów. Jednostkowo zdarza się, że można złożyć coś takiego z części kupowanych na zamówienie. Nikt tego nie robi na większą skalę. Gilotyny... jest trochę lepiej.*

Red.: *Co się da wymyślić przy tak znużonej pracy, jak falcowanie i składanie?*

B.: *Nic. To się robi ręcznie. W państwowych zakładach małej poligrafii również ręcznie. Istnieją ogromne i bardzo hałaśliwe maszyny do tego typu prac. Ich zainstalowanie w budynkach mieszkalnych jest absolutnie niemożliwe.*

Red.: *Jak płacicie waszym pracownikom pioni technicznego?*

A.: *Czasem pensje, czasem ryczałty. Blizszych szczegółów ci nie podam.*

Red.: *Jaki procent w cenie książki stanowią koszty czysto techniczne?*

A.: *Około połowy.*

Red.: *Stale drożeje papier.*

A.: W r.1981 paczka papieru offsetowego formatu A 4 kosztowała nieco powyżej 30 zł.Dziś ta paczka w handlu społecznym ma kosztować ponad 550 zł.Wiadomo jednak, że w sklepach papieru nie ma.Trzeba się weń zaopatrywać na czarnym rynku, gdzie cena może nawet trzykrotnie przewyższać cenę oficjalną.

Red.: *Parę zdań o kolportażu.*

A.: Staramy się, by jego koszt nie przekroczył 17% ceny pozycji, wliczając w to również wydatki związane ze składowaniem i transportem.

B.: Marża dla kolporterów zależy od ilości zamówionych pozycji. Nie przekracza 15% wartości zamówienia.

Red.: *Jak funkcjonuje kolportaż? Chodzi mi nie o opis systemu, bo jest on z grubsza znany, lecz o jego ocenę.*

A.: Jak dotąd nie odczuwamy trudności związanych z kolportażem...

B.: Nie zgadzam się. To czemu w takim razie zmniejszyliśmy nakład podstawowy?

A.: Nie tu leży problem. Bylibyśmy w stanie produkować i sprzedawać większe nakłady niż te, które robimy. Barierę stanowi szybkość spływu pieniędzy. Zamrożenie dużej gotówki w towarze prowadzi do zahamowania produkcji bieżącej.

B.: Powoduje realny spadek zysków, związany z inflacją pieniądza. Podwyższa koszt stałe wydawnictwa - za wynajęcia lokale musimy płacić czynsz bez względu na to, czy coś tam robimy, czy w danej chwili stoją puste.

A.: Byłoby sytuacja idealna, gdyby pieniądze z kolportażu spływały do nas w ciągu miesiąca. Realnie ten czas sięga trzech miesięcy do pół roku. Jeśli przekracza trzy miesiące, publikacja z każdym dniem staje się bardziej deficytowa.

B.: Wpadki policyjne stanowią tylko niewielką część ogólnego braku spływów pieniędzy. Reszta - to ludzka nieuczciwość.

Red.: *Jaki procent nakładu zostaje "skradziony" przez kolporterów?*

A.: Czasem nawet więcej niż 10%.

Red.: *Czy istnieją sankcje przeciw tego typu kolporterom?*

A.: Jakże?

B.: Można się obrazić i więcej nie dawać. To wszystko, co możliwe.

Red.: *Jeszcze jeden temat. Czemu stują dotacje Funduszu Wydawnictw Niezależnych?*

A.: Oficynie Literackiej umożliwiły inwestycje. Większość dotacji przeznaczaliśmy na zakup sprzętu. Staramy się nie wykorzystywać subwencji na dofinansowywanie produkcji bieżącej. Nie mówiąc już o ich zwyczajnym "przejadaniu".

Red.: *Poza dotacjami z FWN otrzymaliście pewne kwoty rekompensujące koszty edytorskie paru pozycji wydawniczych.*

A.: "Kadencję" J.J. Szczepańskiego dotował Komitet Kultury Niezależnej, pokrywając honorarium autorskie. W przypadku "Obecności" - Księgi pamiątkowej poświęconej jubileuszowi 60-lecia pracy twórczej Leszka Kołakowskiego, wydawca zachodni poniósł koszty honorariów; nadto otrzymaliśmy pomoc finansową, która pozwoliła zaledwie na pokrycie kosztów maszynopisania. Jak na razie to wszystko.

B.: Wydaliśmy dwa numery "Almanachu Humanistycznego"; Społeczny Komitet Nauki sfinansował prace redakcyjne nad jednym numerem.

Red.: *Podsumujmy dotychczas powiedziane. Bilans roczny Oficyny zamyka się gdzieś jako zero?*

A.: Lekko poniżej. Szczerze mówiąc, sami do końca nie mamy jasności w tej materii, nie sposób bowiem po policzeniu sum zamrożonych w kolportażu oszacować, ile z tego do nas wróci i za jak długo, ile przepadnie bezpowrotnie. Bez wliczenia dotacji wypadła per saldo jakieś minus kilkadziesiąt tysięcy złotych. Pod warunkiem zwrócenia przez kolporterów zaległych dwóch milionów złotych. Prawda, co roku dokupujemy coś ze sprzętu, coś usprawniamy - choć w dużym stopniu jest to tylko wymiana rzeczy całkowicie zużytych i wyeksploatowanych.

Red.: *Koniec o pieniądzach. Może chwilę o rzeczach przyjemniejszych. Plany wydawnicze...*

A.: No, szerokie. Dużo atrakcyjnych pozycji autorskich...

B.: Frontem do czytelnika. Ze względu na jakość przekładu zrezygnowaliśmy z wydania "Zwrotnika Raka" Henry Millera, ale myślimy o paru pozycjach, które zrekompensują brak tego arcydzieła na krajowym rynku czytelnicy.

Red.: *Mówiąc serio, wydajecie przede wszystkim literaturę piękną. Nie boicie się poezji, od której inni wydawcy raczej stronią. W znacznie mniejszym stopniu stawiacie na bardzo dziś popularną historię, najmniej interesuje was bieżąca publicystyka społeczno-polityczna.*

A.: Po pierwsze, ten profil pokrywa się z zainteresowaniami ludzi skupionych wo-

kół wydawnictwa. Po drugie, tyle firm zajmuje się polityką, że ktoś w końcu może patronować poezji.

B.: Nie troszczymy się bynajmniej o własną etykietkę polityczną. I tak inni robią to za nas. Ważniejsze jest coś innego. To, że ukształtowało się środowisko czytelników Oficyny Literackiej. Krąg osób, które oczekują na nasze kolejne publikacje, towarzysząc nam we wspólnej przygodzie intelektualnej.

Red.: *Przygodzie ponadczasowej, wolnej od partykularyzmów miejsca i okoliczności?*

B.: Wiesz, że do końca tak nie jest. A zresztą - kultura ponadczasowa, dlaczego by nie?

Rozmawiał: WINCENTY MICHNIEWSKI

TEMATY

Traktat waszyngtoński z polskiej perspektywy

Waszyngtońskie spotkanie Reagan-Gorbaczow i podpisany tam traktat INF nie stawiają amerykańskiej polityki zagranicznej wobec sytuacji rozstajnych dróg - twierdzi były wiceminister obrony USA Richard Perle na łamach tygodnika "US News and World Report". Wiązane z nim amerykańskie nadzieje na historyczną rewizję stworzonych przez Lenina zasad ustroju i polityki ZSRR - są "marzeniami rodem z Hollywood nad Potomakiem, pozbawionymi poczucia historii i rzeczywistości". Dlatego Ameryka nie potrzebuje poszukiwać nowych idei przewodnich dla swego przyszłego oddziaływania na świat: wystarczająco bowiem jasno przyświeca jej - zdaniem Perle'a - "Gwiazda Zachodu", gwiazda siły i solidarności wolnej części świata.

I choć nie sposób nie zgodzić się z Perlem w jego krytycznej diagnozie gorbaczowowskiej euforii w Ameryce - równie trudno jednak byłoby uniknąć spostrzeżenia, że owa "Gwiazda Zachodu" nie świeci niestety dla Europy, a już w najmniejszym stopniu dla tej jej części, w której geografia usytuowała Polskę. I dlatego idąca torem owej gwiazdy, a postulowana przez Perle'a, skrajnie atlantycka polityka budowania zapór przed komunizmem, niekoniecznie podążać musi zarazem torem "Gwiazdy Europy",

szczególnie jeśli przez tę ostatnią rozumieć geograficzną całość kontynentu. Kontynent ów bowiem, a wraz z nim i Polska, potrzebuje daleko idących przemian w swojej sytuacji geopolitycznej, nie zaś wyłączenia budowania coraz wyższych barier, chroniących jego zachodni półwysep przed komunizmem. Z tego punktu widzenia pierwszy w powojennej historii układ o redukcji zbrojeń może - nie musi rzecz jasna - stanowić symptom zmian, które wbrew opinii Perle'a postawić mogą politykę amerykańską wobec decydującego skrzyżowania dróg. Z tej właśnie europejskiej, a więc i polskiej perspektywy zostanie poczynionych pięć poniższych krótkich uwag.

1. Dla Europy Zachodniej decydująca w układzie INF jest zapowiedź pierwszego od czasu ewakuacji armii Eisenhowera - wycofania z jej terytorium części amerykańskich sił zbrojnych. Znaczy to zmniejszenie ilościowe potencjału militarnego USA, jaki bezwarunkowo musiałby zostać zaangażowany w każdą ewentualną wojnę w Europie. Czy znaczy to również jakościowe osłabienie amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa dla zachodnich Europejczyków?

Prezydent Francji - przykładowo - twierdzi, że likwidacja sił nuklearnych średniego zasięgu w Europie sprzyja konieczności zaangażowania przez USA wszystkich swoich sił zbrojnych, łącznie z raketami strategicznymi, w obronę Europy. Opinia Mitterranda jest jednak w mniejszości. Nie ulega wątpliwości, że siły amerykańskie pozostające w Europie po zniszczeniu INF zostaną nadal znaczące: przeszło 300 tysięcy żołnierzy stacjonujących w RFN /250 tys./, Anglii /30 tys./, Italii /14 tys./, a także Hiszpanii, Turcji, Belgii, Grecji, Islandii, Holandii i Portugalii, oraz 3250 głów nuklearnych, które jednak - jeśli poróżnić taktyczne bronie o niewielkiej sile rażenia - rozlokowane będą wyłącznie w bazach lotniczych w RFN, Anglii i Włoszech oraz na przebiegających stale na wodach wokół europejskich okrętach podwodnych US Navy. Oczywiście - pozostaje także w mocy Sojusz Atlantycki. Po pierwsze jednak, ładowe wyrzutnie rakiet na wypadek wojny można tylko odpalić albo oddać wrogowi, zaś samoloty i łodzie podwodne mogą zostać użyte, bądź odpłynąć lub odcieciec za ocean. Tym samym gwarancja tzw. "parasola nuklearnego" traci swój automatyczny charakter, albowiem decyzja o jego praktycznym zastosowaniu pozostaje wyłączną polityczną decyzją prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po drugie natomiast, jeśli układ INF traktować jako początek dłuższego procesu wycofywania sił amerykańskich z Europy - to efektem takiego procesu stać się może nie tylko osłabienie "parasola nuklearnego", ale sojuszu europejsko-amerykańskiego w ogólności. Dopóki bowiem atak na Europę Zachodnią, z konieczności oznaczać musi atak na stacjonujące w niej wojska amerykańskie - dopóty sojusz ten działa automatycznie. Wraz z ograniczeniem liczebności tych wojsk - realizacja sojuszu zależy od stwierdzenia przez władze amerykańskie zaistnienia tzw. "casus foederis"; tym samym historyczny precedens Dunkierski staje przed Zachodnią Europą jako groźba coraz bardziej rzeczywista. Byłoby oczywiście nieprawdą twierdzić, że układ INF stworzył sytuację zagrożającą wojną ograniczoną jedynie do Europy wojenną - w takim wypadku - o dość oczywistym rezultacie. Lecz jeśli wrócić nastąpić mają dalsze redukcje, dzień 8 grudnia 1987 wyznaczyć będzie początek takiej tendencji.

2. Owo "gorzej" dla Europy Zachodniej ma swój rewers w postaci "lepiej" dla Europy Środkowej, choć znów rewers ten stanie się wyraźny dopiero wówczas, jeśli traktat INF stworzy dłuższą trwającą tendencję rozbrojenia. Nie wydaje się bowiem, aby tak ów traktat, jak i zapowiadany na przyszłość układ START - mający doprowadzić do 50-procentowego zmniejszenia zasobów strategicznej broni nuklearnej supermocarstw - posiadały same w sobie dla naszej części kontynentu bezpośrednie większe znaczenie. Ogranicza się ono wyłącznie - choć i to w polskiej sytuacji nieobojętne - do przyhamowania, wskutek zainteresowania ZSRR tymi układami, radzieckiej agresywności i tendencji do zaprowadzania przez Moskwę komunistycznych porządków w innych krajach, zarówno w obrębie bloku, jak i poza nim. Osłabia więc tym samym moc "doktryny Breżniewa". Tendencja rozbrojenia mogłaby jednak mieć fundamentalne znaczenie dla przyszłości Polski i jej sąsiadów wówczas, gdyby zaczęła odnosić sukcesy na polu broni nienuklearnych. Analogicznie bowiem jak układ INF zbudził nadzieje na dalej idące zmniejszenie potencjałów, a nawet na "denuklearyzację Europy" /mówiono o niej jawnie w Waszyngtonie!/, tak samo traktatowe ograniczenie amerykańskich i radzieckich sił konwencjonalnych, mogłoby postawić Europę przed perspektywą wycofania z jej terytorium obcych wojsk. Sprawa niezależności Polski i jej sąsiadów posunęłaby się znacznie w chwili, w której mocą zobowiązań międzynarodowych ZSRR wycofałby z tych krajów swoje armie i instalacje wojskowe. Szczególne znaczenie miałyby tutaj wzajemność takich zobowiązań ze strony ZSRR i USA. Stwarzałaby ona bowiem sytuację, w której

każda próba wojskowej pacyfikacji przez ZSRR ruchów emancypacyjnych w krajach odeń zależnych - równoznaczna byłaby z ogólnoeuropejskim kryzysem politycznym, wywołując zachwianie równowagi militarnej, a wskutek tego nieuniknione pogotowie i przetrzymanie do Europy wojsk amerykańskich. Tym samym cena każdego incydentu tego typu byłaby dla całego świata nieporównywalnie wyższa niż dotychczas, zaś ranga polityczna wydarzeń w naszej części Europy i możliwość wpływu na oblicze świata - równie nieporównywalnie większa.

3. Taki układ rozbrojenia - o ile kiedykolwiek możliwy - leżałby w interesie całej Europy pod pewnymi warunkami. Przede wszystkim bowiem nie można czynić sobie iluzji, że Europa Zachodnia, pozbawiona amerykańskich gwarancji obronnych, mogłaby w jakichkolwiek warunkach utrzymać swą niezależność wobec ZSRR. Wystarczy rzut oka na mapę, by stwierdzić absurdalność takiej hipotezy. Stał strach w Europie przed takimi tendencjami, tym większy, że odzyskują one od czasu do czasu w USA, a nadto mogłyby okazać się całkiem atrakcyjne dla mieszkańców Europy Środkowej. Holenderski premier Ruud Lubbers nazwał perspektywę wycofania się Amerykanów "katastrofą dla całej Europy". Sądzić wolno, że byłaby to katastrofa jedynie wtedy, jeśli sama Europa Zachodnia nie wykazywała żadnej gotowości podjęcia wysiłku własnej obrony, albo gdyby zwyciężył w niej zdecydowanie polityczny neutralizm, równoznaczny z odrzuceniem wszelkich gwarancji amerykańskich i stopniowym poddawaniem się wpływowi ZSRR. Oznaczałoby to spełnienie odwiecznego marzenia carów rosyjskich i radzieckich komunistów, a być może również skrytych marzeń niektórych przynajmniej zachodniemieckich socjaldemokratów. Prezydent Mitterrand kategorycznie odrzuca taką możliwość, jeśli idzie o Francję. Pytany przez "Le Nouvel Observateur" o szanse oporu wobec nacisku radzieckiego w sytuacji osłabnięcia więzi wojskowych z USA, Mitterrand odgrywa rolę człowieka niezruszonych zasad: "Wystarczy powiedzieć nie i trzymać się tego" - odpowiada. W kontekście tego zagrożenia warto wspomnieć o innym, bezpośrednio związanym z ewentualnością daleko idącego rozbrojenia Europy. Otóż warunkiem wojskowego wycofania się zatlantykoidalnego opiekuna winna być "wcześniejsza, tak daleko posunięta integracja polityczna i militarna Zachodniej Europy, by nie do pomyslenia stała się idea zjednoczenia i odłączenia się od Zachodu Niemiec. Jest to sprawa fundamentalna dla zachodniej części kontynentu, albowiem bez potencjału RFN staje się ona, już bez najmniejszej przesady, ledwie Półwyspem Zachodnioeuropejskim. Jest to równocześnie sprawa życia i śmierci dla Polski, gdyż znalezienie się w obliczu ZSRR i nie związanych sojuszem zachodnim Niemiec mogłoby być końcem polskiej, nawet komunistycznej państwowości. Dla sprawy pełnego wtopienia się Bundesrepublik w europejskie struktury obronne czyni ostatnio szczególnie wiele rząd francuski, budując wraz z rządem w Bonn nowe organizacyjne ramy wspólnej obrony obu krajów. Niemniej zasadniczo pozostaje oczywiście fakt przynależności Niemiec Zachodnich do NATO, w którym, co też nie jest bez znaczenia, funkcję sekretarza generalnego obejmuje po raz pierwszy Niemiec - dotychczasowy minister obrony RFN Manfred Werner.

4. Rozwiązania powyższe dotyczą oczywiście jedynie pewnej wizji kształtowania się sytuacji politycznej Europy, wizji zawierającej momenty dużego ryzyka, ale i dużej nadziei. Wyżkiem jest możliwość utraty podmiotowości politycznej przez całą Europę, nadzieje - szanse postępujących przesłan w Europie Środkowej i stopniowego jednoczenia się kontynentu. Zyski i straty wymagają rozważenia. Obie jednak proponowane obecnie opcje alternatywne są z polskiego punktu widzenia zupełnie nie pociągające. Proatlantyczna ortodoksja nowej praktycy w USA czy angielskich torysów, chciałyby utrzymania zasad strategii odstraszenia, gdyż strategia ta najskuteczniej broni Zachód przed zmianami geopolitycznymi, a wszelkie zmiany - według tej teorii - znaczyć mogą w Europie tylko wzrost wpływów komunizmu. Opcja przeciwna, prezentowana obecnie przez brytyjską Labour Party, jak i niemiecką SPD, jest jawnie neutralistyczna i postuluje jednostronne rozbrojenie świata zachodniego lub w najlepszym razie dwustronne, lecz na warunkach ZSRR. Ponad Europą i być może do pewnego stopnia w jej interesie, Reagan z Gorbaczowem zaczynają się dopracowywać trzeciej, wspólnej polityki europejskiej: wojskowe więzy atlantykide będą stopniowo osłabiane - lecz w zamian za to Moskwa wyrzeknie się swojej przewagi militarnej i ograniczy przynajmniej swą agresywność na zewnątrz. Pierwszym efektem jest tu traktat INF, zobowiązujący - jakby nie było - USA do likwidacji 859 rakiet, zaś ZSRR - 1752. Polityka ta, jeśli dobrze ją rozumiem, odrzuca pogląd, iż Sowiety z natury rzeczy nie mogą być kontrahentem w żadnym przetargu ani kompromisie, zwracając uwagę na to, że traktaty z ZSRR mogą być opłacalne dla Zachodu, ich przestrzeganie daje się weryfikować, zaś

ich odrzucenie jest dla ZSRR wyjściem gorszym niż zawarcie. Co zaś jeszcze ważniejsze - polityka owa zdaje się liczyć z możliwościami zmian europejskiego status quo, co musi być naturalną konsekwencją podważenia zasady nuklearnego odstraszenia. Prowadzona konsekwentnie, może ona w przyszłości ostać europejską "żelazną kurtynę", nie wydając jednocześnie Zachodu na potencjalny radziecki hur. Skuteczność takiej filozofii rozbrojenia Europy jest możliwa dopóty, dopóki Wp. Wszynnton wykazywałby co najmniej taką konsekwencję negocjacyjną, jak w przypadku tzw. "opcji zero" /tu Ameryka nie zmieniła swego stanowiska przez 9 lat, a ZSRR w tym czasie uczynił to kilkakrotnie/ oraz dopóki konieczność modernizacji gospodarki zmuszałaby rząd radziecki do czasowego ograniczenia wyścigu zbrojeń, za dużą nawet cenę. Wydaje się, że tak rozumiane rozbrojenie mogłoby nabrać znacznego przyspieszenia, gdyby - zgodnie z sugestiami Henry Kissingera - rząd amerykański nakłonił ZSRR do wpisania w przyszły układ START klauzuli, zawierającej jego działanie do czasu wejścia w życie traktatu likwidującego radziecką przewagę w broni konwencjonalnej i chemicznej, a także do całkowitego uniezależnienia jego zawarcia od stanu amerykańskich doświadczeń z obroną kosmiczną. Układ START bowiem, który samoinicjatywnie przynosi większego pożytku Europie, jest dziś głównym celem rozbrojeniowej polityki Gorbaczowa.

5. Wreszcie na koniec tych uwag pozostała kwestia bodaj najważniejsza w pakiecie spraw związanych z procesem redukcji zbrojeń w Europie. Układem INF rząd Reagana zaakceptował zasadę niewiązania porozumień rozbrojeniowych z efektami rozmów dotyczących tzw. "konfliktów regionalnych" i praw człowieka. Zasada ta została parokrotnie wyrażona explicito przez samego prezydenta, zaś gensek potwierdził ją swoją słynną arogancką odpowiedzią na postawione mu w Waszyngtonie przez prasę pytanie o dysydentów. Tymczasem warunkiem koniecznym wykorzystania przez całą Europę ewentualnego przyszłego rozbrojenia jest ścisłe związanie procesu osłabiania więzów atlantyckich ze stopniową likwidacją systemu represji na Wschodzie. Jest to postulat tzw. "linkage policy" - by posłużyć się terminem uakutym przez Kissingera. Struktura polityki USA wobec Sowietów w roku 1988 jest - jak sądzę - trójpoziomowa. Celem najwyższym są układy demilitaryzacyjne z ZSRR, raczej korzystne dla Zachodu, bądź przynajmniej równoważne co do korzyści dla obu stron. Na niższym poziomie lokowana jest kwestia "konfliktów regionalnych", których znaczenie - acz są przedmiotem aktywnej polityki rządu /finansowanie ruchów oporu, polityczne wspieranie negocjacji, wysiłki dyplomatyczne etc./ - ustępuje jednak w obliczu perspektywy każdego nowego traktatu z ZSRR. Na tym poziomie bywa wywierany także skuteczny nacisk w dziedzinie praw człowieka. Natomiast problemy Europy Środkowej i całego bloku komunistycznego sytuują się na poziomie najniższym. W szczególności zaś liberalizacja ustrojów państw tej strefy, przestrzeganie podpisanych przez nie zobowiązań etc., nie stanowią w ogóle przedmiotu polityki wobec ZSRR. W najlepszym razie służą /coraz rzadziej zresztą/ do antyradzieckiej retoryki.

Trzeba powiedzieć wyraźnie, że odrzucenie w negocjacjach na temat INF zasady "linkage policy" jest z polskiej perspektywy największą wadą tego traktatu. Dopóki problemy wewnętrzne Polski /i jej sąsiadów/ nie będą przedmiotem amerykańsko-radzieckiej wymiany ustępstw, dopóty każda kolejna liberalizacja, każde nowe "otwarcie" władz komunistycznych nie będzie dawać szans na stabilność. Tym samym nie kończąca się sinusoida buntów i normalizacji w bloku komunistycznym wprowadzać będzie stosunki Wschód - Zachód w stan wiecznie pozostającej w ruchu huśtawki. Aby zaś proces rozbrojenia mógł rzeczywiście doprowadzić do przemiany geopolitycznej w Europie - musi mu towarzyszyć trwały postęp wolności w jej środkowo-wschodniej części. Taki postęp jest w obecnej sytuacji możliwy, lecz jego warunkiem jest umiędzynarodowienie problemów wewnętrznych tego regionu. Tutaj łatwo dostrzec miejsce, w którym rozwidlają się drogi amerykańskiej - i nie tylko amerykańskiej - polityki. Droga wyznaczana przez atlantycką "Gwiazdę Zachodu", jak i ta, na którą wiedzie bezmyślna fascynacja Wschodem - obie one niestety prowadzą donikąd. Rzecz w tym, że nowe gwiazdy w europejskiej polityce ukazały się tylko temu, kto przedsięwzięcie intelektualny i polityczny trud skonstruowania i wprowadzenia w życie wizji nowego ładu na naszym kontynencie. Z uwaglednieniem ciężących nad nim wieków historii i bez popadania w optymistyczne iluzje.

JAN MARIA ROKITA

Drogi i bezdroża reformy

"Daleki jestem od akceptacji uproszczonego, a często głoszonego poglądu, iż reformy w ogóle nie ma i że mówienie i pisanie o niej, nawet jeśli czyni się to w sposób krytyczny, jest zabiegami propagandowym podejmowanym dla tworzenia świata pozorów. A jednocześnie jestem przekonany, że prawdziwej reformy, takiej jakiej chcemy i jaka mogłaby rzeczywiście wyświecić kraj z upadku, nie ma i zapewne być nie może". Tak oceniałem - przepraszam za cytowanie samego siebie - szanse reformy cztery lata temu. Wyjaśniałem nadto, że pozorna sprzeczność między tymi ocenami ujawnia nasz dramat. Jesteśmy skazani na węgotację - twierdziłem wówczas - chyba że pojawią się całkowicie nowe okoliczności umożliwiające całkowicie nowe podejście, całkowicie nowe rozumienie i całkowitą zmianę języka, jakim posługują się zarówno profesjonaliści ekonomiści, jak i reprezentanci rządowej ekipy, którym wydaje się, że chcą naprawdę reform, no i oczywiście my "konsumenci" ich propozycji, a więc społeczeństwo. Czy dziś, u progu tzw. II etapu reformy pojawiły się okoliczności usprawiedliwiające nadzieje?

W NIEWOLI STEREOTYPÓW

Jak na razie niewiele o tym świadczy, a w każdym razie oczekiwany język nie przeniknął jeszcze do publicznych erudycji. Nie nastąpiło także odejście od stereotypów, które stwarzają nieprzekraczalną granicę dla reform. Jakich?

Zacząć trzeba od przypomnienia, że żyjemy w całkowicie wymyślonym systemie gospodarczym. Jeśli ktoś woli określenia delikatniejsze, to można napisać, że całkowicie zaprojektowanym. Historia gospodarcza świata nie zna, jeśli odrzucić sześć dni boskiego wysiłku, podobnego przypadku; wszystkie inne formacje społeczno-gospodarcze rozwijały się w sposób ewolucyjny, kształtując narzędzia sterowania i regulacji w sposób naturalny, zgodny z rytmem rozwoju.

Revolucja październikowa otworzyła rzeczywistości zupełnie nowy rozdział historii gospodarczej. Nie Marks czy Engels - raczej Lenin, a właściwie Stalin, jeśli już posługiwać się symbolicznymi nazwiskami, ten rozdział pisali.

Na czym - w największym skrócie oczywiście - polegał miał system gospodarki socjalistycznej? Miał to być system stanowiący zaprzeczenie tego kapitalizmu, jaki był wówczas znany, a więc kapitalizmu z końca XIX wieku czy początku XX wieku z wszelkimi podręcznikowymi jego cechami: marnotrawstwem, nadprodukcją, wyzyskiem itd. Tamten obraz dawno przestał już istnieć, jego resztki znaleźć można oczywiście na peryferiach rozwiniętego świata /niezależnie od tego, jak te peryferie są rozległe/, a w klasycznej formie na kartkach wielkiej literatury. Ale mimo tego socjalistyczne myślenie stale operuje zbitką czy przeciwstawieniem: socjalizm - kapitalizm. To dziś już nie, a w każdym razie bardzo niewiele znaczy!

Wróćmy jednak do założeń. Twórcy socjalizmu zwanego dziś realnym wymyślili sobie, że można wymyśleć mechanizm skutecznie zastępujący - w ich przekonaniu: zie zarówno ze społecznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia - regulatory życia gospodarczego, jakie identyfikowano z kapitalizmem, choć w istocie ich rodowód jest bez porównania starszy: pieniądź, rynek, wartość i wszystkie pochodne tych pojęć. To prawda, że formacja zwana przez marksistów kapitalizmem owe regulatory życia gospodarczego znakomicie rozwinięła, ale przecież pojawiły się one znacznie wcześniej, wraz z pieniądzem, a więc znane były już Fenicjanom. Są to bowiem "wymysły" gospodarki towarowo-pieniężnej, a nie kapitalizmu, któremu walkę wydał socjalizm.

Jak go chciał pokonać? Lenin twierdził, że wyższą wydajnością, ale dziś mało kto już się powołuje na te słowa. Przy okazji zapomina się jednak, iż źródłem owej wyższej wydajności, systemu miała być nie tylko inna relacja do własności środków produkcji, czyli

* Tekst skonfiskowany przez cenzurę w Tygodniku Powszechnym.

inna - jak byśmy współcześnie to określili - motywacja pracy, ale przede wszystkim wyższa efektywność ogólna, jaką miała zapewnić planowość gospodarki. Plan - i to najbardziej dyrektywny plan - miał stanowić jądro nowego systemu.

Najbardziej schematycznie rzecz ujmując plan powinien z jednej strony bilansować wszystkie społeczne potrzeby, a z drugiej ustalać sposób ich zaspokojenia przez ilościowe zadania produkcyjne i rozdzielnik wytworzonych dóbr. Optymalizacja gospodarki miała więc następować przez plan, wszechogarniający plan centralnie ustalany. Ale skoro tak, to zbędne stało się całe instrumentarium ekonomiczne stworzone przez gospodarkę towarowo-pieniężną! Przypuszczenie, iż ignorowanie np. prawa wartości, rynku i jego wymogów, wreszcie spełnienie pieniądza itd. to błędy systemu, jest oczywistym nieporozumieniem. System świadomie wyrzucił te narzędzia za burłę, jako całkowicie mu niepotrzebne.

Można i trzeba w tym miejscu zapytać, czy niepowodzenie tej, skądinąd frapującej intelektualnie, koncepcji wynika z wad tkwiących w założeniu, czy może tylko ukłonność narzędzi, jakim dysponował - i dysponuje nadal - centralny planista sprawia, że model funkcjonuje fatalnie? Jest to centralne pytanie reformy, które publicznie nie zostało zadane, choć od odpowiedzi na nie zależy wszystko! Póki co jesteśmy więźniami stereotypu "dobrego systemu" i złej jedynie jego realizacji, skazani na "dalsze doskonalenie" wymyślnego modelu, choć może cel powinien być zupełnie inny?

W NIEWOLI ZASAD

Niestety, to kluczowe pytanie nie zostało dotąd publicznie postawione. Tego pytania nie zadała po Sierpniu także "Solidarność" zdając sobie zapewne sprawę z programowych konsekwencji wynikających z odpowiedzi, a także nie mając, prawdę powiedziawszy, żadnej koncepcji pozytywnej. Ale właśnie dlatego z żużeniem od początku było oczekiwanie na reformę prawdziwą. System jest bowiem rzeczywiście niereformowalny, lub - mówiąc ściślej - jego autentyczna reforma musi prowadzić do zakwestionowania przynajmniej części jego doktryny.

Tym bardziej, że gospodarka planowana centralnie idealnie służy monopolowi partii, grupy czy jednostki. Jeśli bowiem plan ma zapewniać optymalizację /w tym miejscu nieważne, czy rzeczywiście temu służy/, to jej warunkiem jest arbitralne określenie celów społecznych przez centrum. Proszę zwrócić uwagę, jaką karierę, nie tylko u nas, zrobiło określenie interesu ogólnospołecznego i pochodny od niego system norm, normatywów, limitów i szczegółowych przepisów służących ujednoczeniu ludzkich zachowań. Mamy tu do czynienia z niezwykle ważnym sprzężeniem konieczności i zamyślu. Plan, by skutecznie regulować procesy gospodarcze musi uwzględnić nieobliczalną ilość zmiennych - zmienną w tym przypadku jest zachowanie się milionów ludzi w tysiącach życiowych sytuacjach: produkcyjnych, konsumpcyjnych, obyczajowych, cywilizacyjnych, kulturowych itd. Musi więc dążyć do minimalizacji wzorców takich zachowań, a więc do maksymalnego ujednoczenia ludzkich wyobrażeń o życiu i szczęściu. Z punktu widzenia wszechogarniającego planu ideałem byłoby, by każdy miał takie samo mieszkanie, identyczne jego wyposażenie, by chodził w typowym ubraniu - te wyliczankę można prowadzić nienal bez końca.

Krótko mówiąc zaprojektowany system gospodarczy znakomicie współgra z jego nadbudową polityczną, trudno nawet precyzyjnie określić, co z czego wynika. Dotyczy to np. również fundamentalnego założenia systemu, jakim jest teza o wyższości własności państwowej, która dla lepszego brzmienia nazywa się ogólnospołeczna czy ogólnonarodowa, nad wszelką inną, w tym także spółdzielczą czy grupową. Nobla należy przyznać temu, kto logicznie udowodni tę przewagę. Poza jednym wyjątkiem: mianowicie umożliwila ona najlepiej zerowanie związku między celem i kosztem jego osiągnięcia na rzecz priorytetu celu, który osiąga się za każdą cenę. Tyle, że ten cel najczęściej ma charakter polityczny, a w każdym razie wynika często z doktryny, a nie z przesłanek ekonomicznych.

Inaczej mówiąc nasz typ upaństwowienia zapewnia całkowitą władzę nad gospodarką. Nie sposób sobie nawet wyobrazić tylu głupstw gospodarczych, podjęcia tylu decyzji nieracjonalnych, marnotrawnych czy tylko nieefektywnych w przypadku innej struktury własności. W chwilach słabości określa się te decyzje mianem woluntaryzmu. Cóż to jednak jest ten woluntaryzm? Nieoceniony Kopaliński w "Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych" wyjaśnia, że jest to kierunek filozoficzny uważający wolę za główny czynnik poznania, a nawet za istotę bytu. Socjalistyczne plany są więc w swej istocie woluntarystyczne, bowiem stanowią wyraz woli centrum materializacji własnej wizji kraju, życia, ludzkich potrzeb.

Pamiętam już kwestię funkcjonowania nomenklatury, rozdziału dóbr i przywilejów itp. w przypadku innych form własności i zarządu nad nią, choć jedynie wskazać na skutki zależności ekonomicznej i polityki i stwierdzić, że zerwanie tej zależności podważa system. Wówczas przecież nawet społeczna, czy w istocie polityczna hierarchia zawodów sytuująca górników i hutników na szczycie piramidy uległaby w innej sytuacji rozbićciu. Jak zresztą silne są te więzi, dowodzą perypetie samorządu. On również obrócił mitami utrudniającymi

zrozumienie istoty walki, jaka się toczy wokół niego. Niektórzy uwierzyli nawet, że samorząd to najdoskonalsza forma kierowania przedsiębiorstwami i z wyraźną niechęcią odrzucają donosy świadomie eksponujące niską sprawność samorządowego kierowania i podsycające konflikty na linii dyrektora-samorząd. Tymczasem w modelu samorządowym chodzi o coś zupełnie innego, w każdym razie w najmniejszym stopniu o sprawność menadżerską. Po prostu trzeba znaleźć kuchenne drzwi prowadzące od "najwyższej" formy wolności państwowej do ... No właśnie: dokąd czy do czego? Faryzeuszowsko odpowiadamy, że do prawdziwego społeczeństwa. Brzmi to ładnie, ale znaczy niewiele, a w każdym razie sporo jest innych możliwych rozwiązań, tyle, że aby je znaleźć, trzeba najpierw wyraźnie powiedzieć, czego się szuka i co to znaczy społeczenie? I czy społeczenie jest warunkiem sprawiedliwości? Może w ogóle należy mniej się zajmować kwestią tworzenia dóbr - to zostawiając tym, którzy produkują najefektywniej, a uwagę skupiając na sprawiedliwym podziale?

Jak na razie samorządowe zagrożenie najlepiej rozpoznała administracja, dla niej bowiem mniej ważna jest efektywność, bardziej możliwości utrzymania jej atrybutów w postaci nomenklatury i narzucania celów ustalonych przez plan, więc szybko zbliżyliśmy się do znanej formuły KSR. Bowiem w gospodarce na straży interesu zwanego ogólnospołecznym i arbitralnie, żeby nie powiedzieć woluntarystycznie, ustalanego przez centrum musi ktoś stać. Aby ta straż była skuteczna, własność musi być "własna".

W NIEWOLI STRUKTURY

Inny aspekt doktrynalnych uwarunkowań reformy stanowią struktury gospodarki. Znow tożalnym nieporozumieniem jest przypuszczenie, że tak powszechnie krytykowana hierarchiczność i branzowa czystość życia ekonomicznego jest wynikiem błędu. Tymczasem to nie błąd, a po prostu logiczna konsekwencja systemu. Jak pisałem, plan najpierw musi sobie poradzić z ludzką indywidualnością zmuszając nas do możliwie schematycznych zachowań, co jest oczywiście warunkiem koniecznym, tyle że niewystarczającym. Im jednak prymitywniejsze były narządza, jakimi mógł się posługiwać centralny planista, jeśli chciał opanować i, wioł gospo darczy, tym bardziej naturalne okazywały się jego dążenia do minimalizacji podmiotów, jakimi zarządza za pośrednictwem planu. Jego marzeniem stał się schemat organizacji zapewniający najpłynniejszą drogę przekazywania nakazów planu i systemu kontroli ich wykonania. Nie jest więc przypadkiem, że socjalizm nie kocha małych, ani to, że cała gospodarka jest zorganizowana jednolicie, a organizacja ta przypomina strukturę wojskową. Tysiąc profesorów specjalizujących się w naukowej organizacji mogło udowodnić, że sposób kierowania powinien zależeć od branży, że czasem zasadne są powiązania pionowe, a czasem poziome itd. - nic z tego. Zawsze na górze musiał być resort, po drodze zjednoczenie, dalej kombinat - na końcu przedsiębiorstwo; tak samo miało być w hutnictwie i w drobnej wytwórczości czy spółdzielczości, niezależnie od oczywistej specyfiki tych dziedzin. Te dwie ostatnie musiały zresztą polec, bo utrudniały jednolitą zależność i branzową czystość. Proszę zwrócić uwagę, że nawet organizacjom spółdzielczym socjalizm narzucił terytorialną i branzową jednolitość - "Spodem" mogło działać tylko w miastach, "Samopomoc Chłopska" na wsi, choć między małym miasteczkiem a gminną wsią nie ma różnicy w sensie konsumpcyjnym. Ale w planie jest podział na ludność wiejską i miejską, więc bilansowanie wymaga przestrzennej czy stości.

Ditto, monopolizacja, która nawet w skrajnym stadium kapitalizmu nie zaszła tak daleko jak w socjalizmie. Znow nie jest to błąd, ale konsekwencja systemu. Podobnie jak skutki doktrynalnego założenia o przewadze produkcji środków produkcji nad środkami konsumpcyjnymi - niby na ten temat powiedziano już wszystko, ale wystarczy analiza listy 500 największych przedsiębiorstw czy systemu dotacji lub ulg podatkowych, by uświadomić sobie, jak trwałe są strukturalne elementy systemu gospodarki socjalistycznej.

Centrum ubezwłasnowalnia gospodarce właśnie przez jej strukturalną niewolę. Reformatorom wydawało się, że wystarczy wymusić pewne zwiększenie samodzielności przedsiębiorstw by niejako automatycznie poruszyć podstawy scentralizowanego systemu. Rozumowano pozornie słusznie, że przecież suma decyzji, jakie podejmuje się w gospodarce, jest zawsze ta sama, więc zwiększenie pola samodzielności na dole musi spowodować jego ograniczenie na górze. Realizacja tego założenia okazała się jednak trudna. Centrum decydując się na reformę, dość szybko zrozumiało, że zbyt głębokie zmiany mogą skuteczniej niż społeczne wybuchy podważyć jego istnienie. Stąd tak szybko wycofano się z prób reformy centralnych szczebli zarządzania gospodarką i wyraźnie zastopowano podejmowaną początkowo dobroćność tworzenia struktur jej organizacji. Przeciwnie nawet, stale w latach 1983-86 wzmacniano zarówno ministerialne jak i pośrednie szczeble zarządu przez zwiększenie ich uprawnień w dziedzinie rozdzielnictwa oraz podnosząc ich wagę w różnych negocjacjach o dotacje, ulgi, przydziały i udziały w beneficjach dzielonych przez centrum. Czy i w jakiej dziedzinie się to teraz zmieni - zobaczymy.

W każdym razie nadal jesteśmy w sytuacji trudnej. Skoro bowiem nie zakwestionowano doktryny, to reformatorzy muszą udawać, że najwyższym szczęściem dla gospodarki jest totalna niezależność przedsiębiorstw i bronić je przed jakąkolwiek strukturą. Są oczywiście śmieszni, można ich pomawiać o cofanie się do początku ubiegłego wieku, wysmiewać, że nigdzie na świecie nie ma całkowicie samodzielnych przedsiębiorstw itd. A jeśli próbują argumentować, że nie chodzi o związki strukturalne w ogóle, ale o administracyjną podległość wówczas powiada się, że to demontaż państwa, anarchosyndykalizm i Bóg wie, co jeszcze. Wtedy udają, że nie, że wiernie stoją na straży socjalizmu, tyle, że chcą, by był on lepszy, sprawniejszy. Wówczas jednak dyskusja schodzi na boczny tor.

DROGI WYZWOLENIA

Na tym polega też dramat naszych reformatorów, że udają oni - a może tak myślą naprawdę - że stoją twardo na gruncie gospodarki realnego socjalizmu, tyle że wyobrażają sobie iż może on być inny niż jest. W rezultacie operują systemem pojęć tworzonych przez projektantów systemu, mimo iż one niczego nie wyrażają, niczego nie tłumaczą, przeciwnie, deformują rzeczywistość, a nawet świadomie ją kamuflują. Nie można więc naprawdę niczego zreformować, jeśli najpierw nie zdefiniuje się tego, co zmienić się pragnie, później nie powie wyraźnie, na czym polegają błędy, które chce się wyeliminować, a wreszcie nie ustali precyzyjnie, o co w reformie chodzi rzeczywiście, a nie pozornie.

Jest to elementarz. Sztuczność oficjalnego życia publicznego sprawia jednak, że o nim się zapomina, albo udaje się, że wszystkim jest on znany i nie trzeba porozumieć się, co do jego znaczeniowych symboli. Póki tak jest, póty dyskusje naszych reformatorów przypominają rozmowę z obrazem. Z tym jednak, że i dżiad, i obraz udają, że mówią o tym samym i że dochodzą do wspólnych konkluzji. Następnego dnia okazuje się jednak, że każdy chciał powiedzieć coś innego. Spotykają się ponownie i znów każdy swoje. Po drodze załatwiają jakieś drobne sprawy, ale istota jest ciągle poza dyskusją.

A co trzeba powiedzieć? Choćby to, co próbowałem napisać na początku. Mianowicie, że nasza gospodarka to całkowicie wymyślony sztuczny system. Tak jak nie ma ekonomii kapitalizmu, tak nie ma ekonomii socjalizmu, obie te kategorie niczego nie oznaczają w sensie ekonomicznym, nawet kwestia własności nie jest wyróżnikiem, bowiem kapitalizm zna własność państwową, a socjalizm prywatną. Inaczej mówiąc, że oba quasi systemy są tylko mutacjami gospodarki towarowo-pieniężnej, nie ma więc żadnych obiektywnych powodów, by różnice między nimi w sferze ekonomicznej były konieczne. Tylko że jedna z tych mutacji jest efektywniejsza od drugiej, przy czym nie ma wątpliwości, o którą tu chodzi.

Różnica dotyczy właściwie jednego - skali własności państwowej. Jednakże doświadczenia tzw. kapitalizmu wskazują, że nawet ten sprawniejszy system nie radzi sobie z nadmiarem państwowionego szczęścia, kolejne socjalistyczne rządy we Francji czy Anglii padały m. in. dlatego, że ciążył na nich ekonomiczny balast nacjonalizacji. Z powyższego wynika, że kluczową dla reformy w państwach obozu socjalistycznego kwestią jest sprawa własności. Trzeba odrzucić dogmat o niższości czy wyższości różnych form własności, a jedynie próbować odpowiedzieć na pytanie, co konieczne powinno być państwowe, a co nie i jakie znaleźć sposoby "odpaństwowienia" znacznej części aparatu wytwórczego, by nie wrócić /jest to nawet niemożliwe/ do wياjącej własności prywatnej. Okaze się wówczas zapewne, że samorząd niekoniecznie jest jedyną formą społeczeństwa.

Idźmy dalej tym tropem. Otóż zakwestionowanie tego, co nazywamy systemem gospodarki realnego socjalizmu i uznanie, że jest to tylko mutacja gospodarki towarowo-pieniężnej oznacza odrzucenie obecnego - powszechnego, i to niezależnie od motywacji - myślenia o reformie jako o próbie zaprojektowania jakiegoś innego modelu, może nawet teoretycznie lepszego. Doświadczenie już prawie 70 lat reform socjalizmu powinno uświadomić wszystkim, że systemowi gospodarczemu nie da się wymyśleć czy zaprojektować. Śmieszają mnie gorączkowe wysiłki naszych luminary ekonomicznych, ich wielogodzinne narady, naukowe konferencje i sympozja poświęcone sporom o taki czy inny "regulator", a to czy lepszy jest podatek liniowy czy progresywny w sytuacji, gdy gospodarka ginie. Tak jakby nie wiedzieli, że inne gospodarki wychodziły szybciej ze znacznie gorszych stanów kryzysowych. Stąd wniosek, że reforma nie powinna polegać na wymyślaniu czegokolwiek, ale tworzeniu warunków, w jakich zaczęły funkcjonować mechanizmy systemu towarowo-pieniężnego, których naprawdę nie trzeba odkrywać od nowa, tak jak nie trzeba od czasu Kolumba odkrywać Ameryki.

Natomiast trzeba skupić się na dwóch zespołach zagadnień. Po pierwsze, nad możliwie szybkim odtworzeniu infrastruktury gospodarki. To znaczy nad tym, by pieniądź był pieniądzem, cena ceną, bank bankiem, kapitał kapitałem itd. Tego wszystkiego też wymyśleć nie trzeba, jako że świat zna te pojęcia, natomiast trzeba znaleźć sposób przywrócenia do życia tych kategorii. Po drugie, trzeba podjąć dyskusję nad tym, jak wkomponować w mechanizm gospodarki towarowo-pieniężnej pewne, przez społeczeństwo wynagracowane, elementy sprawiedliwości społecznej. A także nad tym, w jakie uprawnienia wyposażać centrum, by mogło ono od-

działywać na strukturalne procesy gospodarcze, i jak zapewnić społeczeństwu konieczne decyzje centrum.

Taki powinien być program reformy, jeśli ma ona naprawę coś zmienić. I teraz kluczowe pytanie, jakie zadać trzeba u progu tzw. II etapu reformy: czy oznacza on to, o co chodzi? Za wcześnie na odpowiedź, dotychczasowe doświadczenia nakazują maksymalną ostrożność rokowań. Jednakże byłoby utopią sądzić, że zgoda na podobny tok rozumowania, a tym bardziej działania będzie czymś oczywistym. Na razie musimy się więc zadowolić tym, co jest. Nie warto jednak rozdzierać szat, że jest to tylko krok pierwszy i potrzebne są następne. Trudno też oczekiwać, że marsz ten będzie szybki, a droga prosta. Strasznie trudno samemu podważać podstawę swego istnienia. Oto dlaczego znajdujemy się ciągle na bezdrożach reformy.

ALEKSANDER PASZYŃSKI

Teresa Groman

+ + + +

skoro zdobyliśmy Księżyc
może uda się nam
dobnąć do lady
bez większych sporów

zachować w tłoku
właściwe wymiary

nie zagubić siebie

w nawale codziennych obowiązków
znaleźć bezpieczne przejścia
i właściwy ton głosu
by nie obudzić lawiny

sztuka na miarę czasów
heroiczne minimum

znagając się z argumentem cudzej konieczności
nie zostać nagle na schodach

z oddechem zatrzaśniętym w windzie

POMYSŁY POLITYCZNE (I)

Stracona szansa ? czyli Towarzystwo Gospodarcze

Ponad roczne już wysiłki zarejestrowania Towarzystwa Gospodarczego stanowią - jak się wydaje - znakomitą ilustrację oporów ze strony władz podjęcia choćby próby szerszego otwarcia politycznego. Choćby próby podjęcia gry o takie otwarcie. W połowie zeszłego roku, nawet jeszcze wczesną jesienią tamtego roku, wydawało się nawet, że władze uczynią przynajmniej jakiś krok w tym kierunku wykorzystując okazję pojawienia się stosunkowo bezpiecznej płaszczyzny dla takiej próby - mam na myśli gospodarke. Nic takiego się jednak nie stało. Towarzystwo Gospodarcze nadal uwikłane jest w formalne spory rejestracyjne, a jednocześnie powstały dwa "oficjalne" organizmy o identycznych celach i zasadach działania: Towarzystwo Wspierania Inicjatyw Gospodarczych firmowane przez Radę Społeczno-Gospodarczą przy Sejmie i wicemarszałka Rakowskiego oraz "Promotor" pod auspicjami OPZZ i osobiście p. Miodowicza. W ten sposób jeszcze raz uruchomiono znany mechanizm blokowania inicjatyw społecznych polegający na automatycznym niemal zajmowaniu całego pola gry. Dozwolone jest więc wszystko pod warunkiem, że jest "nasze" - taki wniosek można wysnuć z perypetii Towarzystwa Gospodarczego.

By jednak uzasadnić powyższe miszę, w największym skrócie choćby, przedstawić zarówno cele Towarzystwa, jak i przebieg starań o jego powstanie. Jeśli o pierwszą sprawę chodzi, to rzecz jest dość oczywista: pragniemy powołać do życia niezależną organizację reprezentującą interesy i racje przedsiębiorców; przede wszystkim, acz nie tylko, zaliczanych do sektora prywatnego. Uważamy, że Towarzystwo powinno sprzyjać wszystkim, którzy łamią obecne granice konwencjonalnej działalności gospodarczej, a więc także innowacyjnym menedżerom państwowym. Innymi słowy Towarzystwo stawia sobie jako cel główny artikulację interesów przedsiębiorców wszelkiej maści i dążenie do materializacji tych postulatów. Obok tego zamierza tworzyć, dzięki własnej działalności gospodarczej, szeroko rozumianą infrastrukturę rynku. Chodzi tu nie tylko o odwołanie się do zapomnianej wiedzy niezbędnej dla prowadzenia biznesu - prawnej, ekonomicznej, podatkowej, księgowej, bankowej itp., ale także, czy może przede wszystkim, o stworzenie systemu obsługi w tych dziedzinach, o możliwość prowadzenia spraw w imieniu i na rachunek zainteresowanych, o consulting i marketing weryfikujący projekty działań gospodarczych, kojarzący ludzi z pomysłami i inicjatywą z tymi, którzy dysponują

możliwościami urzeczywistnienia takich projektów, o wielostronne wspieranie materialne i organizacyjne sensownych zamierzeń gospodarczych - przykładów podobnych działań może być wiele, ale nie miejsce tu na ich szczegółowe prezentowanie.

Wydawać by się mogło, że powstanie Towarzystwa o takich właśnie celach leży w interesie wszystkich, w tym także władz, jeśli myślą one rzeczywiście o autentycznej reformie i ożywieniu gospodarki, nawet za cenę pewnych ustępstw. To przekonanie legło właśnie u podstaw naszych starań o Towarzystwo i nadziei, jakie z nim wiązało znaczne grono ludzi deklarujących się jako członkowie-założyciele. Nie ukrywaliśmy też nigdy - co władza obecnie traktuje jako koronny zarzut przeciw nam - iż założycielami Towarzystwa Gospodarczego, obok w większości / ludzi prowadzących działalność gospodarczą są także naukowcy, publicyści, społecznicy, działacze, w tym także mniej lub bardziej związani z opozycją. Podkreślałem ten fakt, jak również i to, że choć zawsze akcentowaliśmy, iż Towarzystwo działać będzie /bo inaczej nie może/, nawet gdyby chciało / zgodnie z obowiązującym prawem, to jednak jest zainteresowane jego zwłana, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej, bowiem uszała obecny system ekonomiczny za nieefektywny. W tym sensie nie ukrywaliśmy też, że Towarzystwo może być nastawione opozycyjnie w stosunku do polityki gospodarczej rządu, jak i w stosunku do obecnego mechanizmu ekonomicznego. Nie oznacza to oczywiście chęci przekształcenia Towarzystwa w ruch polityczny; jak ognia unikałoby deklaracji politycznych wykraczających poza domenę zainteresowań projektowanej organizacji. Domeną tę stanowi wolny rynek i działania na jego rzecz. Rynek, równoprawne warunki działania na nim dla wszystkich, to jest nasze credo. Rynek, a nie doktryna lub czyjekolwiek wyobrażenia, powinien też rozstrzygać, czy małe jest lepsze od dużego, a prywatne sprawniejsze od państwowego. Każdy z członków Towarzystwa może na ten temat /i każdy inny / mieć własne zdanie i je wyrażać, ale Towarzystwo ma jedynie wspierać rynek i wolną, prowadzoną, rzecz jasna zgodnie z prawem, grę na nim.

Niestety, te niegroźne przecieź i jasno wyrażane założenia, wzbudziły odruch sprzeciwu w władzy. Zapewne owe obawy wznowiło też niezwykłe zainteresowanie projektem powołania Towarzystwa ze strony Zachodu i korespondentów zagranicznych pilnie śledzących los naszej inicjatywy. Dla nich od początku było jasne, że kwestia rejestracji Towarzystwa może być traktowana jako papierak lakusowy sprawdzający rzeczywiste intencje władzy i to nie tylko w odniesieniu do reformy gospodarczej. Pojawiające się stale sygnały, że władze przygotowują jakies otwarcie polityczne, że są gotowe akceptować pewne formy organizacyjne wyrażające pluralizm społeczeństwa, nakazywały traktowanie Towarzystwa Gospodarczego jako terenu doświadczalnego dla takich posiadzań. Stał też zainteresowanie przekraczające, być może, rolę, jaką to Towarzystwo może odgrywać.

Nie ukrywam, że organizatorom Towarzystwa przez cały czas towarzyszył dylemat, jak reagować na to przesadne zainteresowanie: czy je wyciszać czy też wykorzystywać jako sposób nacisku. Wybraliśmy to drugie; o to władze też mają do nas pretensje, choć uprawniony jest też pogląd, że gdyby nie pewna wrzawa wokół nas - nie istniełobyś nie tylko formalnie, ale także w świadomości społecznej i nikt by nas nie prosił o zdawanie relacji z naszych poczynañ.

W rezultacie jednak awansowaliśmy w oczach władz do roli jakiegoś skrzydła opozycji, które usiłuje wykreślić szczytne cele deklarowane w studacie i programie działania dla stworzenia legalnej nacbudoWy oraz silnej struktury organizacyjnej dla poczynañ nielegalnych. Tak wyraźnie charakter mają też zastrzeżenia do wniosku rejestracyjnego i projektu statutu, jaki przedstawiłismy władzom. Największe zastrzeżenie buciał ogólnopolski charakter projektowanego Towarzystwa i oczywiście możliwość tworzenia regionalnych jego oddziałów. Władze proponują nam tylko warszawski zasięg i robią wszystko, by poza stolicą rzdziły się podobne, ale z nami nie związane, inicjatywy. Niechęć wywołuje też projektowany przez nas system członkostwa, a ściślej mówiąc konieczność posiadania rekomendacji dla przyjęcia w poczet członków. Oficjalnie władze bronia - jak twierdzą - demokratycznych praw obywatelskich /każdy powinien mieć prawo należenia/, nieoficjalnie pada zarzut, że chcemy tworzyć partię i stawiany większe wymagania wobec kandydatów niż PZPR. Nadto wymaga się od nas deklaracji na wierność konstytucji /na co zgodzić się nie możemy/, jako że konstytucja głosi wyższość własności państwowej nad wszelką inną, ograniczenia działalności gospodarczej, oparcia działalności na pracy społecznej członków itd. Jak łatwo odczytać część z tych zastrzeżeń na przetargowy charakter, decydująca jest sprawa zasięgu ogólnopolskiego i oddziałów.

Interesujące są jednak meandry stanowiska władz. Pierwsze, raczej nieoficjalne,

Zebranie założycielskie udało nam się zorganizować 10 stycznia ub.r. dzięki uprzejmości i poparciu ówczesnej rektorki SGGW p.prof. Marii Radomskiej. Udostępniła ona salę uczelni i zgodziła się podpisać w imieniu organizatorów zaproszenie na panelową dyskusję poświęconą roli gospodarki prywatnej w polskiej kryzysowej sytuacji. Wykorzystaliśmy to zebranie dla przedstawienia naszej inicjatywy, jej "zalegalizowania" i zebrania pierwszych podpisów założycieli. W lutym złożyliśmy formalny wniosek już o zgodę na "legalne" spotkanie, dołączając doń projekt statutu i inne niezbędne dokumenty. Później nastąpiła cisza przerywana jedynie - po upływie ustawowego terminu załatwienia sprawy - naszymi interwencjami kierowanymi we wszystkie strony, w tym także w postaci sygnałów do korespondentów zagranicznych. Być może także dzięki stałemu nękaniu przez nich rzecznika rządu, na kolejnej konferencji prasowej z ust min. Urbana dowiedzieliśmy się, że władze wyraziły zgodę na zebranie założycielskie.

Nieoficjalnie sugerowano też, że owa zgoda na zebranie to właściwie "polityczna" akceptacja sprawy. Można było przyjąć to za dobrą monetę, jako że władzom znany był przecież projekt statutu Towarzystwa i program jego działań. 4 września 1987 r. odbyło się więc kolejne spotkanie, lista założycieli rozrosła się do ok. 400 osób i 18 września wystąpiliśmy do władz o rejestrację. Jeszcze przez pewien czas wszystkie sygnały wskazywały, że władze są skłonne zaryzykować; myśle, że na przełomie września i października klimat polityczny uległ pewnemu zmrożeniu. Nie tylko w stosunku do nas zapowiadane głośno "trzęsienie ziemi" wyraźnie zmieniło skalę wstrząsów. Regres dotyczy niemal wszystkiego, co miało się składać na oczekiwane otwarcie. Na tej fali poległo także Towarzystwo, a w każdym razie gwałtownie nasilać zaczęły się powiemia, że przekształca się ono w groźną dla władzy siłę polityczną.

Czy to koniec? Nie sądzę. W każdym razie nie rezygnujemy, właśnie przedstawiliśmy kompromisową wersję statutu. Nie na tyle kompromisową, by zatracić sens istnienia Towarzystwa, ale - jak sądzimy - łatwiejszą do przyjęcia przez władze. Ten kompromis nie wynika więc z rezygnacji, przeciwnie wydaje się, że prędzej czy później władze muszą uznać konieczność ustępstw. Nadal uważamy, że pole gospodarcze jest najdogodniejszą płaszczyzną, także dla politycznego eksperymentu, jakim /dla wszystkich stron/ może być powstanie organizacji całkowicie niezależnej od oficjalnych struktur, ale z racji obszaru zainteresowań skłonnej do współdziałania z nimi.

Oczywiście zbyt długo czekać nie możemy - czas działa nie tylko na niekorzyść władzy, żadna inicjatywa społeczna nie może dojrzewać bez końca i nie stracić impetu. Jeśli nie uzyskamy możliwości rejestracji w bliskim czasie i na warunkach także dla nas do przyjęcia, to po prostu zawiesimy działalność pozostawiając następcom wybór dogodniejszego momentu dla podjęcia podobnego pomysłu.

Tylko że wówczas stanie się oczywiste dla każdego, że władza tylko mówi o reformach, jednakże nie chce zrezygnować ze swego imperium nawet za najmniejszą cenę, także wówczas, jeśli ta rezygnacja może przyczynić się do zwiększenia szans pomyślności kraju. A także do realizacji jej własnych deklaracji reformatorskich.

11 marca 1988 r.

ALEKSANDER PASZYŃSKI

Przetłamać dominację systemu monopartyjnego czyli samorząd pracowniczy

(rozmowa z doc.Szymonem Jakubowiczem)

Redakcja: *W r.1981 samorząd pracowniczy był najważniejszym pomysłem na reformę gospodarczą. Od paru lat w publicystyce niezależnej dominuje pogląd, iż rozwiązanie samorządowe z samej swej istoty narzuca pewne ograniczenia efektywności gospodarczo-wania, zaś dyskusja toczy się wokół kwestii form własności przedsiębiorstwa. Odrzuca się przy tym sformułowanie z czasów "Solidarności": własność ogólnospołeczna w dyspozycji samorządu. Mamy do czynienia z ofensywą antysamorządnościową.*

Szymon Jakubowicz: Istotnie, z czymś takim mamy do czynienia. Sądzę jednak, że ofensywa ta wynika z nieporozumień. Z góry przesądza się, że nie mogą zdać egzaminu rozwiązania, które bynajmniej nie zostały wypróbowane. Tego, z czym dziś mamy do czynienia, nie można przecież nazwać samorządnością. Obecne samorządy są ułomne i w sytuacji braku samodzielności przedsiębiorstw nie mogą pełnić funkcji, jakie są im przypisane.

Red.: *Na to się odpowiada, że również w Jugosławii samorządność nie spełniła pokładanych w niej nadziei.*

S.J.: Ale jugosłowiańska "samorządność" też nie jest samorządnością w pełnym tego słowa znaczeniu. Podobnie jak w Polsce, także w Jugosławii mamy do czynienia z dominacją systemu monopartyjnego, który trudno pogodzić z demokracją samorządową. Nie twierdząc, że istnieje gotowe rozwiązanie samorządowe, jedno wszak jest niewątpliwie pewne - rozwiązanie samorządowe jest zdecydowanie bardziej efektywne od systemu nakazowo-rozdzielczego, z którym dotychczas mieliśmy do czynienia. Nie potrafiłbym jednoznacznie stwierdzić, jakie rozwiązanie jest bardziej efektywne: samorządnościowe czy liberalne, niemniej jeśli spojrzeć na to z punktu widzenia obecnej rzeczywistości naszego kraju, koncepcja samorządowa wydaje się i bardziej realna, i bardziej adekwatna do sytuacji, w jakiej się znajdujemy.

Red.: *Przyjęto się twierdzić, iż efektywność jest jedynym kryterium gospodarczym. Czy nie jest tak, że udział społeczeństwa w podejmowaniu węższych decyzji gospodarczych jest sprawą równie ważną?*

S.J.: Zgadza się z panem. Mierzenie wszystkiego efektywnością gospodarczą jest o tyle uzasadnione, iż brak efektywności wywarł ogromny wpływ negatywny na rozwój kraju i spowodował pauperyzację społeczeństwa. Niemniej daleki byłbym od przypuszczenia, by było to jedyne odniesienie, do którego powinniśmy stosować nasze rozwiązania. Istnieje również kryterium - nazwijmy go: alienacyjny. Rozmaite badania socjologiczne wskazują, iż pracownicy przywiązują do tego kryterium ogromną wagę. Słowem - ludzie chcą w procesie produkcji czuć się ludźmi, zachowywać własną godność i możliwości samorealizacji.

Red.: *Wymieńmy zatem główne ograniczenia stojące dziś w Polsce przed samorządnością.*

S.J.: Pierwsze i najważniejsze, z którego wynikają wszystkie pozostałe: system samorządowy popada w kolizję z systemem monocentrycznym. Słowem, jak kiedyś pisałem w "Tygodniku Powszechnym", ze strony władzy istnieje tendencja do "upaństwowienia" samorządów, co oczywiście rozmija się z samym pojęciem "samorządności". Stąd wynikają wszystkie tarcia w przedsiębiorstwach oraz sprzeczności między samorządem a aparatem władzy, do jakich dochodzi poza przedsiębiorstwami.

Głównym niebezpieczeństwem chwili obecnej jest ofensywa aparatu na terenie struktur organizacyjnych. Nasze struktury organizacyjne mają długą negatywną tradycję zafascynowania tym, co wielkie i wszechogarniające. Po likwidacji zjednoczeń, oto znów wracamy do struktur opartych na branżowych zasadach integracji przedsię-

biorstw, koncentracji organizacyjnej na skalę niespotykaną na całym świecie. Takie struktury nie cierpią samorządu - to jeszcze byłoby pół biedy, gdyby nie szkody, jakie wyrządzają całej gospodarce. Są bardzo pożyteczne dla celów politycznej kontroli gospodarki ze strony centrum, administrowania nią. I równie szkodliwe dla gospodarowania, ze względu na ich hipermonopolistyczny charakter.

Red.: *Problemem numer jeden dla samorządu staje się zatem samodzielność przedsiębiorstwa.*

S.J.: Niewątpliwie tak. W tych olbrzymich concernach czy spółkach, jak się je teraz nazywa, samodzielność przedsiębiorstwa ulega likwidacji. To oczywiste.

Red.: *Przyjrzyjmy się zatem sytuacji samorządu pracowniczego od r. 1982. To już trzy kadencje, można zatem dokonać paru podsumowań.*

S.J.: Rzeczywiście, w niektórych przedsiębiorstwach mamy już do czynienia z trzecią, a nawet czwartą kadencją. Ruch samorządowy formował się w niezwykle trudnych warunkach. Po krótkim okresie dynamicznego rozwoju w drugiej połowie roku 1981, nastąpiło zawieszenie działalności samorządów z chwilą ogłoszenia stanu wojennego. Ten całkowity zastój ulega odblokowaniu w r. 1983, wówczas jednak w nielicznych tylko wypadkach struktury "Solidarności" dostrzegły jakąś możliwość legalnego działania w samorządach pracowniczych. Zdecydowana część podziemia związkowego ogłosiła natomiast bojkot samorządów, wychodząc z założenia, że nie należy dążyć do jakichkolwiek kontaktów z władzą i oficjalnymi instytucjami wpisanymi w istniejący system polityczny. Tam, gdzie działacze "Solidarności" decydowali się na walkę o samorząd, z reguły wygrywali wybory w przedsiębiorstwach.

Dopiero w r. 1985 zaczął się kształtować nowy stosunek opozycji do samorządu pracowniczego. W zakładach, gdzie dotychczas utrzymywał się bojkot, załogi przystępowały do wyborów i wyłaniają odpowiadające im rady pracownicze.

Red.: *Jak to wygląda dzisiaj?*

S.J.: Na około 11 tys. samorządów pracowniczych mniej więcej 15% stanowią samorządy niezależne, samodzielne, aktywne. Przytłaczająca większość jest niestety zdominowana przez dyrekcje oraz organizacje partyjne i nie odgrywa poważniejszej roli w zakładach. To, co określam jako "ruch samorządowy", rozwija się właśnie w owych 15% przedsiębiorstw. Niezależne rady pracownicze stały się tam ośrodkami jeśli nie władzy, to w każdym razie kontroli władzy.

Red.: *Parę szczegółów. Czy w toku kampanii wyborczej do rady pracowniczej ma miejsce wysławianie jakichś programów - uszrowienia przedsiębiorstwa, zmiany zasad gospodarowania i tak dalej?*

S.J.: Nie sądzę, by było to możliwe. Propozycje programowe mogą być wypracowane dopiero w trakcie działalności samorządu. Trzeba najpierw wybrać radę pracowniczą, powołać komisję i zespoły, później stopniowo budować program działania.

Red.: *Czy po r. 1984 "Solidarność" miała jakiś spójny i w miarę powszechnie akceptowany pomysł na działalność w samorządach? W prasie podziemnej dominowało w tym czasie przesłuchanie, że nie ma żadnej reformy gospodarczej - siłą rzeczy stawiano to pod znakiem zapytania sens inicjatyw samorządowych.*

S.J.: Podobnie jak w r. 1981, "Solidarność" nie wypracowała jakiegos konsekwentnego stosunku do samorządów.

Red.: *Chciałbym uściślić to pytanie. W trakcie drugiego spotkania przedstawiciele środowisk niezależnych w Warszawie, w kościele na Karólkowej, jeden z wrocławskich działaczy samorządowych stwierdził: my działamy jako "Solidarność" za pośrednictwem samorządu. Co chyba należy rozumieć tak - za pośrednictwem rady pracowniczej podejmujemy zadania przynależne związkom zawodowym. Czy więc samorząd ma znaczenie tylko jako przedstawicielstwo załogi wybrane w demokratycznych wyborach? Czy też istnieją przesłanki nadziei, by nacisk społeczny mógł wpłynąć na procesy reformowania gospodarki?*

S.J.: Istotnie, wielu działaczy "Solidarności" traktowało początkowo samorząd jako teren działania w ogóle, a zwłaszcza działania związkowego. W trakcie jednak pracy w radzie rozdziły się koncepcje dotyczące problemów przedsiębiorstwa. Nastąpił proces stopniowego dochodzenia do analizy spraw związanych z sytuacją ekonomiczną zakładu i możliwościami dalszego jej rozwoju. Z czasem zaczęto nawet dyskutować nad funkcjonowaniem całej branży, zwłaszcza kwestii związanych z jej strukturą organizacyjną. Zmiana perspektywy w naturalny sposób wynikała z samej pozycji samorządu, jego miejsca i roli w przedsiębiorstwie.

Natomiast część działaczy od początku traktowała samorząd jako odrębną i niezależną

leżną instytucję, będącą jednym z podstawowych elementów przekształcania gospodarki i jej reformowania.

Red.: *Mówił Pan o ograniczeniach stojących przed samorządami. Mimo wszystko - 15% autentycznych rad pracowniczych to niewiele. Istnieją zapewne dalsze czynniki ograniczające, na przykład próg kompetencji działaczy samorządowych.*

S.J.: Całość ograniczeń podzieliłbym na dwie grupy. Ograniczenia obiektywne - zatem ambiwalentny stosunek władzy do samorządów i wynikające stąd zagrożenia. Oraz ograniczenia subiektywne - po pierwsze koncepcja niewchodzenia w układy z systemem, na wskroś fałszywa na gruncie dążności do zreformowania ustroju i po drugie - inercja załóg, a także bariery kompetencji w kręgu działaczy.

Red.: *Inercja załóg dawała o sobie znać w niskiej frekwencji wyborczej?*

S.J.: Nie. Frekwencja była z reguły wysoka, w Hucie Warszawa np. sięgała 60-80%. Natomiast później rady pracownicze często nie czuły aktywnego poparcia ze strony załóg. Prawdopodobnie było to po trosze winą samorządów, które nie potrafiły dotrzeć do pracowników z odpowiednią informacją. Kiedy bowiem wzywano załogi do poparcia inicjatyw samorządowych, pracownicy na ogół nie odmawiali w tym udziału.

Jeśli zaś chodzi o drugie ograniczenie, w początkowym okresie wyłoniła się bariera kompetencji prawnej. Niewykłada obfitość rozmaitych przepisów, nieznanych nowo wybranym członkom rad pracowniczych powodowała, iż dużą rolę do odegrania miało doradztwo prawne. Później zaczęły dominować zagadnienia ekonomiczne. Tam, gdzie rady potrafiły utworzyć zespoły złożone z posiadających szersze rozeznanie pracowników oraz osób zaproszonych spoza terenu przedsiębiorstwa, umiano się zabrać za rozwiązywanie nawet bardzo skomplikowanych problemów.

Red.: *Wyobraźmy sobie zatem dobrego, aktywnego samorząd pracowniczy. Najpierw - czy można go jakoś umieścić na mapie? Mam na myśli zarówno lokalizację terytorialną, jak i siód branzową.*

S.J.: Bardzo trudno przedstawić ścisłe dane na ten temat. Regionalna koncentracja samorządów niezależnych nastąpiła z pewnością w Warszawie i w województwie warszawskim. Mimo to nie znamy wielu dobrze funkcjonujących, rozwiniętych samorządów, nawet działających tuż obok nas. Dopiero niedawno dowiedzieliśmy się o pracach rady pracowniczej w Zakładach Stolarki Budowlanej w Wołominie, a jest to przykład godny naśladowania. Poza tym sytuacja na tym polu wciąż się zmienia. Do niedawna słaby ośrodek wrocławski jest dziś dość silnym centrum aktywności ruchu samorządowego.

Red.: *Czy istnieje choć jeden dobry samorząd w kopalni na Górnym Śląsku?*

S.J.: Osobiście nie znam takiego. Trudno to sobie wyobrazić - po powołaniu gwardectw kopalnie całkowicie pozbawione zostały samodzielności, nie wiadomo więc, czym ów samorząd miałby się zająć.

Natomiast jeśli chodzi o branże - najwięcej aktywnych samorządów działa dziś w przemyśle maszynowym, hutniczym, elektronicznym i chemicznym.

Red.: *Kim jest statystyczny działacz samorządowy? Kilkę parametrów socjologicznych...*

S.J.: Wiek 30-40 lat, raczej bezpartyjny, zalicza się - by użyć określenia J. Kurczewskiego - do "klas średniej": wysoko kwalifikowany robotnik, częściej technik lub inżynier bądź ekonomista, lecz nie na stanowisku kierowniczym.

Red.: *Jakie sprawy stają się najczęściej przedmiotem działania samorządu pracowniczego?*

S.J.: Bardzo dużo, niestety, miejsca poświęca on obronie własnej pozycji. Jest to zrozumiałe, zważywszy stały nacisk administracji, również spoza przedsiębiorstwa, celem ograniczenia niezależności rady. Dalej - wiele uwagi kieruje się na problemy płac i systemu wynagrodzeń. Z kolei sprawy organizacyjne - łączenia przedsiębiorstw, uczestnictwa w ponadzakładowych strukturach organizacyjnych. Chodzi nie tylko o obronę przed narzuconymi strukturami; samorzady tworzą niekiedy własne projekty organizacji ponadzakładowych. Rady pracownicze Huty Warszawa i Huty Bieraunia opracowały wspólnie projekt Zrzeszenia "Polska Stal", podobnie w przemyśle stoczniowym samorząd Stoczni Szczecińskiej opracował w porozumieniu z radami innych jednostek projekt spółki.

Sprawy ekonomiczne, a przede wszystkim plan przedsiębiorstwa: dobre samorzady nie ograniczają się do zatwierdzania planu rocznego, lecz dokonują we własnych komisjach jego analizy, wchodząc również w takie dziedziny, jak inwestycje czy zatrudnienie. Czasem występują z własnymi poważnymi propozycjami dotyczącymi gospodarki przedsiębiorstwa - przykładem Huta Baildon.

Sporo niestety czasu zajmuje działalność o charakterze związkowym - w tym też

obrona interesów poszczególnych pracowników. Tego jednak domagają się od samorządów załogi. Podobnie z opinionami podziału premii, dóbr rozdzielanych w zakładzie pracy, odznaczeń i temu podobnie.

Red.: *Czy nie dochodzi przy tym do konfliktów z oficjalnymi związkami zawodowymi?*

S.J.: Niekiedy tak. Na ogół jednak dobre rady pracownicze są bardziej samodzielne i aktywne niż związek, przeto górę bierze ich stanowisko. W przypadku poważnego konfliktu odwołują się do referendum załogi.

Red.: *Co tracą rady pracownicze z chwilą prajłczenia przedsiębiorstwa do zrzeczenia?*

S.J.: To zależy od charakteru zrzeczenia. Jeśli jest ono dobrowolne, nie tracą wiele. Tego typu zrzeczenia nie ograniczają w poważny sposób samodzielności przedsiębiorstw. Inaczej jest w przypadku koncernów typu "Elpol" czy jemu podobnych, aktualnie tworzonych. Pozostawiają one samodzielność prawną przedsiębiorstw, ale bardzo istotnie ograniczają ich samodzielność ekonomiczną. Samorzady tracą swą bazę gospodarczą.

Red.: *Zasadnicze decyzje, od planu przedsiębiorstwa poczynając, zostają przeniesione do koncernu?*

S.J.: Formalnie nie, praktycznie - tak.

Red.: *W takiej sytuacji rada pracownicza powinna się chyba rozwiązać?*

S.J.: Nie. Dobra rada pracownicza zawsze znajdzie teren działania. Instytucja wyłoniona w demokratycznych wyborach, nie będąc w stanie bronić interesów przedsiębiorstwa, może bronić interesów załogi.

Red.: *W zakładzie dochodzi do konfliktu między samorządem a dyrekcją. Co wtedy?*

S.J.: Im bardziej niezależna rada, tym więcej takich sytuacji. Im bardziej rada jest zdecydowana i kompetentna, tym lepiej sobie z nimi radzi. Jeśli dochodzi do konfliktu otwartego, niemożliwego do rozwiązania drogą negocjacji, pozostają dwie możliwości. Pierwsza - komisja rozjemcza powoływana w trybie przewidzianym przez ustawę. Druga - rozstrzygnięcie na drodze prawnej, przez sąd. Niezależne rady pracownicze mają za sobą sporo procesów sądowych przeciwko dyrekcjom.

Red.: *Kto częściej wygrywa?*

S.J.: Nie mam dokładnej statystyki. Mniej więcej pół na pół.

Red.: *A próby odwołania dyrektora przez samorząd?*

S.J.: Owszem, istnieją. Ostatni przykład: warszawskie Przedsiębiorstwo Wyciągów Kolejowych. Nieco wcześniej doszło do konfliktu w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Rada pracownicza nie ma wprawdzie prawa do powoływania w tym zakładzie dyrektora, tym niemniej potrafiła wykazać i udokumentować, iż dyrekcja prowadziła przedsiębiorstwo do ruiny. Pod wpływem argumentów i presji rady władze wyższe odwołały całą dyrekcję WFD.

Istnieją też przypadki burzające, na przykład znana sprawa Narożnego. Wskutek jednak mobilizacji samorządów rada pracownicza "Polkoloru" wygrała przed sądem analogiczną sprawę. Również i tam podjęto próbę wyrzucenia z pracy działacza samorządu w trakcie kadencji, tym razem jednak orzeczenie sądu uniemożliwiło powtórzenie skandalu z Wrzesnia.

Red.: *W okresie pozostawiania Narożnego bez pracy poznańska "Teletra-Telkom" zorganizowała wśród pracowników zbiórki pieniężny na rzecz tego działacza.*

S.J.: To samo uczynił warszawski "Mostostal".

Red.: *Jak przedstawia się sytuacja porozumień międzysamorządowych?*

S.J.: Zaczynamy od tego, iż są one bardzo niechętnie widziane przez aparat władzy; znana jest historia toruńskiej "Elany". Oficjalne tłumaczenia - iż takie porozumienia ograniczają samodzielność przedsiębiorstw, iż nie trzeba nam nowych KSR-ów - są z gruntu demagogiczne. Przecież nie chodzi o tworzenie nowych struktur hierarchicznych, lecz o możliwość wzajemnej wymiany doświadczeń i zajmowanie wspólnego stanowiska w sprawach żywotnie obchodzących ogół samorządów.

Porozumienia między samorządami mają rozmaity charakter - bądź branżowy, bądź regionalny, bądź indywidualnych umów między poszczególnymi radami pracowniczymi. Zaczynamy od porozumień branżowych. Istnieje porozumienie rad pracowniczych przedsiębiorstw przemysłu elektronicznego - jego przedstawiciele zbierali się na osobnych posiedzeniach przy okazji obrad Zrzeszenia. W Warszawie istnieje porozumienie samorządów w biurach projektów. Biura "Energoprojekt" utworzyły porozumienie samorządów o zasięgu ogólnopolskim. Działają też porozumienia między radami instytutów badawczo-rozwojowych.

Są także porozumienia regionalne - przykładem Klub Samorządowy we Wrocławiu. Podobne kluby tworzą się obecnie w innych regionach, między innymi w Gdańsku.

Liczne są porozumienia między dwoma przedsiębiorstwami, bądź dla załatwienia konkretnych problemów technicznych, bądź porozumienia kooperacyjne /typu: rada pracownicza Stoczni Szczecińskiej - rada pracownicza Huty Bieruta/. Uwieńczeniem tych porozumień byłoby utworzenie stowarzyszenia działaczy samorządowych - ta inicjatywa jest obecnie w trakcie przygotowań organizacyjnych.

Red.: *Wystąpiło już o rejestrację?*

S.J.: Posiedzenie komitetu założycielskiego miało się odbyć w pierwszej połowie lutego bieżącego roku. Następnie stowarzyszenie miało wystąpić z wnioskiem rejestracyjnym. Inicjatorem całego pomysłu były warszawskie rady pracownicze. Ponieważ ustawa ogranicza możliwość działania w samorządzie tylko do dwu kadencji, zaczyna się tworzyć spora grupa działaczy ruchu samorządowego posiadających duże doświadczenie, lecz nie mogących już kontynuować pracy w radach. Chodzi o to, by mogli teraz przekazać swe doświadczenia innym radom pracowniczym. To był jeden z głównych motywów przemawiających za utworzeniem stowarzyszenia.

Red.: *Można by się spodziewać, że w tym przypadku władze nie będą czynić przeszkód w trakcie rejestracji.*

S.J.: Przeciwnie. Pierwsze kontakty między inicjatorami stowarzyszenia a władzami politycznymi nie dawały powodów do nadmiernego optymizmu. A obecnie już wiadomo - odmowa.

Red.: *Chciałbym w końcu zadać pytanie o prowadzone przez Pana seminarium samorządowe.*

S.J.: W Warszawie przy Polskim Towarzystwie Socjologicznym w ramach sekcji upowszechniania wiedzy socjologicznej istnieje seminarium poświęcone problematyce samorządowej. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie, ich tematyka związana jest bezpośrednio ze sprawami, jakie przychodzi rozwiązywać w praktyce samorządom. Połowę uczestników seminarium stanowią działacze rad pracowniczych, drugą połowę przedstawiciele świata nauki. Między obu środowiskami nawiązuje się dyskusja, ale też wynikają różne formy współpracy.

Red.: *Działacze samorządowi zapraszają naukowców w charakterze ekspertów do swoich przedsiębiorstw?*

S.J.: Owszem, wcale nierzadko. Z warszawskimi radami pracowniczymi nawiązała kontakt grupa ekspertów, bądź prowadzących stałą współpracę, bądź doraźnie udzielających porad. Ukształtował się też dość silny ośrodek pomocy dla samorządów przy Izbie Radców Prawnych, wspomagający działalność rad pracowniczych również spoza terenu Warszawy.

Red.: *Czy poza Warszawą istnieją analogiczne seminaria?*

S.J.: Wiem, że przez pewien czas działał podobny ośrodek w Krakowie, a także w Poznaniu - zorganizowany przez radę pracowniczą Zakładów "Teletra-Telkom". Próbuje też organizować działalność szkoleniową wrocławski Klub Samorządowy.

Red.: *Są zatem pomysły, plany, nowe inicjatywy... Więcej przed nami, niż za nami. To dobra sytuacja. Dziękuję bardzo za rozmowę.*

28 lutego 1988

Rozmawiał: JERZY BUKOWIECKI

Upominać się o legalne formy działania - czyli Gdański Klub Polityczny

Gdański Klub Polityczny im. Lecha Bądkowskiego jest inicjatywą kilku niezależnych środowisk i osób z Trójmiasta, powstałą na początku listopada 1987 r. Chodziło z jednej strony o stworzenie płaszczyzny integracyjnej dla tych środowisk, z drugiej o podniesienie pewnych postulatów ogólnospołecznych, ważnych dla regionu i kraju. Łączyło nas przekonanie, że nadchodzi czas, kiedy trzeba upominać się w sposób energiczny o legalne formy działania, posiadające własny kształt instytucjonalny.

Nasze zainteresowania koncentrują się na sprawach związanych z reformą państwa. Nie staramy się kamouflować faktu, iż chcemy zająć się tematyką polityczną - co stwierdziliśmy wyraźnie w pierwszym oświadczeniu.

Mimo iż statut klubu przewiduje działalność ogólnopolską, stawiamy sobie cele o wymiarze przede wszystkim regionalnym. Profil działalności klubu będzie się dopiero precyzował, trudno więc z góry przesądzać, jak dalece praktyczna okaże się formuła regionalna.

Główni założyciele klubu stanowią z jednej strony środowisko ukazującego się w Gdańsku w drugim obiegu pisma "Przegląd Polityczny", z drugiej osoby z kręgu "Polityki Polskiej", a także takie osoby jak mceenas Jacek Taylor, Marian Terlecki, Ewa Górka /członek redakcji "Gwiazdy Morza"/. Przychodzą wreszcie ludzie nowi, nie identyfikujący się dotychczas z żadnym z tych środowisk.

Grupa "Przeglądu Politycznego" ukształtowała się w stanie wojennym w znacznej większości z ludzi o przeszłości solidarnościowej lub NZS-owskiej. Ich orientację można by określić jako liberalną, wielu zaangażowanych jest w niezależny ruch gospodarczy. Należy chyba wymienić parę nazwisk: Donald Tusk, Jacek Kozłowski, Piotr Krawczyński.

Nasze natomiast środowisko wywodzi się z Ruchu Młodej Polski, ugrupowania działającego już w drugiej połowie lat siedemdziesiątych i wydającego w tym czasie pismo "Bratniak". W okresie stanu wojennego rozpoczęliśmy edycję "Polityki Polskiej", która stanowi dziś naszą główną wizytówkę. W największym skrócie powiedzielibyśmy, że bliskie są nam idee narodowo-konserwatywne, na gruncie wartości chrześcijańskich.

Gdański Klub Polityczny nosi imię Lecha Bądkowskiego. To postać bardzo ważna dla naszego regionu. Piękna przeszłość wojenna - kawaler Orderu Virtuti Militari, a później - w trudnych czasach, prawdziwie obywatelska postawa pisarza nonkonformisty. W sierpniu 1980 r. wszedł w skład Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego obejmując funkcję rzecznika prasowego, następnie był rzecznikiem prasowym NSZZ "Solidarność". Większość założycieli klubu, w każdym razie przedstawiciele obu wspomnianych środowisk znali i cenili Lecha Bądkowskiego. W r. 1981 w Gdańsku zainicjował działalność Klub Myśli Politycznej im. Konstytucji 3 Maja, którego założycielem i prezesem był właśnie Bądkowski. Nasz klub nawiązuje w jakimś stopniu do tamtej tradycji, tym bardziej więc uznaliśmy za stosowne uhonorować pamięć zmarłego literata i przyjaciela.

Oto nasze najbliższe cele: obok oświadczeń komentujących bieżącą sytuację w kraju będziemy organizować publiczne spotkania dyskusyjne, a także przygotowujemy dość, jak sądzę, interesujący dokument zawierający projekty reform systemowych. Chodzi o warunki polityczne, których realizacja przyczyniłaby się do ewolucji systemu w stronę państwa obywatelskiego. Dotychczas wydaliśmy deklarację założycielską oraz dwa oświadczenia - pierwsze komentujące sytuację polityczną po referendum, drugie - zawierające ocenę projektu ordynacji wyborczej do rad narodowych.

Jak przedstawia się sytuacja prawna klubu? Na razie nie otrzymaliśmy odpowiedzi na wniosek o rejestrację. Stan więc na koniec stycznia jest taki, że klub działa, oczekując załatwienia formalności rejestracyjnych. Niezbyt konsekwentnie postępuje też cenzura - w prasie ukazało się kilka notatek informujących o powstaniu Klubu, ale równocześnie w "Tygodniku Powszechnym" skonfiskowano dyskusję uczestników klubu z uzasadnieniem, iż prowadzimy działalność nielegalną. Nie spotkaliśmy się natomiast z żadnymi formami przeciwdziałania naszej inicjatywie ze strony władz.

Wiele zależy od rozwoju sytuacji politycznej w Polsce. Jest to sytuacja z pewnością interesująca, z wieloma znakami zapytania. Następuje bardzo wyraźna utrata tożsamości ideologicznej przez obóz władzy, który ma chyba tego faktu świadomość. Obserwujemy próby, coraz dalej idące, dopuszczenia w sferze gospodarczej do działalności swobodnej inicjatywy prywatnej. Na naszych oczach dokonuje się rozpad państwa zbudowanego w oparciu o model gospodarki socjalistycznej. Jest to proces bolesny, uderzający w liczne warstwy społeczeństwa, ale zarazem niosący zarodki czegoś nowego. Tym zjawiskom i koniunkturze, jaką otwiera sytuacja międzynarodowa, nie towarzyszy plan władzy zmierzający do uobywatelnienia społeczeństwa w szerszym niż dotąd zakresie. Tym bardziej więc potrzebne są inicjatywy takie jak nasza, stawiające problem współuczestnictwa w życiu publicznym sił niezależnych oraz zasad, na których oprzeć się winna forma państwa.

28 stycznia 1988 r.

ALEKSANDER HALL

Postscriptum

5 lutego 1988 r. dyrektor Wydziału Społeczno-Administracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku zakazał działalności Klubu. Decyzję uzasadniano tym, że: 1/ "inicjatorzy powołania »Klubu« zorganizowali i odbyli /.../ zebranie założycielskie - bez wymaganego zezwolenia właściwego organu administracji państwowej", 2/ "w przedłożonym projekcie statutu zakłada się, że »Klub« ma być organizacją niezależną nie precyzując bliżej w stosunku do kogo i w jakim stopniu odnosi się ta »niezależność«. W statucie brak jest natomiast deklaracji, że zamierzona działalność będzie prowadzona zgodnie z konstytucyjnym porządkiem prawnym".

16 lutego br. Komitet Założycielski Klubu wydał komunikat, w którym stwierdził: "Jesteśmy przekonani o społecznej użyteczności naszego Klubu. Dlatego też zamierzamy kontynuować nasze prace, a także złożyć odwołanie od decyzji dyrektora Wydziału Społeczno-Administracyjnego gdańskiego Urzędu Wojewódzkiego".

Myśli przedwczorajsze i pytania na dziś

"Kaźde dzieło wychodzące poza Polskę, a traktujące rzetelnie o tak wielkich wartościach jak Kościół i Naród oraz Państwo jest godne serdecznego poparcia. Roman Dmowski był politykiem, poglądy polityczne zaś mają to do siebie, że mają zwolenników i przeciwników. Ostatecznie jednak zwycięża prawda. W pismach Dmowskiego myśl o łączności Kościoła z Narodem jest prawdą, sprawdzaną wielokrotnie.

Dziękując za wspaniałe ambitnych myśli znakomitego Polaka wyrażam nadzieję, że będą one służyły ożywieniu ducha Polskiego i miłości do Polski - Ojczyzny pochodzenia wielu Amerykanów!"

Józef Kardynał Glemp Prymas Polski
/w:/ Roman Dmowski: "Kościół, Naród i Państwo". Wyd. Instytut Romana Dmowskiego w Ameryce - Chicago, 1985

Kilka przedruków w kraju /oficyny niezależne/

Polemizowanie z myślami zawartymi w broszurze napisanej przed laty sześćdziesięciu byłoby czynnością nie pozbawioną znamion groteskowości. Ow szkic Romana Dmowskiego jest dziś publikacją o znaczeniu wyłącznie historycznym i tak też winien być oceniony - jako świadectwo przedwczorajszych dylematów, rudymentów myślenia i formuł ideowych, które spełniły już swoją rolę związaną z okolicznościami tamtego czasu i zdażyły się zweryfikować w warstwie prognostycznej. "Kościół, Naród i Państwo" wchodził w skład serii zeszytów przedstawiających zarys programu Obozu Wielkiej Polski, porozumienia politycznego mającego w intencjach kierownictwa partii narododemokratycznej stanowić przeciwwagę dla polityki obozu sanacji. Pozwólmy sobie zatem na kilka uwag natury historycznej.

Zasadnicza linia demarkacyjną dzieli, zdaniem Dmowskiego, kulturę /czy cywilizację/ europejską na dwa rozbieżne - i konkurencyjne - nurty: religijny i świecki. Ten pierwszy trwale związany jest z katolicyzmem, drugi począł się z ducha Reformacji i myśli oświeceniowej. Pomijam tu czynnik dla Dmowskiego najważniejszy - promieniowania łóż masońskich na umysłowość europejską; na temat antymasońskich obsesji tego autora, demonicznego przerysowywania! potęgi wolnomularstwa i postrzegania procesów historycznych w kategoriach spisku masonerii napisano już wystarczająco wiele, by warto było wyważyć otwarte drzwi. Istotniejsza jest chyba ambiwalencja teoretyka Narodowej Demokracji w ocenie nurtów protestancko-racjonalistycznych: obarcza je winą za wprowadzenie brutalnego egoizmu i przeciwnych etyce metod walki w sferę stosunków międzypaństwowych, oskarża o zniszczenie fundamentów kultury i obyczajów w stosunkach wewnętrznych, lecz zarazem przyznaje, że przyczyniły się zasadniczo do ukształtowania nowoczesnych państw przemysłowych. "Kraje protestanckie, nie tylko wielkie, ale i mniejsze, wykazały najstarszą równowagę w wewnętrznym życiu politycznym, najlepsze funkcjonowanie urzędów państwowych oraz zajęły pierwsze miejsce w świecie pod względem oświaty, mas, dobrobytu ludności, wreszcie kultury materialnej kraju."

wychowawcy społecznego pełnić może jedynie Kościół - jego osłabienie prowadzi do rozpadu wartości w skali masowej, w następstwie czego będziemy świadkami "tańców przypominających ruchy zwierząt", rozkładu obyczajów, spirytyzmu i zabobonów, egoizmu, bezdusznosci, także atrofii uczuć narodowych.

X X X X

Omówieniem rzeczony broszury Romana Dmowskiego - powtarzam, dziś tylko dokumentu tamtego czasu - zająłem się nie z racji jej szczególnej wagi bądź aktualności. Istnieje niemało kart naszej tradycji, których pamięć bardziej akurat warto by odświeżyć. Nie ukrywam, że pretekstem do napisania powyższego była cytowana na wstępie przedmowa księdza Prymasa Józefa Glempa.

Stosunki Kościoła katolickiego w Polsce, jego hierarchii i duchowienstwa z partią narodowo-demokratyczną to temat szeroki i wciąż nie posiadający wyczerpującego, a zarazem obiektywnego opracowania. Pierwszy etap tych związków w sposób pogiębiony i wielostronny przedstawił Bohdan Cywiński w swej pracy "Rodowody niepokornych". Zwrócił tam z jednej strony uwagę na te aspekty "zasady narodowej", które były nie do pogodzenia z treściami nauki Kościoła, z drugiej - na wątki tradycji "polsko-katolickiej" adaptowane przez endecję, które zjednywały jej popularność wśród księży. Szczególnie w epoce rozbiorów, gdy wyznanie religijne bardzo często krzyżowało się z identyfikacją narodową, Kościół katolicki w Polsce stawał wobec podwójnego wyzwania. Odpowiedzią nań była praca ewangelizacyjna prowadzona na gruncie nie tylko religijnej, ale też narodowej tożsamości wspólnoty wiernych. Treści patriotyczne łączyły się z religijnymi w niepowtarzalną całość, "polską teologię wyzwolenia", jak o tym pisze E. Jabłońska-Deputała, na długo przed założeniem "Przeglądu Wszepolskiego". Faktem jest jednak, że przywódca Ligi Narodowej potrafił ten proces dostrzec i ożywić w trudnym okresie trójlojalizmu, wzbogaciwszy go o elementy własnego programu. Sympatie niemałej części hierarchii kościelnej i parafii dla narodowej demokracji żywe też były w okresie międzywojennym.

Po opanowaniu Polski przez komunistów myśl narodowa w kraju przestała istnieć. A przecież pewien bliski jej wątek znaleźć można w refleksji Prymasa Tysiąclecia, Stefana Wyszyńskiego. Kultura polska, której fundamentalną składową stanowi katolicyzm, stanęła oto wobec nihilistycznego naporu nowych władców, na równi wrogich religii i tradycjom patriotycznym. Przy braku szans na realny opór polityczny społeczeństwo miało jedną właściwą drogę przeciwstawienia się komunizmowi - polegała ona na akceptacji modelu wspólnoty zachowawczej, pielęgnującej tradycje, skupionej w kręgu życia prywatnego i rodzinnego, dystansującej się natomiast od oficjalnego kłamstwa. Szanse oporu zależały również od odporności na czynniki destrukcyjne i patologiczne, wdzierające się w przestrzeń kultury, którą w swym wnętrzu, "socjalistycznym" wymiarze nie tworzyła żadnych wartości autentycznych i atrakcyjnych. Mówiąc prościej: po jednej stronie stała oferta przywilejów związanych z czerwoną książeczką, po drugiej najczęściej wódka. Troską najbardziej zasadniczą dla Kościoła było przełamanie tej obiednej alternatywy. Tak zatem program kardynała Wyszyńskiego, moralnego odrodzenia narodu, po trochu nawiązywał do zrodzonego w okresie zaborów stereotypu "Polaka-katolika". Jeśli zaś stereotyp ów uzupełnimy o cały tradycjonalistyczno-patriotyczny sztafaż jakim obrastał w populistycznej mentalności "pokolenia Kolumbów" /czarna legenda "żydo-komuny"/, znajdziemy się gdzieś niepokojąco blisko endecji.

Jeżeli uwagi powyższe są prawdziwe, odnoszą się one w zasadzie tylko do okresu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Od tego bowiem czasu nastąpiły zasadnicze przemiany tak w Kościele katolickim, jak i w rzeczywistości społecznej naszego kraju.

Kościół po II Soborze Watykańskim dokonał głębokiej refleksji na ob-

szarze własnych tradycji. Powiedzmy tylko w związku z omawianą broszurą Dmowskiego, że dzisiejszy ekumenizm poszukuje dialogu między różnymi nurtami chrześcijaństwa - i nikt rozsądny w Kościele nie poważyłby się na rekryminację protestantyzmu, za sprawą którego jakoby w stosunkach europejskich zapanowały prawa dżungli. Refleksja teologiczna zresztą jest nie do pogodzenia z instrumentalnym traktowaniem religii jako czynnika społeczno-pedagogicznego, choćby i treści wychowawcze katolicyzmu służyły najlepszej sprawie. Po prostu doświadczenie religijne jest czymś więcej niż moralność publiczna /i prywatna/, a od wiary oczekujemy w pierwszym rzędzie otwarcia na przestrzeń transcendentną, na Tajemnicę. Sądzę, że światu przedmiotów i wartości konsumpcyjnych religia może dziś przeciwstawić skupioną duchowość i pragnienie modlitwy, nie zaś argumenty za taką czy inną użytecznością Kościoła w służbie celom doczesnym i partykularnym /również i "narodowym"/.

Spółeczeństwo polskie od początku lat siedemdziesiątych żywi szerokie aspiracje w sferze nie tylko socjalnej, ale również kulturalnej i politycznej. Te nowe potrzeby dały o sobie znać w okresie Sierpnia i "Solidarności", a ich natężenie pozwoliło dorzeć w wydarzeniach r.1981 symptomy procesów zgoła rewolucyjnych. Po pierwsze zatem - stojąc wobec problemów całościowo nowych i w sytuacji daleko różnej niż Polska bierutowska i gomułkowska, wywalczywszy sobie sporą porcję wolności wyślenia i działania politycznego. Dlatego ethos społeczny, do którego przylgnęło określenie "Polak-katolik", jest w chwili obecnej czymś wręcz anachronicznym. Przede wszystkim dlatego, iż oznaczał przyjęcie postawy defensywnej, skoncentrowanej na zadaniu zachowania wartości zagrożonych przez totalizm. Dziś trzeba pytać inaczej: w jaki sposób przekonstruować te wartości w program realnych inicjatyw politycznych. Na wszelki wypadek podkreślam, że nie optuję tu przeciwko Polakom czy - Boże broń - katolikom; myślę jednak, że przyjmą oni postawę otwartą i dynamiczną, a politykę zechcą uprawiać na własny rachunek i w zgodzie z własną strategią działania. W każdym razie nie na konto Kościoła i jego hierarchii, jak to usiłowała czynić narodo-demokracja.

Po drugie - powtarza się ta myśl po wielokroć w prasie niezależnej: tradycyjne podziały prawicowo-lewicowe, onegajszce opcje socjalistyczne czy endekkie, piłsudczykowskie czy konserwatywne straciły dziś w naszym społeczeństwie wszelkie znaczenie. Jeśli ktoś przyznaje się do "tradycji narodowych" /także i innych z lat międzywojnia czy nawet różbiorów/ to właściwie nie wiadomo, o co mu chodzi.

Kolej na pointe. Pięć krótkich zdań poświęconych broszurze Dmowskiego, jakie wyszły spod pióra księdza Prymasa Józefa Glempa, skienia do postawienia paru zasadniczych pytań.

Pierwsze - o model polskiego katolicyzmu: czy ma on wyrastać z rodzimych i narodowych tradycji czy też z bogactwa całokształtu myśli teologicznej, w otwarciu na dialog z innymi nurtami chrześcijaństwa - oraz czy ma sprowadzać się do zaufania religii jako tradycji społecznie sprawdzonej, czy raczej dążyć, iłby był wiara żywa?

Drugie - czy z chwilą kiedy najwyższy dostojnik Kościoła w Polsce deklaruje swe uznanie dla "prawdy" pomieszczonej w tekście Romana Dmowskiego, człowiek obcy, bądź nawet niechętny koncepcjom "znakomitego Polaka" może czuć się pełnoprawnym członkiem wspólnoty Kościoła katolickiego?

Trzecie - jak dalece "prawda" owych przemyśleń pozostaje obowiązująca dla katolika: czy obejmuje również wcześniejsze i późniejsze wypowiedzi Dmowskiego, w których głosił egotizm narodowy, antysemityzm i autorytaryzm?

Czwarte - skoro dostojnik Kościoła uważa za celowe wypowiadanie się w przedmiocie uznania pewnego nurtu tradycji społeczno-politycznej, czy można oczekiwać, iż również publicznie wypowie się o roli znacznie nam bliższych i zachowujących aktualność tradycji, a mianowicie nie zamkniętego rozdziału historii pod tytułem: NSZZ "Solidarność"?

Gałązki akacji

Fano 19 sierpnia obudzili mnie strzały* Pojedyncze, salwami, to znów wybuchy mocniejsze, głucho jak uderzenia młota o deskę - ręczne granaty. Podsiedłem do okna. Niebo bez jednej chmurki, słońce, nieruchome gałęzie drzew. Dzień wstawał duszny i upalny. Na podwórku zauważyłem trzech mężczyzn. Dozorca i dwaj obcy w granatowych kombinazonach. Stali nieruchomo i patrzyli w stronę ghetta, skąd dochodziły strzały. Po każdej eksplozji przytłumionymi głosami niepotrzebnie informowali siebie: - O, tu! - O, tam! - Za parkanem ktoś przebiegł szybko i cicho.

Ogarmało mnie nagłe zmęczenie. Wróciłem do łóżka. Próbowałem czytać. "Lord Jim" Conrada. Strzały jednak naciły uwagę. Odłożyłem książkę. Mijały kwadransy, a ja paliłem papierosa za papierosem, myśląc o tym, co się w tej chwili może dziać w ghetcie, w sierocińcu żydowskim, w sanatoriach. Wyimaginowane obrazy zabijania ludzi kryjących się w piwnicach, na strychach i po krzakach, mordowania chorych i dzieci dręcząły mnie i przygniatały. A jednocześnie wzmożła się gwałtownie intensywność moich myśli i uczuć. Stwierdziłem, zdumiony i zawstydzony, że sprawia mi to przyjemność. Głęboko wciągałem dym mocnego papierosa.

Z rozbudzonej pamięci wyłaniały się zwolna fragmenty innego obrazu. Wrzesień roku 1939. Jadę w nocy przez palące się Siedlce. Po obu stronach ulicy domy, wysuszone przez upalne lato, płoną z trzaskiem, jak drewnianka w kominku. Zburzone ściany frontowo odsłoniły przytulne wnętrza. Firanki, mebelki, obrazki, ogień przelewa się strumieniem z domu na dom, jakby igrając. Nikt mi nie przeszkadza, nikt nawet nie usiłuje go stłumić. Gdzieś tam stoją w małych grupkach ludzie i nieruchomo patrzą w płomień. Bezradni są i bezczynni. A ja jadę wozem, oglądając wszystko spokojnie i ciekawie. Wzrok mój stał się łapczywy, czujny i spostrzegawczy. Wyłania najdrobniejsze szczegóły w falującej taśmie kamienic i mieszkań rozwartych i jakby zawstydzonych brutalnym obnażeniem. Chłonnie desenie na pokryciach mebli, kolor i nierówności ścian, zburzoną schludność pościeli. Siedząc na podskakującym po bruku wozie czuję się wygodnie i bezpiecznie. Beznamyślnie rejestruję w pamięci przesuwające się obrazki. Sięgam do kieszeni po czekoladę. I jem ją ze smakiem. Skreśliłoby się gdzieś na prawo. Na skrzyżowaniu ulic spostrzegam trupa mężczyzny w ciemnym cywilnym ubraniu. Leży twarzą do bruku. Wtedy - czuję to wyraźnie - do żył moich zaczyna się przesączać lepka mgła odętnienia. Wóz nasz mija ostatnie domki rozświetlonych Siedlec i pogrąża się w płaskim cieniu nocy.

Pukanie do drzwi. Pokojowa, panna Marysia, wniosła śniadanie. Była podniecona i blada. Opowiedziała w urywanych zdaniach o zdarzeniach dzisiejszej nocy. O trzeciej gestapo zaczęło opróżniać ghetto. Wygoniono Żydów z sanatoriów i popędzono do właściwego ghetta. Część uciekała, kryjąc się w pobliskim lesie i krzakach. Polują na nich. Ciężkie chore, którzy nie mogli wstać o własnych siłach, wystrzelano. Lekarze popełniali samobójstwo. Umysłowo chore pozabijano granatami.

Wiedziałem, że oprócz chorych przebywała w sanatoriach inteligencja żydowska i bogacze, którzy mogli tam sobie kupić wygodne i spokojne warunki życia. Kiedyś spacerując po lesie wszedłem, nie zdając sobie z tego sprawy, na teren żydowskich sanatoriów. Od tej strony nie był on niczym odgradzony. Znalazłem się nieoczekiwanie wśród ładnych domów i will na falistym lesnym terenie. Byłem zdumiony odkryciem takiego zakątka w brzydlim miasteczku. Rozmyślenia moje na temat niespodzianek krajozrazu przerwały zbliżające się głosy kobiety. Po chwili przeszły obok mnie dwie elegancko ubrane dziewczyny, gibkie, przystojne, opalone. W powierzchności nie miały nie semickiego, ale na ich krótkich rękawach dostrzegłem opaski z gwiazdą sześcioramienną. To mnie uświadomiło gdzie jestem. Przeszły ze spokojną godnością i jakby nie zauważając mojej obecności.

Teraz, podczas opowiadania panny Marysi, ujrzałem je znowu. Zwłaszcza tę, którą lepięj zapamiętałem - ładną blondynkę. Starannie wychowana, wypieszczona córka bogatego adwokata, doktora czy przemysłowca. Życie szeroko otwierało przed nią drzwi do amfila-

* Tekst ten ukazał się w Twórczości nr 1 z 1947 r.

dy wspaniałych pokoi, wypełnionych miękką wygodą i dosytem. Dziś w nocy, w ciągu ułamka sekundy stała się strzępem bez wartości i bez nadziei. Teraz czeka na nią tylko śmierć. Zwierzęca, gromadna, bezimienna. Chyba że spróbuje uciec do lasu czy w zarośla. Ale rannikiem ją wytropią - obszarpaną, dygocącą. I kiedy skuli się pod drzewem, a wypielęgnowanymi rękami zakryje twarz, żeby nie widzieć - zastrzela.

Może właśnie wtedy dozorca na podwórku pensjonatu lekko odwrócił głowę na prawo i powiedział:

- O, tam!

Popijając buleczkę gorącym mlekiem spytałem:

- A co z sierocińcem?

Do pensjonatu przychodził codziennie mały Jankiel. Ubrany był w czarne wyrudziałe paletko, szare, poszarpane, dziurawe z tyłu spodnie, a na głowie miał podartą wojskową polską furaczkę, która mu opadała na odstające nieco uszy. Bose stopy były brązowe od słońca i brudu. Kiedy go spytałem, dlaczego nie myje nóg - z lekkim popatrzył na mnie wielkimi czarnymi oczyma, a potem, nagle uspokojony, odpowiedział: "Wieczerem!...". Na wygiętych ku dołowi końcach jego warg dostrzegłem cień niemiego, przebiegłego uśmiechu. Przychodził zwykle w asyście młodszej siostry swojej, Rajzli i najmniejszego z całej trójki Abrama, którego nazywał swoim kuzynem. Siostra była drobna, smągla, o czarnych, jeszcze piękniejszych niż Jankiel oczach. Brunatne jej nóżki wyglądały jak zeschnięte gałki jodły. Zdawało się, że z dnia na dzień stają się coraz bardziej cienkie i wąskie. Kuzyn Abramek tydki miał pulchne, zwiaszcza przy kostce u dołu. Chodząc zawiązał stopy do środka i lekko utykał. "On ma nogi spuchnięte od głodu!" - powiedział raz Jankiel.

Kiedyś przyjrzałem się uważniej głowie Abramka. W brudnej gęstwinie włosów spstrzegłem cienkie białe niteczki. Gdy tak stałem pochylony nad posiwiąłą czuprynką kilkuletniego Abramka, cała trójka spojrzała na mnie z przerażeniem, a Jankiel, jako rzecznik ich wspólnych trosk i interesów, zawołał: - "On nie na wszów, on myje głowę z miedziem!". W głosie jego dostrzegłem twarde nuty, które znamionowały nieugiętą wolę stawienia czoła niebezpieczeństwu. Patrzyłem uważnie na ich pobladłe twarzyczki, na lekliwie biegające oczy. Zwolna się uspokoił i za chwilę cała trójka przycupnęła na ławce, od czasu do czasu lypiąc na mnie spojrzeniami, w których tliły się resztki nieufności.

Następnego dnia kuzyn Abram, który dotąd chodził zawsze z gołą głową, zjawił się w olbrzymiej narciańskiej czaple, ciężko osadzonej na jego wielkich uszach.

Jankiel był wodzem. Wypatrywał, nasłuchiwał, układał plany, wydawał rozkazy, pouczał.

Kiedyś usadwili się we troje na stopniach werandy. Jankiel długo mówił coś półgłosem do siostry, a potem wysłał ją pod sąsiednie okno. Rajzla zadartą głowę do góry i cicho, niewyraźnie coś wymamrotała. Niecierpliwie przywołał ją z powrotem i energicznie udał się sam na posterunek. Tam przybrał skromną, zalekioną pozę i począł żebrać żalosnym, monotornym głosem. Po chwili z okna wyleciała mała paczka, którą ziołwi w przelocie ruchem zwinnym i zgrabnym. Wrócił następnie i karcącym tonem pouczał siostrę, jak ma się na nim wzorować. Potem sprawiedliwie oddzielił wszystkich zdobywym chlebem z masłem. Zjedli go na miejscu szybko i żartocznie.

Gdy po raz pierwszy dałem Jankielowi i Abramkowi po parę monet, Jankiel, wskazując siostrę, powiedział poważnie i rzeczowo: "Ona jeszcze nie dostała". - Z uśmiechem spełniłem jego życzenie. Wtedy odprowadził swoich podwładnych za pobliskie drzewo, a tam odebrał pieniądze od Abramka i od Rajzli i schował je do kieszeni. Odtąd wręczałem całą należną sumę bezpośrednio Jankielowi. Wiedziałem już, że kasę mają wspólną i wspólną spiżarnię.

Rajzla nosiła zawsze w ręku niebieski kubek, Abramek białą puszkę na sznurku, Jankiel, jak przystoi wodzowi, nie dźwigał żadnych ciężarów. Zresztą miał poczucie swojej wyższości także z powodu promieni, które wciąż jeszcze wysyłała ku niemu jego święta przeszłość. Czasem padały one z ledwo słyszalnym brzękiem u jego brudnych bosych stóp. Wtedy stawał olśniony i patrzył długo na ich oddalający się stopniowo, coraz to chłodniejszy blask.

- Mój ojciec był bardzo bogaty - powiedział kiedyś - miał w Górze Kalwarii dwa konie i duży wóz.

Co się stało z rodzicami Jankiela i Rajzli, nie można się było dowiedzieć. "Nie żyją" - odpowiadał lakonicznie. I patrzył pytającemu w oczy, uważnie i długo. Reszta była tajemnicą dla niego, a może miała pozostać tajemnicą dla ciekawych.

Nie wszyscy w pensjonacie byli dobrzy dla Jankielka. Czasem wymyślano mu, groźno, wypędzano. Dozorca raz go nawet uderzył. Wybiegał wtedy z ogrodu, a za nim dreptała Rajzla na cienkich i kuzyn Abram na opuchniętych nóżkach. Ale następnego dnia

zjawiali się wszyscy troje. Wczoraj też mu ktoś nawymyślał i pogroził pięścią z okna. Uciekł szybko, w popiochu. Trawa i liście głośno zaszeleściły. Tylko teraz już chyba nie wróci.

Kiedys, na pytanie, czy nie boi się Niemców, odpowiedział: - "Nie. Raz to mnie jeden zatrzymał na ulicy i spytał, czy ja Jude". - "No i co?" - "Odpowiedziałem, że ja biedny. Niemiec machnął ręką i poszedł".

Czy dzisiejszej nocy spytał kto Jan Kielka, kim on jest naprawdę?

- A co z sierocińcem? - pytałem pannę Marysię.

Mówią, że wrzucono tam granat. Może część dzieci uciekła. Może kto ocalał. Najbardziej jednak przejęta była panna Marysia, tym, że jakoby zastrzelono w ghetcie dużo naszych, Polaków.

- A po co tam szli?

- Po rzeczy!

Nie zrozumiałem tej odpowiedzi, ale rozdygotana panna Marysia już wybiegła z pokoju.

Upał wznagał się z godziny na godzinę. Powietrze było parne, słońce leniwie pełzło po niebie, osłabione żarem, spoczone, blade od gorąca.

Koło godziny drugiej wyszedłem na dworzec. Mijając ostatnią ulicę ujrzałem z daleka grupę kilkadziesiątu kobiet i mężczyzn, którzy szli jezdnią w stronę rampy kolejowej. Bez żadnych paczek i tobołów, porządnie ubrani, przeważnie siwowłosi. Twarzy nie widziałem, szli w przeciwnym kierunku.

Absurdalność tego pochodu przykuła moją uwagę. Szczególnie dziwnie wyglądają te starsze panie, które mimo spiekoty idą środkami jezdni z gołymi głowami i w niewymyślnym, gorączkowym pośpiechu. Widok byłby podobny, gdyby nasze dystyngowane ciotki i babki na komendę wyległy nagle czwórkami na ulicę. Wysokie obcasy ich pantofli ześlizgują się z okrągłych kamieni, wpadają zniechęca i wyboje. Kiedy wzrok jest ostabiony ze starości, łatwo jest упаść w tak szybkim marszu. Zwłaszcza gdy się nie ma odpowiedniego obuwia. I rzeczywiście, na końcu pochodu niesiono kogoś, ale nie wiem, czy się pośliznął, czy zemlał, czy też po prostu był chory. Pewnie nie chciano go zostawić samego, gdy wszyscy dokądś wyruszali tak spieszenie. Niosą go troskliwie, zmieniając się co pewien czas, bo niewygodnie na kamieniach i męczy upał, i ktoś przynagla do pośpiechu. Kto to? Ma mundur zgnito-zielonego koloru, furażerkę, karabin na ramieniu, a w ręku gruby skórzany bat. Uderza nim po głowach siwowłose kobiety i mężczyzn. Po rozmachu jego ręki widać, że jest mocny, pełen odwagi i młodzieńczej fantazji. Pokrzykuje, posturchnuje. Ale jakos mi nierzadno samemu wśród bandy starszych cywilów, tak drażniących uległych i milczących. Żeby chociaż odrobina oporu, bo nie wiadomo, co począć z nadmiarem wiadzy! Pienistym strumieniem przelewa się ona po nabrzmiałych żyłach jego krzepkiego ciała, lecz nie znajdując ujścia zaczyna bulgotać w tępych zawstydzeniu. To głupie uczucie na pewno wkrótce minie. Ale na razie głos mu chrzypnie, a bat - zawiśa bezwładnie w powietrzu ponad głowami.

Kiedy patrzę z daleka na tego żołnierza, słyszę nieomal jak niedbatym tonem uspokaja swoje sumienie: - "To nic! Jeszcze i tak dostaną te żydy za swoje!" - Zdaje mi się, że mówi to po ukraińsku.

Na chodnikach stoją bez ruchu nieliczni przechodnie. Ze sklepów powychodzili subieci w białych kitlach. Patrzą, nie mówią do siebie ani słowa.

- Przyszła kryśka na Matyska! - woła nagle jakiś młody, może dziesięcioletni chłopiec. Ale nikt się nie odwraca i nie przytakuje. Takie milczenie po krzyku jest nieco żenujące. Chłopiec przez chwilę rozgląda się dookoła, a potem zaczyna gorliwie szukać kamieni w piasku i, ciskając nimi przed siebie, szybko znika w najbliższej bramie.

W pociągu zająłem miejsce przy oknie. Widać stąd wyraźnie wnętrza pustych mieszkań w sąsiadującym ze stacją ghetcie. Strzały rozlegają się nieustannie. Po jednym, bardzo bliskim, zza parkaru wyszła szybkim krokiem młoda żydówka, oglądając się z trwogą na dwóch idących za nią żołnierzy. Nerwowymi ruchami stara się zapiąć lekki, szary płaszczyk, ale w pośpiechu wciaż nie może natrafić na właściwy guzik. Kiedy tak walczy z guzikami, zaczyna jej się zsuwać z prawego ramienia opaska z gwiazdą. Szybko ją podciąga, a wtedy, na domiar nieszcześcia, mały czarny kapeluszek zjeżdża na tył głowy i pada na ziemię, zanim zdążyła go przytrzymać.

Stanęła bezradnie, nie wiedząc, co ma począć. Ale jeden z żołnierzy pochylił się, podniósł kapelusze i mocno go osadził na jej głowie, aż po same oczy. Drugi kopnął ją jednocześnie kolanem i obaj ryknęli wesolym śmiechem. Zgarbiła się lekko, wcisnęła głowę w ramiona i ze sztywno zwisającymi rękami poszła prędko w niezapiętym płaszczku i głęboko opadającym na oczy kapeluszu.

- Zaraz ją wykorczą - powiedział ktoś półgłosem.

Wychyliły przez okno widziały ją jeszcze długo, aż skłębota za parkanem na lewo. A za nią dwaj żołnierze. Ale nie rozległ się stamtąd żaden wystrzał.

Upał zawisł tępo nad piaskami, unieruchomił gałęzie drzew i, zdawało się, pograżał wszystko w lepkiej, przezroczystej galarecie. Automataczne drzwi wagonów stuknęły. Pociąg drgnął i ruszył powoli. Pasażerowie nerwowo skupili się przy oknach.

Nieduży placyk o parę set metrów od stacji zalegał tłum żydów. Siedzieli na ziemi w ciasnym czworoboku, równo uszeregowani rzędami. Nieruchomo i w zupełnym milczeniu patrzyli na mijający ich pociąg. Przed pierwszym szeregiem stała w niedbałej dziecięcej pozie mała dziewczynka i wyciągała rączkę do pograżonej w bezruchu matki. W drugiej trzymała lalkę. Słońce wylewało gesty żar wprost na głowy siedzących. Na całym placu nie było ani jednego drzewa, które by dało upragniony cień. Czarny kapelusik może się przydać tamtej panience w płaszczku. Ale jak sobie poradzą siwówłose panie, które tak nieopatrznie wyszły z zigoitymi głowami. A co z chorymi? - W mrowiu wybladych twarzy widać gnieniegdzie płamy leżących postaci.

Blżej toru, w cieniu kilku sosen stał długi mahoniowy stół, przy którym wygodnie rozsiedli się żołnierze. Żywo gestykulowali, śmiali się głośno, obcierali pot z czerwonych opalonych twarzy i gasili pragnienie piciącymi się piwem. Butelki stały na stole, leżały w nieładzie na wyschniętej trawie.

Siedzący tłum trwał nieruchomo w niemym posłusznym oczekiwaniu.

Kiedy już minęliśmy placyk, zauważyłem na bocznym torze samotny wagon towarowy. Jakis miał przeszczać się przez szpary, osiadał białymi grudkami na stopniach i buforach. - Wapno.

Za oknami pociągu szybko przesunęły się piaszczyste pagórki i wytyczone kołczastym drutem granice ghetta. Po paru minutach przejeżdżaliśmy przez most na rzeczkę. Setki kobiet, mężczyzn i dzieci brodziły w barwnych kąpielowych kostiumach po płytkiej wodzie, wylegiwały się na plażach lub w cieniu nadbrzeżnych drzew. Wokół sprzedawców łodów i kwasu stały gromadki zgrabnych, ładnie opalonych chłopców i dziewcząt. Twarze pasażerów, zmęczonych dusznym mimo otwartych okien powietrzem, zaczęły się powoli wypogadzać. Ktoś rzucił jakiś żart, odezwały się niesmiałe jeszcze śmiechy. Sąsiad mój, który dotąd siedział bladej i zamysłony, nagle szeroko i jakby z ulgą odetchnął. Widocznie do wagonu wpadł wreszcie chłodniejszy powiew.

Około siódmej wracałem z powrotem. Pociąg elektryczny przeciągał, melodyjnie zawył i miękko wtoczył się na stację. Rozmowy w wagonie, już od paru minut stopniowo zanikające, teraz umilkły zupełnie. Pasażerowie znowu skupili się przy oknach.

Na bocznym torze stał bardzo długi pociąg. Znany mi już plac zastąpił wagon. Pierwszy i ostatni osobowe, reszta towarowe - kolejno ponumerowane kredą. 1, 2, 3, 4, 5, 6... aż do 50. Na małych podłużnych okienkach widać jasne zygzałki nowego drutu kołczastego. W okienkach tych ujrzałem najpierw wyciągnięte, chude ręce, które z wysiłkiem czepiały się wewnętrznych ram. Palce poruszały się wolno, jakby czegoś szukały. Potem zobaczyłem oczy. Jedne nieruchome, inne szybko błądzące. Niespokojnie błyszczały w podłużnych obwódkach zacerwienionych powiek. Semickie, rasowe, wyblakłe, przerażone. Wreszcie dostrzegłem wyraźnie twarz młodej dziewczyny o jasnych, rudawych włosach, bladoniebieskich oczach i z drobnymi piegami wokół cienkiego nosa. Patrzała prosto na mnie połykającym jak w gorące spojrzeniem. Zdawało się, że mnie o coś pyta, a może prosi. Zamrugąłem powiekami, bo pewnie wpadł mi w oko jakiś ostry pyłek i opuściłem wzrok.

Obok mnie ktoś się odezwał: - "Widziałem, co oni robili na kresach. Oficerom naszym, jeńcom, płuli w twarz". - Inny dorzucił: - "A jak witali tu Niemców we wrześniu! Do idących na Warszawę żołnierzy niemieckich wołali: - Niech was Bóg prowadzi!" - "Pewnie nie wszyscy..." "Na pewno nie wszyscy..."

W dźwięku tych przytłumionych głosów usłyszałem lekkie drżenie, jakby wilgotny trzask nadiwanej gałęzi. Spojrzałem na twarze mówiących. Były bardzo blade i poważne, a nad zamysłonymi oczami brwi ściągnięty się w surowym skupieniu.

Z towarowych wagonów nie dochodził żaden głos. Nie słychać było jęków ani płaczu. W zupełnej ciszy przesunęły się w obramowaniu odrutowanych okienek szeroko rozwarłe

oczy i blade, naprężone ręce.

Kiedy pociąg nasz stanął i drzwi wagonów otworzyły się z hałasem, pasażerowie wyszli bez pośpiechu i w milczeniu przystanęli na peronie. Lokomotywa pociągu towarowego gwizdnęła krótko, ostro i po chwili pociąg wolno, głucho przetoczył się kilka metrów i ciężko stanął. Znowu jeden wagon naładowany, zaczyna teraz ładować następny. Połowa wagonów była jeszcze pusta. Ale w ciągu paru godzin wypełnią je posuszne ręce i oczy. Zawisną jak pajęczyna na podłużnych okienkach, lecz nie zakłóca ciszy wieczoru. Stało się inaczej. Kiedy zapadł zmrok, rozpalono dookoła pociągu ogniska. Objęły przy nim straż posterunki, aby nie dopuścić nikogo do wagonów. Było to o tyle przeczonne, że zamknięci w wagonach nie wytrwali w milczeniu. Z powodzi siów wybrali jedno siewo, które rzucali w noc przez małe odrutowane okienka. Początkowo nieśmiało je szepotali, potem mówili, a wreszcie zaczęli wołać. Brzmiało to jak monotonny plusk. Jedno pospolite słowo:

- Wody!

Po kolacji wyszedłem do ogrodu przed dom. Wieczór był przezroczysty i ciepły. Sosny i akacje stały ciche i leniwe. Światło księżycy połyskiwało sennie na brunatnej korze, na gałęziach i na liściach. Ćwierkały świerszcze. Niebo płynęło miękko i wolno, delikatnie wymijając gwiazdy. Zdawało się, że sama tkiłowość, czułość i łagodność rozlały się w przyrodzie. Usiadłem na ławce i znużony całodziennym upałem pogrążyłem się w przyjemnym bezwładzie. Po chwili usłyszałem przeciągły gwizd lokomotywy. Cisza nocna wyolbrzymiała go i zbliżała. Turkot wagonów wzmagął się szybko, a potem oddalił się wolno i rytmicznie.

Następnego ranka leżąc w ogrodzie zauważyłem wzmożony ruch na przyległej ulicy. Ludzie przebiegali w pośpiechu i jakby ukradkiem. Na plecach dźwigali olbrzymie toboły. Uginali się pod ciężarem zawiniętych w prześcierańta lub kolorowe obrusy poduszek, kołder, materaców i odzieży. W rękach nieśli dziwne przedmioty: lampy, kryształowe wazonory, gipsowe figurki, dziecinne zabawki, walizy - stare, obszarpane i eleganckie, skórzane. Złani potem, z niespokojnie zerkającymi oczami wyglądali jak objuczone ponad miarę mrowki, które ratują skarby zburzonego mrowiska.

Przeważnie były to kobiety i dzieci. Skąd brały siły, aby dźwignąć na sobie tyle rzeczy i to w takim pośpiechu? - Gdy zadawałem sobie to pytanie, przypomniał mi się nagle niepokój panny Marysi o "naszych", którzy z narażeniem życia pobiegli do ghetta "po rzeczy".

Podszedłem do piotu przy chodniku. Właśnie przechodził tamtędy kilkuletni jasnowłosy chłopczyk. Ciągnął za sobą duży kremowy wózek dziecinny, który miękko kołysał się na resorach. Na białej poduszeczce, pośród delikatnych koronek leżały zardzewiałe żelazne rury, kawałki niklu i miedzi.

- Skąd to masz? - spytałem.

Chłopczyk stanął, spojrzał na mnie z lekkim błękitnymi oczami i jękając się wyrecytował:

- Mój tatus tam przedtem był dozorcą. Zabrał stamtąd studnię. Bo teraz mogą ukraść. A tatus był dozorcą.

- A skąd masz ten wózek?

- To żeby odwieźć studnię.

Patrzył wciąż na mnie i jakby czekał. Ale ja milczałem. Szarpnął więc wózek i poręptał. Tylnie prawe koło wykrzywiło się śmieszonymi zygawkami i skrzypiało. Chłopczyk odwrócił się do mnie i uradowany, że znalazł najbardziej przekonywujący argument, zawołał:

- O! koło jest zepsute!

Usta jego rozchyliły się w ładnym dziecinnym uśmiechu.

Po południu, czekając na spóźniony pociąg, siedziałem długo na werandce przy stacji kolejki. Po peronie kręciło się kilkunastu ludzi. Pochylali się ku sobie, szepotali, urywanymi gestami wskazywali na coś, na chwilę przysiadali na ławkach, szybko zrywali się i znikali za stacją lub za obrośniętym akacjami piotem za torami. Wkrótce znowu się zjawiali - rozgorączkowani, czujni, niespokojni. Twarze ich były blade, w zamglonych oczach migotały chłodne błyski, zacisnięte wargi wykrzywiały czasem niechlujny grymas, który miał być zapewne uśmiechem.

Kiedy zastanawiałem się nad przyczyną podniecenia tych ruchliwych ludzi, liście akacyjowego żywopiotu gwałtownie zaszeleściły i po chwili usłyszałem, jak na ziemię upadł jakiś miękki przedmiot. Poprzez rzadkie u dołu gałęzie ujrzałem olbrzymi toboły.

Kilka par ramion zaczęło go szybko rozwijać. Ludzie na peronie uspokoił się nagle, wpatrzeni chwilę w pracę rąk za żywoplotem. Wkrótce zza krzaków wyszły dwie kobiety. Jedna niosła spory toboł, druga wypchany worek. Twarze ich były czerwone, spojrzenia zuchwałe. Szły szybkim energicznym krokiem przez tory i śmiało potrącając ludzi na peronie skręciły za rogiem budynku stacyjnego. Za kobietami podążały drobnymi kroczkami trzy małe dziewczynki. Grzecznie dopomagały swoim matkom, troskliwie dźwigając mniejsze zawiniątko. Na końcu wybiegali dwaj chłopcy. Jeden niósł w prawej ręce spłoniwały staroświecki wachlarz, w lewej dużą siekiere. Drugi miał szklaną cukiernicę bez pokrywki. Wymachiwał nią wesoło, trzymając za metalową rączkę.

- Przyjemnie ci, żeś ukradł? - spytałem, gdy mnie mijali.
- A co ja tam ukradłem! - odpowiedział bez namysłu, machnął jeszcze szerzej cukiernicą i pobiegł za zdobywcą wachlarza i siekiery. - Istotnie cukiernica bez pokrywki jest niczym wobec skarbow, jakie można znaleźć w ghetcie.

- To wszystko jest nasze. My pracowaliśmy na nich. A oni mieli - rzekł ktoś wolno i stanowczo.

- Może to i lepiej, że rzeczy się nie zmarinują - odpowiedział miękki głos starszej kobiety.

- Oni po prostu rabują! - twardo zabrzmiał inny głos.

Spojrzałem. Mężczyzna o wychudzonej twarzy, w spłoniątej czapce kolejarskiej trzymał w rękach butelkę mleka i zawinięte w gazetę pomidory. Jedną nogę miał drewnianą.

- Nie mają wstydu! Ja tobym nigdy! - zawołała drobna kobieta w pretensjonalnym słomkowym kapeluszu. Kurczowo ścisnęła podniszczoną torbę. Mimo zdecydowanego tonu głosu, poprzez błyszczące jej oczy i wypleki na policzkach dostrzegłem wyraźnie, że jeszcze toczy w sobie walkę.

Starłem się teraz przyjrzeć uważniej ludziom na peronie. Ale zamiast pojedynczych twarzy i spojrzeń widziałem tylko grupy przyyczajonych sylwetek. Przez trzy przebiegł znowu chłopiec z wachlarzem i siekiere. Wreszcie z sapaniem i brzękiem nadjechał spóźniony samowarek.

Tuż za stacją zaczynało się ghetto. Pociąg minął drewniany graniczny plot, przy którym po jednej stronie stali policjanci żydowscy - młodzi, zgrabni, wysocy, w eleganckich butach oficerskich - po drugiej ciasno stłoczone gromadki mężczyzn i kobiet. W napięciu i żarliwym skupieniu patrzyli w stronę ghetta.

Czekali.

Brzydkie drewniane domki stały w zupełnym pustkowiu. Dookoła widać było tylko niskie pnie wyrąbanych sosen i małe krzaczki przycupniętych w piasku akacji. Niektóre drzwi i okna były pozabijane deskami, reszta szeroko otwarta. Na werandach i balkonikach - krzesła i leżaki. Na jakimś tarasie, za przywiednymi już w skrzyżniach kwiatami, stał jeszcze mały stoliczek i dziecienny fotelik na biegunach. Przed żółtym oszklonym gankiem leżały zwalone na kupę naczynia kuchenne i niebieskie miski.

Na ścianach kilku domków widniały dziwaczne słowa i napisy. Czytałem je zdumiony i przerażony. - "Szewc", - "Pracownia sztucznych zębów", - "Krawiec", "Fryzjer", "Zegarmistrz". I znowu "Fryzjer" - "Manicure" - "Wieczna ondulacja". - Wiatr poruszał brudne muslinowe firanki. Było cicho i pusto.

Kiedy wyjeżdżaliśmy już poza obręb ghetta, w otwartych oknach odległego domku zamajaczyła postać kobiety w białej chustce na głowie. Pośpiesznie wyrzucała na zewnątrz poduszki, pierzory i jakieś kolorowe szmaty. Odwróciłem się szybko od okna i zapaliłem papierosa.

Wkrótce małe wagoniki kolejki zatoczyły szeroki łuk. Po drugiej stronie nasypu zauważyłem grupę kilku żołnierzy niemieckich w stalowych hełmach. Łufa ciężkiego ka - rabinu maszynowego czerniała na wysokości szyn kolejowych. Skierowana była w stronę piaszczystych wycm z kępkami karłowatych drzew i krzaków. Przedpole ghetta leżało jak na dłoni w zasięgu cekaemu.

Twarze żołnierzy pod stalowymi hełmami uśmiechały się drwiąco. Tylko jedna twarz nachylona przy celowniku była poważna i skupiona, a para oczu patrzyła zimno i uważnie.

Odjazd długiego towarowego pociągu nie zakończył likwidacji ghetta. Znaczna część Żydów uciekła. Przez kilkanaście dni trwały oblawy. Niektórzy pokrywali się w piwnicach pod domami. Po paru dniach zaczęli tam gotować jedzenie. Dym ich zdradził. Było nawet kilka pożarów. Drewniane domki wylisły od upałów, a przewody dymne w piwnicach miały szpary. Przeszukiwano domy skrupnie i znalezione zabijano na miejscu. Straży słychać było w dzień i w nocy. Wyłapywano też ukrywających się w okolicy. Szef miejscowego Gestapo, pan S., prowadził sam kolumny pochwyconych zbiegów. Kiedy szli

przez laski i ogrody, często rozlegał się szelest w sąsiednich zaroślach. To ukryci w nich Żydzi opuszczali swoje schronienia i jak urzeczeni przytaczali się do pochodu. Może już nie mogli znieść samotności. Po doprowadzeniu na teren ghetta natychmiast wykonywano egzekucje. Tuż za kościołem. Po każdej salwie lub terkocie karabinów maszynowych słychać było jeszcze kilka strzałów pojedynczych. Widocznie nie wszyscy umierali od razu.

Do grzebienia zastrzelonych sprowadzono Żydów z pobliskiego obozu pracy. Przyjechali na kilku wozach, eskortowani przez policję granatową. Twarze mieli opalone, spokojne i rozmawiali ze sobą głośno i wesoło. W rękach trzymali łopaty.

Nie wiem, co się stało w Jankielu. Dowiedziałem się tylko, że w dniu likwidacji ghetta zjawił się na chwilę w ogrodzie pensjonatu. Przyszli rano sam, bez siostry Rajzli i kuzyna Abrama. Ktoś go widział, jak stał koło kuchni nieśmiało i w milczeniu. Potem gdzieś zniknął i odtąd już się nie pokazał.

W okolicznych laskach widziano przez kilka dni kryjówki dziecięce. Małe dołki, wykopane w ciepłym plasku i przykryte gałązkami akacji. Od czasu do czasu wysuwały się z nich czarne główki i drobne zaleknione twarze. Zdawało się wtedy, że wielkie żółwie wyciągają szyjki spod zielonych skorup.

Niektórzy przechodnie rzucali jedzenie na gałązki akacji, a w nocy mieszkańcy dołków skradali się do pobliskich studni.

Wkrótce rozlepiono na ulicach różne plakaty, obwieszczające urzędowo, że "...część Żydów oddaliła się bezprawnie z żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej i ukrywa się w okolicy. Zwracam uwagę, że udzielanie Żydom schronienia i zapożyczanie w żywność jest wzbronione i podlega karze. Każdy jest obowiązany zawiadomić natychmiast najbliższy posterunek policji, żandarmerii lub policji kryminalnej o miejscu pobytu Żydów". Podpisano: - *Der Kreisshauptmann in Warschau*.

Czy zawiadomił kto policję, żandarmerię i policję kryminalną, że miejscem pobytu dzieci, które oddaliły się bezprawnie z żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej są małe dołki, przykryte gałązkami akacji?

O losie wywiezionych krążyły rozmaite pogłoski. Jakoby wyładowano ich gdzieś w polu i rozstrzelano, jakoby zawieziono do Treblinki. A tam... Różnie o tym mówiono.

Do jednej z miejscowych restauracyjek przyszedł młody, przystojny mężczyzna. Na prawej ręce miał sztywną żółtą opaskę z napisem: *Ghetto Polizei*. Zamówił suty i wykwintny obiad. Jadał z apetytem, w milczeniu. Alkohol stopniowo rozwiłzał mu język. Spokojnie i panując nad sobą opowiedział szczegółowo jedną historię. Chwilami jednak wzruszenie przeszkadzało mu mówić, bo była to jego własna historia.

Mieszkał w dzielnicy żydowskiej z żoną i pięcioletnią córeczką. Kiedy zaczęła się pamiętna noc, chciał uratować chociaż córeczkę. Za umieszczenie jej przy polskiej rodzinie ofiarowywał ogromną sumę. Matka jednak nie chciała rozstać się z dzieckiem. Liczyła na to, że oszczędzą ich, jako rodzinę żydowskiego policjanta. Wieczorem następnego dnia znalazły się obie w jednym z ponumerowanych kreda wagonów towarowego pociągu. On - mąż i ojciec - został przydzielony do eskorty. Jechał w wagonie osobowym. W Treblince /a więc to jednak Treblinka! / znowu zobaczył swoją żonę i córeczkę. Na szczęście wytrzymały tę podróż w wysypianym nielasowanym wapnem wagonie.

Staną w pobliżu nich. Tak odruchowo, po prostu z przyzwyczajenia. Cóż zresztą innego mogli teraz zrobić dla nich, jak tylko stanąć w pobliżu? Kiedy ci, co dojechali, opuścili już pociąg, wszystkim dorosłym kazano rozbiierać się. Mieli iść do łaźni. Nie wiadzano, co to znaczy, ale rozkaz ten, jak i wszystkie poprzednie, wykonano bez żadnego protestu, szybko i posłusznie. Domyślał się, był prawie pewien, że z tej "łaźni" już nikt nie wróci. Żona zaczęła nagle krzyczeć histerycznie, aby ją ratował. - Jest przecież żydowskim policjantem!

Cóż mógł dla niej zrobić? Poszła z innymi. W tejże chwili żołnierz z rewolwerem w ręku kazał jego pięcioletniej córeczce położyć się na ziemi. Usiadła grzecznie na jakimś pagórku i ufnie patrzyła na ojca, który przecież wszystko wie i wszystko może. Wściekły głos wykrzyczał rozkaz powtórnie. Pośpiesznie wyciągnęła na ziemi nożki w białych skarpetkach i zawołała:

- Tatusiu, prędko powiedz! Jak trzeba się położyć, żeby nie było widać śmierci? Przerwał opowiadanie i spuścił oczy. Powieki miał zaczerwienione.

Ktoś spytał półgłosem:

- I pan nic nie zrobił?

Podniósł wzrok z nad obficie zastawionego stołu i spokojnie powiedział:

- Cóż mogłem zrobić? Co my możemy zrobić teraz? To potem.

Wstał, zapłacił i wolnym krokiem wyszedł na ulicę. Rachunek wyniósł kilkaset złotych. Pieniądze przeznaczone na uratowanie córeczki już nie były mu potrzebne.

Słuchacze siedzieli w milczeniu. Wreszcie ktoś odezwał się zachrypniętym barytonem: - Nie mogę pojąć ich bierności, ich uległości. Co to właściwie jest? Strach, który paraliżuje wolę? Czy też kraczowa, niezrozumiała dla nas rezygnacja? Przecież oni idą na rzeź, wiedzą o tym i idą z pokorą i posłusznie. Nie słyszałem dotąd o żadnym buncie, żadnym proteście czy choćby odruchu rozpaczny. A przecież przed wrześniem mieli na cały świat krzyczyć o swoich prawdziwych i urojonych krzywdach!

- Mnie najbardziej zdumiewa ich milczenie - powiedział inny. - Oni, z natury tacy głośni, krzykliwi, hataśliwi. I patrzcie, reptem ucichli. Jak gdyby im kto odjął i głos, i gest, a pozostawił tylko oczy i siuch.

- Człowiek wyrwany gwałtownie z warunków życia cywilizowanego - mówił ktoś trzeci w zamyśleniu - odnajduje w sobie głosy i siły, których istnienia nawet nie podejrzewał. Budzą się nagle, wstają z mroków i rządzą człowiekiem. Może podobnie i Żydzi? Skazani na zagładę, usłyszeli w sobie pływacy przez wieki głosy swojej historii. I poszli, bezwolnie i na oślep, wsłuchani w ten straszny, lodem dzwoniący głos.

- A ja wam mówię - ostro rzucił zachrypnięty baryton - że hipnotyzuje ich po prostu siła! Brutalna władza i brutalna siła!

Różowy plakat, nawołujący do zawiadomiania o miejscu pobytu ukrywających się Żydów, nie osiągnął chyba zamierzonego celu. Po kilku dniach pojawił się nowy, tym razem żółty i większego formatu.

Tekst polski brzmiał:

- *Obwieszczenie. - Dotyczy kary śmierci za wspieranie Żydów, którzy przekroczyli bez uprawnienia granic dzielnicy żydowskiej. - W ostatnim czasie większa ilość Żydów wydosłała się bez uprawnienia za granicę dla nich przeznaczoną dzielnicy. Ci znajdują się dotąd w okręgu warszawskim. Przypominam, że trzecie rozporządzenie Generalnego Gubernatora z dn. 15. 10. 1941 r. /V Bl. GG. S. 595/ przewiduje, że nie tylko Żydzi zostaną skazani na śmierć za przekroczenie dzielnicy żydowskiej, ale każdy, kto w jakikolwiek sposób dopomaga im w ukrywaniu się. Zaznaczam, że za pomoc udzielaną Żydowi nie uważa się tylko przenoszenie ich i wyżywienie, ale również przewożenie ich jakimkolwiek środkiem lokomocji, kupowanie u nich różnych towarów itp.*

Zwracam się do ludności okręgu warszawskiego z wezwaniem, aby każdego Żyda, który bez uprawnienia przebywa poza granicami dzielnicy żydowskiej, natychmiast zameldować u najbliższego posterunku policyjnego względnie żandarmerii. Kto udziela pomocy Żydowi, albo jeszcze dotąd udziela, a do dnia 9. 9. 1942 godz. 16-ta zamelduje w najbliższym posterunku policyjnym lub żandarmerii, nie podlega odpowiedzialności karnej. Również nie podlega odpowiedzialności karnej ten, kto do dnia 9. 9. 1942 godz. 16-tej nadeśle rzeczy nabyte od Żyda albo zawiadomi o tym najbliższy posterunek policji względnie żandarmerii. - Warszawa, dnia 5 września 1942 r. - Kierownik SS i Policji dla Okręgu Warszawskiego.

Czytając ten plakat doznawałem wrażenia, że słyszę zgrzytanie żardzewiałych świdrów po szkło. Może pochodziło to stąd, że surowa treść obwieszczenia tak szczególnie harmonizowała z szorstkością i niechlujstwem polskiego przekładu.

W miarę upływających dni zdarzenia początkowo niepojęte przestawały już dziwić. Oddaliły się po prostu.

Na wspomnienia opadała mgła i zatarła ostrzejsze kontury. Życie toczyło się dalej - niezniszczalne i obojętne. Zdawało się chwilami, że nic się nie zmieniało. Przybyły jedynie ludziom nowe troski i nowe uciążliwe prace. Na drogach wiodących do ghetta i wzdłuż toru kolejowego widać było coraz liczniejsze pielgrzymki, pochylonych, uginających się pod ciężarami postaci. Tylko kobiety i dziewczynki nosiły worki i tobozły. Mężczyźni i chłopcy dźwigali na plecach szafy, stoły, łóżka, kunsztownie umocowane piramidy krzesel, tapczany. Utrudzeni byli bardzo, bo nogi grzęzły w głębokim piasku, a słońce prażyło bez litości.

Upalna pogoda ustaliła się na długo. Uboga roślinność skurczyła się i zwiedła. Trawa szeleściła pod nogami jak suche siano, nieliczne krzewy bzu opuściły bezwładnie liście. Przystrzyżone wzdłuż ścieżek akacje zaczęły nagle usychać, jakby korzenie ich przetoczyły robaki. Było duszno i gorąco. Zdawało się, że jest pełnia lata.

Któregoś bezchmurnego popołudnia zerwał się gwałtowny wiatr. Drzewa pochyliły się i głośno zaszumiały, Na ziemię, jak z rozprutego worka posypały się wyblakłe liście i suche szpilki w kształcie litery V. - Pod nieskazitelnie zielonymi na pęczor koronami drzew czaiła się już jesień. Wiatr, jak zerwał się raptownie, tak też raptownie zaradził. Było znowu cicho, słonecznie i spokojnie. Tylko nadal, choć coraz już rzadziej, rozlegały się w stronie ghetta, tuż za kościołem, głośne salwy. A po każdej z nich kilka pojedynczych strzałów.

Po odejściu oddziału specjalnego, który nosił dźwięczną nazwę *Vernichtungs-Kolonnen*, akcja oczyszczająca skoncentrowała się niepodzielnie w rękach szefa miejscowego Gestapo, pana S. Był to człowiek niepozorny, szczupły i niski. Nosił czapkę z czarnym otokiem, zielonkawą mundur z czarnymi patkami SS, wysokie czarne buty na krzywych nogach i grubą szpicrutę w obrośniętej rudawym meszkiem pięści. Elado-żółta twarz jego stanowiła jedną kolorystyczną plamę z żółtobrazową koszulą, ozdobioną czarnym krawatem.

Widywano go nieraz na dworcu kolejowym. Stawał o parę kroków za kontrolerem, który odbierał bilety od przyjeżdżących. Uderzając szpicrutą o cholewę, przyglądał się mijającym go ludziom wzrokiem zimnym i wodnistym. Większość pasażerów znała go dobrze z widzenia. Przechodzili więc szybko, z oczami spuszczoneymi i bezbarwnie obojętnymi twarzami. Było wiadomo, że pan S., zwłaszcza pod wpływem alkoholu, miświe gwałtowne przypływy fantazji. Zresztą dzisiaj to w ogóle jest lepiej, bezpieczniej być niedostrzeżalnym i nijakim.

A przecież pan S. był człowiekiem usłużnym i towarzyskim. Często przejeżdżał przez ulice miasteczka zaprzężonym w parę białych koni powozem na grubych gumowych oponach. Furman miał ubranie cywilne, a na głowie czapkę podobną do polskiej policyjnej. Widziałem raz, jak pan S. kazał furmanowi stanąć i zaprosił do powozu przechodzącego oficera polskiej strazy pożarnej. Tamten skwapliwie podbiegł z życzliwym i wesołym uśmiechem. Innym razem widziałem, jak w swoim powozie czekał na kogoś przed apteką. Po chwili zeszedł po schodkach postawny oficer policji granatowej i swobodnie, nie spiesząc się usadowił się obok pana S. W obydwóch wypadkach nie zauważyłem, aby okazywał gościom swoją urzędową i przyrodzoną wyższość. Przeciwnie, odnosili się do siebie wzajemnie z koleżeńską prawie poufałością.

W przekonaniu, że stosunek jego do ludzi był prosty i życzliwy, utwierdził mnie jeszcze jeden fakt. Przechodziłem kiedyś obok restauracyjki przy bazarze, ulubionej knajpki pana S. W pobliżu stał znany mi już powóz z białym zaprzęgiem. Kiedy miałem ten powóz, drzwi od restauracyjki otworzyły się i ukazała się w nich podobna do pajęka figurka w zielonkawym mundurze. Pan S. machnął ręką i skrzekliwym głosem wołał: - Kaźo, chodź! - Furman /Kaźio mu na imię! / podniósł dłoń do czapki, podobnej do polskiej policyjnej, i pobiegł kiusem do swego pana. Wiedział dobrze, że czeka go wódeczka i zakąska. Jednocześnie ze drzwi restauracyjki wychyliła się młoda siostra niemiecka. Była pulchna, twarz miała w wypiekach i głośno się śmiała. Podszła do koni i energicznie, po męsku klepała je po szyjach. Zbliżałem się już do domu, gdy usłyszałem turkot za sobą. Powóz pana S. jechał pusty, tylko na wysokim koźle zamiast Kazia siedziała pulchna siostra. Trzaskała z bata i podnieconym głosem wrzaskliwie pokrzykiwała na konie.

Mieszkał pan S. w nowoczesnej, żółtokremowej willi, tuż obok figury Matki Boskiej z wyrwitem na cokole napisem: "Grzesznych obrono, smutnych korono - Tyś jest wonny kwiat".

Obszerny ogródek przy willi był dobrze utrzymany, słoneczny i pogodny. Starannie pielęgnowane kwiaty, przyszyrzyżone trawniki. Wrażenie przytulnej intymności podkreślały białe, różowe i niebieskie plamy porowieszanej na sznurach bielizny. - męskiej, damskiej i dziecięcej.

W ogródku tym miescił się mały zwierzyniec. W olbrzymiej klatce chowały się trzy maleńkie liski. Pan S. lubił przyprowadzać tutaj swoich gości, którzy w poważnym skupieniu wychekiwali, aż liski wysuną z wykopanej w klatce jamy swe ostre pyszczki. Wtedy wybuchałi wszyscy potężnym, radosnym śmiechem. W innej klatce było pełno królików. Szare, białe i białe z czarnymi łatami. Na miękkich łapkach toczyły się w miękkich podskokach, nerwowo poruszały delikatnymi noskami i bez przerwy chrupały całe stopy gałązek, trawy i liści kapusty. Kiedy pan S. podchodził do klatki, stawały na tylnych łapkach, ciasno przytulone do siebie i wielkimi wyupiastymi oczami patrzyły tępo, ale ufnie i łagodnie na swego pana. A on przyglądał się tym puszystym ślupkom z czułym uśmiechem na bladoszarej twarzy. Szeroko odsłaniał przy tym suche, żółtawe zęby.

- Nieco głębiej, w ogrodzonym siatką wygonie, rezydowała świnia. Pochrzakiwała głośno

i arogancko. Nie była to zwyczajna świnia. Sierść miała długa, lśniąca i zupełnie czarna.

Gdy się patrzyło od zewnątrz na ten dom i ogródek, mogło się wydawać, że życie pana S. płynie spokojnie i bezpiecznie. A jednak i on miał swoje troski i kłopoty. Kierując osobiście ostatnimi łapankami szef miejscowego Arbeitsamtu, pan D., złapał na ulicy zaufanego dozorcę domu, w którym zamieszkuje pan S. Nie trudno wyobrazić sobie, jaka była konsternacja i ile niepotrzebnych gniewów i formalności.

W okresie likwidacji ghetta pan S. był naprawdę przeciążony pracą. Wydawał instrukcje, zarządzał obiawy, brał udział w egzekucjach. Strzelał sam z rewolweru do żydów, bezczelnie ukrywających się w głębokich piwnicach, strzelał do dzieci żydowskich, sprytnie przyczajonych w małych dołkach pod gałkami akacji.

Pracował gorączkowo, toteż z prawdziwą przyjemnością wracał do zacisza eleganckiej willi, aby odpocząć w gronie swoich najbliższych.

Niedawno, wkrótce po licznych salwach za kociołem, przechodziłem obok jego domu. W otwartym oknie na piętrze ujrzałem pana S.

Zdjął zielonkawy mundur. W rozpiętej pod szyją koszuli i szelkach rozpiera się na parapecie. Wygląda teraz tak, jak musiał wyglądać kiedyś, gdy przed rozpoczęciem kariery policyjnej był skromnym krawcem pod Berlinem.

Słyszę, jak żartobliwie przedrzeźnia zuchwale chrząkającą, czarną świnie i z szorstką pieśzczotą czule z nią rozmawia.

Bez wątplenia, pan S. kocha zwierzęta.

Na dole w ogródku brzydka chuda szatynka, o wyglądzie podrzędnej ekspedientki, uśmiecha się do niemowlęcia w wózku. Odgania natrętne muchy gałką akacji.

EDMUND WIERCIAŃSKI

Pamięć historii

*Ezy obeszty dawno już,
ale niepamięci kurz
warto żeby jakiś wiatr narazicie świat,
warto pięścią w stół uderzyć,
czarną prawdę tak odmierzyć
jak ten Szmul gdy na frak miarę brał.
/Wojciech Młynarski, Tak jak malował pan
Chagall/*

Należę do pokolenia, które urodziło się na tyle późno, by nie pamiętać czasu zagłady Żydów. Ale w przeciwieństwie do innych kart wojennej historii mojego narodu - tej nie znam z opowieści rodziców i dziadków. Numer "żydowski" Znaku, Shoah Claude'a Lanzmanna, słynny artykuł Jana Błońskiego w Tygodniku Powszechnym* - to głosy, które nieodmiennie wywołują w opinii publicznej mojego kraju reakcje oburzenia.

Janowi Błońskiemu wielu odmawia prawa głosu z tego powodu, że autor "Biednych Polaków..." był w czasie wojny zaledwie dzieckiem. Nas wtedy nie było na świecie. Mimo to nie uważamy, żebyśmy nie mieli na ten temat nic do powiedzenia. Owszem, nie będąc obciążeni własnym przeżywaniem tamtego strasznego czasu, widzimy te sprawy chyba jaśniej, bo bez emocji. Ale to, co widzimy, nie dotyczy przecież tylko poprzedzających nas pokoleń. Ich dotyczy to bezpośrednio, ale i my nie możemy powiedzieć: to nie

* Jan Błoński, Biedni Polacy patrzą na getto, Tygodnik Powszechny nr 2 z 1987 r.

nasza sprawa. Jesteśmy Polakami i jesteśmy nimi świadomie, a zatem czujemy się do dziedziczenia integralnej przeszłości narodu: zarówno tego, co było w niej wielkie, jak i tego, co było małe. Może wolelibyśmy, żeby istniało tylko to pierwsze, ale na pytanie o to, jaka jest nasza historia, odpowiadamy: wielka i mała zarazem.

W Polsce dokonana się w latach wojny pod okupacją niemiecką niemal zupełna likwidacja zamieszkałej tu społeczności żydowskiej. Ocalało - według różnych szacunków - od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu¹ ponad trzech milionów Żydów. Nikt poważny nie kwestionuje faktu dokonania tej zbrodni przez Niemców. Faktem pozostaje jednak również i to, że Żydzi umierali w opuszczeniu i obojętności ogółu Polaków. Postawy niesienia im pomocy jak i, przeciwnie, postawy prześladowania ich /szmalcownictwo, wydawanie ich Niemcom/ pozostają statystycznie nieistotne. Większość Polaków pozostała po prostu bierna wobec zagłady². Bierność owa - właśnie ze względu na jej powszechny charakter - powinna być już dawno stać się przedmiotem narodowego rachunku sumienia. Tak się nie stało. Głosy takie jak Jana Błońskiego pozostają osobliwe i spotykają się z wrogiem przyjęciem większości opinii publicznej.

Jest uderzające, że wśród bardzo licznych zarzutów, z jakimi spotyka się taka postawa, bodaj najczęstsze są te, które odwołują się do rozmaitych win i zaniedbań Żydów w stosunku do Polaków. A więc powiada się, że Żydzi nas Polaków uciskali ekonomicznie wcześniej, a politycznie /policyjnie/ później, że nie byli lojalni wobec Polski ani przed, ani w czasie wojny, że Żydami byli Trocki, Radek i inni czoiwoli bolszewicy, a także - w nurcie skrajnym tej krytyki - np. że istnieje wszechświatowy żydowski spisek, który ... że Żydzi są czynnikiem rozkładu moralnego na świecie itp.

Stosunkowo rzadziej przywołuje się obiektywnie co do postawy samych Żydów wobec niemieckich planów ostatecznego rozwiązania i ich wykonania. Żydzi byli filogermanci - Żydzi poprzez własne formy organizacyjne /Judenraty/ pomogli Niemcom w przeprowadzeniu koncentracji, a wskutek całkowitej bierności - w eksterminacji. Poprzez kolaborację żydowskiej policji - w jednym i drugim. Mogli się ratować, a nie robili tego, więc o co się nas teraz oskarża? - pytają liczni Polacy.

Na trzecim miejscu pojawia się zarzut o "kalaniu gniazda". Mówi się: jak na warunki okupacyjne pomoc Żydom nieśli wielu Polaków, nie mamy się czego jakoś naród wstydić. To Zachód mógł realnie pomóc Żydom, ale pozostał bierny i teraz chce na nas zrzuć winę. Jeśli będziemy się bić w pierś, to przynajmniej nam na Zachodzie łatkę współuczestników zbrodni. Słowem: milczeć i zapomnieć.

A jednak ten sposób myślenia, jakkolwiek łatwo znajdujący poparcie i uznanie opinii publicznej, jest bałamutny. Ci, którzy atakują nas argumentami pierwszego typu /"to Żydzi nas krzywdzili"/, liczą na to, że okazemy się ignorantami i skonfundowani wycofamy się z dyskusji. Nie wycofamy się. Fakty, które się nam przypominają, są nam znane, a z niektórymi opiniami nie warto dyskutować. Wiemy o przedwojennej konkurencji ekonomicznej, wiemy o 17 września '39 i o latach stalinowskich, i o znacznym udziale Żydów w światowym komunizmie. I wiemy także, że owe fakty zaledwie pozwalają zrozumieć, dlaczego Żydzi umierali w osamotnieniu. Nie pozwalają na usprawiedliwienie. To smutne, że ponad 40 lat po wojnie, 20 lat po Marcu ludzie nieraz skądinąd wybitni, schodzą na ten poziom dyskusji. Niechby i wszystkie te fakty i wszystkie opinie o Żydach były prawdziwe. I co z tego? Przecież jesteśmy podobno narodem chrześcijańskim, chrześcijaństwo zaś kategorycznie odrzuca dewizę "oko za oko".

Argumenty drugiego typu /Żydzi sami godzili się na zagładę"/wydają się milcząco akceptować zasadę zwierzającej walki o byt w odniesieniu do ludzi: naród słaby ginie i to jest naturalne. I znowu nie wchodzi w to, ile jest prawdy w zarzutach o bierność Żydów, ponieważ jakkolwiek by było, nie usuwa to pytania o bierność Polaków. Jest coś odrażającego w usprawiedliwianiu własnej bezczynności wobec przemocy słabością ofiary. Tego, na kogo wskazuje się palcem mówiąc: "to on się nie bronił", już nie ma, a wtedy przeszły był strachem i ... No właśnie, o tym wypadła nam milczenie.

I wreszcie sprawa "kalania gniazda". Czy ci, którzy chcieliby zapomnieć i spowdować, by i inni zapomnieli, wierzą naprawdę, że robi to w świecie dobre wrażenie? A może jest odwrotnie? Może to jednak głosy uczciwie nie uchylające się od odpowiedzi na trudne pytania poprawiają nasz image? I jeszcze jedno: czy ci, co zakazują "kłać gniazda" są rzeczywiście przekonani o jego czystości? Zastanawianie się biernością Zachodu nie jest poważne. Nie jest bowiem poważny naród, który przywołany

¹Według Teresy Frekerowej /"Sprawiedliwi" i "bierni", Tygodnik Powszechny nr 13 z 1987 r./ od 1 do 2,5% Polaków pomagało Żydom.

do zdania sprawy z własnej przeszłości, nie robi tego, lecz wytyka winy innym narodom. To prawda, że inni też nie pomogli żydom, a nawet przyłożyli rękę do zagłady. Ale ja nie jestem inny. Jestem Polakiem i interesuje mnie przede wszystkim konto mojego narodu.

Wszelako najcięższym argumentem wydaje się zwolennikom zapomnienia młody wiek tych, co chcą pamiętać. W związku z tym chciałbym zapytać: czy historykom lub pisarzom należy zakazać wypowiedania sądów o epoce Stanisława Augusta, Batorego czy nawet Chrobrego dlatego, że jej osobście nie pamiętają? I czy świadectwo strony zaangażowanej w spór musi być prawdziwsze od opinii kogoś, kto zapoznał się ze świadectwami różnych stron?

Czujemy się Polakami. To znaczy, że dzieje tego narodu są naszymi dziejami: te chwalebne i te mroczne. Nie mamy tej wiary "prawdziwych Polaków", która w polskości każe im widzieć samą tylko szlachetność. Wiemy za to, że należy wyciągać nauki także z klęsk i upadków własnego narodu. Jasne, że lepiej byśmy się czuli, gdyby tych upadków w przeszłości nie było. Ale byli, a zatem trzeba wyciągnąć z nich wnioski na przyszłość. W przeciwnym razie te upadki będą nam na przyszłość realnie zagrażać.

Jeśli zgodzimy się, że nasi ojcowie i dziadkowie są winni grzechu zaniedbania, to powstaje pytanie, czy i my ponosimy za to odpowiedzialność. Z jednej bowiem strony stoi poczucie dziedziczenia całej historii własnego narodu, a z drugiej - zasada głosząca, że można odpowiadać tylko za własne czyny. Tak pisze o tym Jerzy Jedlicki: *"Zadanie praktyczne polega tedy nie na ściganiu miarą zupełnego wywołania człowieka z moralnej niewoli", lecz na takiej mediacji między konsekwencjami obu zasad, która by złagodziła zachodzący między nimi konflikt. Istotnym warunkiem tej mediacji jest uściślenie treści, jaką podkładamy pod pojęcie zbiorowej odpowiedzialności. Jeśli ma ona oznaczać dziedzictwo winy i klątwy oraz prawo - człowieka lub Boga - do karania potomstwa za winy przodków, to pojmowanie takie a indywidualizującą zasadą sprawiedliwości żądną miarą pogodzić się nie da. Inaczej jednak rzecz wygląda, jeżeli odpowiedzialność wspólnoty pojmujemy jako dziedziczenie zobowiązań, z zasadą indywidualnego wymiaru sprawiedliwości nie kłóci się bowiem zasada, iż na spadkobiercę, który przyjął spadek, przechodzą drugi i zobowiązania spadkodawcy!"* /Dziedzictwo i odpowiedzialność zbiorowa, w: Obecność, Wszelchnica Społeczno-Polityczna, 1987/.

Zagłada się dokonała. Nie można cofnąć czasu. Pozostają gesty i na dobrą sprawę dziś toczy się spór o to, czy je wykonać czy też raczej nie. Przeciwni gestom są ci, którzy powiadają o sobie, że dbają o dobre imię Polaki na świecie. Myślę, że uporczywe milczenie o tym, co się stało, temu imieniu szkodzi, a nie pomaga. Nie przywrócimy do życia świata żydowskich miasteczek ani świata żydowskich dzielnic w polskich miastach. Ale możemy przechować pamięć o nich, a także pamięć o tym, w jaki sposób te światy zlikwidowano i o tym, jak Polacy patrzyli na tę likwidację. A jeśli patrzyli nań z obojętnością albo ze skrywanym uśmiechem, to musimy powiedzieć, że wstyd nam za nich. - pomimo wszystko.

Urodziliśmy się kilkanaście lat po wojnie. Wychowywała nas marksistowska szkoła, ale także mama z tatą i ksiądz katecheta. Kiedy pani od historii tłumaczyła na lekcji, że Armia Czerwona nie mogła pomóc powstaniu warszawskiemu, moja mama odpowiedziała na to w domu, że smiała ta najpierw zachęcała Polaków do podjęcia walki, a potem przez dwa miesiące beczycznie przyglądała się, jak Warszawa dogorywała. Kiedy w słynnych "Czterech Pancernych" - ówczesnym hicie filmowym dla starszych dzieci - Janek wstępuje w Rosji do wojska polskiego i nie wiadomo, skąd się w ogóle w Rosji wziął, w domach dowiadaliśmy się, skąd mianowicie. Kiedy w marcu '68 w szkole mówiono nam, że studenci zdemolowali ławki w którychś z warszawskich kościołów, ksiądz na lekcji religii wyjaśnił nam, że ławki zdemolowała milicja bijąc studentów, którzy schronili się w kościele. Ale kiedy w tym samym marcu '68 szczało na żydów, nasi rodzice nie protestowali oficjalnych bredni. Podobnie gdy przez wiele lat mawiano nam w szkole, że w czasie wojny zginęło 6 milionów Polaków, że obozy zagłady przeznaczone były przede wszystkim dla Polaków, a w następnej kolejności dla Rosjan, kiedy - słowem - wypierowano żydów z historii - wówczas milczeli i rodzice z dziadkami, i ksiądz katecheta.

Nasze pokolenie dorastało w radosnej świadomości, że Polska jest państwem jednolitym narodowościowo. Owszem kiedyś, przed wojną, żyli tu Ukraińcy, Białorusini, żydzi, ale teraz ich nie ma. Ukraińcy i Białorusini mieszkają teraz w Związku Radzieckim, co się stało z żydami dokładnie nie wiadomo. Naturalnie uprzeszczam. Były różne stopnie wtajemniczenia i różne stopnie rzetelności przekazu historycznego w szkole, w domu i w kościele. Generalnie jednak udało się im wszystkim wyparować żydów z naszej świadomości historycznej. Żydów omal nie było w podręcznikach, nikt nie prowadził nas

na ich coraz bardziej zapadające się cmentarze. Krakowski Kazimierz był dla nas wtedy nie mniej polski niż Rynek. Gdy jako harcerze trzymaliśmy honorowe warty na miejscach symbolizujących mordowanie Polaków przez nazistów, równocześnie nie mieliśmy nawet pojęcia o istnieniu skromnej tablicy na murze domu przy ulicy Lwowskiej, tablicy upamiętniającej tych, których wywieziono z krakowskiego getta do gazu. Tuż obok był wprowadzając Plac Bohaterów Getta, ale nie bardzo wiedzieliśmy, dlaczego tak się nazywał, tym bardziej że i tak wszyscy nazywali go po staremu Placem Zgody.

Na własną rękę odkryliśmy żydowski świat, którego naprawdę tu już nie ma, i teraz dopiero odczuwamy zażenowanie z powodu milczenia, jakie szczególnie okrywało materialne resztki tego świata przez niemal 40 lat. Takie zażenowanie, jakie odczuwa Rymkiewicz, kiedy ogląda miejsce, gdzie mieścił się w Warszawie Umschlagplatz: *"Gdzie były stępki, brama, wacha i zasieki, jest niezbyt szerokie prześciele terenem stacji benzynowej, a niebieskim pawilonem handlowym. Raczej przejazd niż przejście, bowiem jesteśmy na tyłach pawilonu i ta droga, którą ich pędzono, przeznaczona jest teraz dla półtęgarówek dowożących do sklepów - półtęgarówka miała wachę, zasieki, wjeżdża między stępki - pudła z makaronem, tace z ciastkami, plastikowe opakowania z proszkiem E lub z proszkiem Pollena. Ci, którzy zgłosili się sami, otrzymywali trzy kilo chleba i kilo marmolady. Lola Kapelusza, żona łódzkiego adwokata - wiem to z »Dziennika z warszawskiego getta« Abrahama Lewina - zgłosiła się z córeczką dwukrotnie, ponieważ dziewczynka od dwóch dni nie jadła. Odpędzono ją, bowiem w wagonach nie było już miejsca. Był podobno taki dzień, kiedy Niemcy musieli postać żydowskich policjantów, żeby rospędzili pałkami tłum napierający na bramę. Trwało to kilka dni, potem nie dawano już ani chleba, ani marmolady i znów zaczęły się łapanki. Idąc wciąż pawilonu handlowego - od tyłu - wychodzi się na plac zabaw. Plac zamknięty jest od południa siatką, za którą jest dziedzińiec czy raczej boisko należące do zespołu szkół zawodowych. Od zachodu jest niebieski pawilon, od wschodu zaś tylna ściana baraku, który należy do bazy PKS-u." /Jarosław Marek Rymkiewicz, Umschlagplatz, Instytut Literacki, Paryż 1987/.*

Żydowski świat odkryliśmy zatem na własną rękę. Dla mnie śladem, który doń prowadził, był żargon kibiców piłkarskich operujący antysemitycznymi zwrotami kierowanymi po prostu pod adresem piłkarzy przeciwnej drużyny lub ich kibiców. Z czasem odkryłem, że słowo "żyd" funkcjonuje w języku potocznym jako obelga także i w innych środowiskach. Później zobaczyłem, jak nerwowo reaguje starsze pokolenie na przywoływanie spraw polsko-żydowskich sprzed lat. Na koniec dotarłem do relacji i o zagładzie, i o latach następnych.

Gorsze były te drugie. Były gorsze, ponieważ świadczyły o tym, że na tych, którzy uczestniczyli w pogromie kieleckim i w innych drobniejszych polowaniach na Żydów, którzy powracających z kryjówek Żydów nie dopuszczali do ich domostw, że zatem na tych ludziach zagłada nie zrobiła żadnego wrażenia. Podobnie musiała ona nie robić wrażenia na tych, którzy już po ewakuacji Żydów wykradali z gett ich mienie.

W czasie okupacji niemieckiej za pomoc Żydowi groziła śmierć i ta okoliczność w poważnym stopniu tłumaczy bierność Polaków. Jednakże w świetle późniejszych wydarzeń okoliczność ta jawi się często nie jako wytłumaczenie, ale jako alibi.

Pozostali po zagładzie Żydzi byli garstką ludzi, którym cudem udało się uciec śmierci z rąk nazistów, do których przecież Polacy nie odczuwali sympatii. A jednak ta mała garstka, żywy relikw 3-milionowej społeczności, nie zaznała spokoju. Tak jakby te niedobitki były wyrzutem sumienia, który należy zniszczyć, bo dopiero wtedy zniknie pamięć o tym, co było wcześniej. Minęło 40 lat i nie ma już nawet niedobitków. Niestety, niektórzy chcą przywrócić narodowi pamięć, a pamięć jest trochę jak ci żydzi, co się uratowali z zagłady. Dlatego tak wielu Polaków broni się dziś przed pamięcią, boi się, że żydowski świat, który - wydawało się - przepaść na zawsze, znów powraca. Zginęły trzy miliony ludzi. Polacy, którzy tak pielęgnują własne groby, bronią się przed tamtymi grobami.

My chcemy pamiętać. Przecież nie po to, żeby stawić się moralnie ponad tymi, którzy czterdzieści kilka lat temu nie sprościli trudnej próbie. Raczej dlatego, że mamy świadomość człowieczej słabości, a przeraża nas myśl, że kiedyś moglibyśmy stanąć przed podobną próbą. Oby było nam to oszczędzone.

Nie my jedni mamy kłopot z przeszłością. Młodzi Niemcy mają go bardziej niż my. Musimy zaakceptować przeszłość; choć nie myśmy ją tworzyli, to jednak jesteśmy odpowiedzialni za to, co z niej wyniknie na przyszłość.

Aleksander Wat: pamięć i wygnanie

"Mój wiek", dzieło emigranta zmagającego się ze wspomnieniami odrębnego świata, jest jednym w swoim rodzaju świadectwem polskiego poety, pisarza i intelektualisty. Aleksander Wat, pochodzący z polskiej inteligencji, wychowany według typowo polskich schematów kulturowych, posiada jednocześnie solidną kulturę filozoficzną pochodzenia hebrajskiego. Stwarza mu to możliwość epizyryzacji z zewnątrz na własne środowisko. W tej książce znajdziemy setki nazwisk, setki silnych przeżyć, które na zawsze zachowała pamięć Wata. Pisarze, policjanci, strażnicy więzienni, salony, knajpy i szpitalne sale: jest w niej wszystko, jak w fascynującej powieści przygodowej. Bo rzeczywistość, łańcuch zdarzeń na świecie nie mógłby zastąpić Wata w tej części świata. Każdy szczegół, każda psychologiczna kreska potpiewająca kowalską godzę Europajczyka. Przyausowe zwalenie do Kazachstanu pogłębia jedynie jego katolicką wiarę, i miłość do ojczyzny. Powstała mu właściwie odcień znaczenie i ciężar gatunkowy kultury zachodniej. W 1977 roku, kiedy po raz pierwszy uważał się "Mój wiek", krzytycy zgodnie stwierdzili, że książka ta stanowi prawdziwe odzwierciedlenie dla zbrodniczych epizodów. "Na całym świecie, wydłuszy Wata - pisał Cz. Miłosz w wstępie do "Mojego wieku" - nie ma człowieka, który przeżył i odzyskał ten wiek w taki sposób".

Ażek jasna, Wat nie jest jedynym, który w latach sześćdziesiątych pisał o radzieckich męczarniach. W Europie i nawet poza nią, istniała potężna grupa wieźniów Gulagu oceniających z Cesarstwa Wschodu. Ich świadectwa chwytali za serce - ale ataki nie mogły naprawdę dotrzeć komunistom, gdyż, jak mówi sam Wat, był to "rodzaj trafienia z przeciwnego brzozy". Natomiast autor "Mojego wieku" był towarzyszem drogi tych, co zaniem zostali wystawi na szafot reżimu, mieli czas przeżyć naprawdę gorzyc ideologicznego rozczarowania w więzieniach potwora. Po, co intelektualniści zachodni przeżyli racjonalizację, Wat słyszenie i mowienie odczuł podczas długich lat więzienia w Zakładku Radzieckim. Taki typ doświadczenia chronił go skutecznie przed trucizną, jak zwanej w pełni "prograsymowej", której słabości doskonale poznali obrońców "współczesnej barbarii" nazwał prymitywami i grubianami, wysławiał jeszcze przed Solżenicynem i Bekowskim działania Wielkiego Brata zżapanego w sidła swojej własnej dialektyki. W dokształotowisku purywie nie oszczędza nawet tak sławny pisarzy jak Aragon i Sartre. Zarzuca im, że stali się służalczymi adeptami prostackiego katechizmu. Na początku lat sześćdziesiątych taka postawa mogła go doprowadzić jedynie do rozpaczy. Przyznaje, w swoich rozmowach z Miłoszem, że spóźnił się na swoje spotkanie z historią, poślubivszy ją w jakiś sposób: "byłem wszystkim czym należał być, tylko zawsze nie w właściwym czasie. Byłem politykiem, kiedy trzeba było być poetą i byłem poetą, kiedy trzeba było być politykiem. Byłem komunistą, kiedy porządni ludzie byli antykomunistami, zostałem antykomunistą, kiedy rozsądni ludzie byli komunistami. Byłem awangardystą, nowatorem, kiedy nie było w Polsce, wtoższca wśród młodzieży, żadnego ruchu ani ucha dla nowatorstwa, a kilka lat później zostałem synekretykiem, kiedy powstała młodzież, która chciała być nowatorska". // Paradoks ten można częściowo wytłumaczyć intelektualnym pochodzeniem Wata. Kazimierz Brandys przytacza opinię jednego ze swych przyjaciół mówiącego o losie pisarzy na obczyźnie: "Był Polakiem to już jest nieszczęście. Był Polakiem i Żydem to jest nieszczęście w nieszczęściu. Był Polakiem, Żydem, pisarzem i emigrantem, to jest samo nieszczęście. A Był Polakiem, Żydem, pisarzem, emigrantem i byłym komunistą - pytanie - To jest Wat, odpowiedział". 27

Ta anegdotka, nie pozbawiona skądinąd humoru, ma jednak tragiczną wymowę. Długa droga, która przeżył Wat poprzez swoje doświadczenie więzienne i nieuleczalną chorobę, jest w istocie drogą, która prowadzi od ironii do metafizyki. Ironistą Wat był

zapewne w swojej młodości, kiedy bawił się w redagowanie "Bezrobotnego Lucyfera" /wyd. I 1927/. Alegoryczny diabeł przebrany za Mefistofelesa zrodzony ze świata filozoficznej bajki jest o wiele bardziej diaboliczny, niżby się to wydawać mogło. Na przekór swej lekkiej aparycji ma już w sobie potencjał zła. Wprowadzając go, autor rozmieszcza już metafizyczny arsenał zapowiadający podstawę jego przyszłej poetyki: walki Boga z Lucyferem o istnienie świata...

Jednakże Wat z lat 20. jest ironistą jak gdyby niedokończonym. Lucyfer jest tylko częstką rozległego nihilistycznego przedsięwzięcia, które popchnię autorą na drogę komunizmu. Dopiero po jakimś czasie przyjdą rozczarowanie i zwątpienie. A ironia, częsty owoc zawiedzionego dogmatyzmu, pojawi się z powrotem, by podkreślić żalobę po utraczonej prawdzie.

Zresztą niebawem jej miejsce zajmie metafizyka. W więzieniach Kazachstanu Wat zaczyna myśleć w kategoriach opozycji. Podstawa jego poetyckiego natchnienia - antyteza dobra i zła - zetknie się z innymi formami dualizmu stanowiącymi o jego poezji: światłość i ciemność, prawda i kłamstwo, miłość i nienawiść, zgoda i niezgoda /Empedokles/; formalnie natomiast gra kontrastów za pomocą koloru. Tak oto wchodzimy w świat "Lumen Obscurum". Dzięki tej dychotomii jawią się nam postaci Starego Testamentu i wspomnienie doktryn - manichejskiej i gnostycznej - bez wątpliwości stanowiące punkt odniesienia. A wszystko bierze początek od wizji diabła z wzięcia w Saratowie - wizji, którą Wat przedstawia szczegółowo w "Moim wieku". To spotkanie z siłami zła przedstawionymi za pomocą postaci wienący długi intuicyjny proces myślowy, który pozwolił sformułować słynne "zło ucieleśnione w historii". Właśnie ta słynna formuła, bliska metafory, wynika z głębokiego przekonania: w każdej epoce, na każdym etapie historii, zło przybiera postać cielesną. A w dwudziestym wieku złem obecnym w historii, uosobieniem diabła jest bolszewizm.

Wbrew temu, co można by sądzić, nie jest to jedynie figura retoryczna. Komunizm jawi się Watowi jako element patogeniczny, odpowiedzialny za swoją demoniczną chorobę. Zło psychiczne przybiera formę zła fizycznego. A kara jest na miarę moralnego zniszczenia, w którym murza się ludzkość:

*"Ziemia nasza poddana srogiemu najeźdźcy
prawa nasze zdrusgotane
Nemesis opuściła nas, na zawsze
przemoc i podstęp zasiadły na tronie"¹³*

Fragment ten, pochodzący z 1967 roku, a przypisywany przez poetę Hezjodowi odnosi się w rzeczywistości do epoki współczesnej. Kłamstwo, wyniesione na piedestał, przewodniczy wszelkim zbrodniom, których dopuszczają się "inżynierowie duszy". Wielką, nieoczekiwaną zasługą Wata jest to, że na wskroś przejrzał "jak" i "dlaczego" systemu, że właściwie odszyfrował jego tajemny kod. Na wiele lat przed współczesnymi lingwistami odkrył, że główna siła władzy komunistycznej tkwi w jej języku: "naturalne wiązki między nazwami a rzeczami-faktami zostały odebrane jednostek, globalnie wyustraszone, upatwowione raz na zawsze, by każde słowo mogło oznaczać każdą rzecz, wedle widziwności usurpatora /.../ In nikosamiejsze były fakty, tym bardziej pompatyczne ich nazwy /.../ Bywały w epokach ciemnych antycypacje, próby, ale dopiero tu, po raz pierwszy w dziejach, w tak kolosalnej skali, w takich tempach, z taką logiką dokonano politycznej p t e r e k o w k i d u s z a"¹⁴. W rzeczywistości Wat widzi w tym jedno z ambitniejszych przedsięwzięć redukcji świadomości ludzkiej za pomocą głównego instrumentu komunikacyjnego - języka. Systematyczne przekierowanie znaczenia takich słów jak "naród", "wolność", "ojczyzna", "sprawiedliwość", "pokój", ich zdolność do przekazywania jakiegokolwiek komunikatu, ich zamknięcie w pedagogię przymusu posunięta aż do zagrabienia ich semantycznej wartości: oto sposoby, które wewnątrz tego samego języka pozwalają obalić mury rozdzielające fałsz od prawdy, prawdę od kłamstwa.

Problem ten jednak, choć pasjonujący, wykracza poza ramy tego tekstu. Pozwoliłem sobie jednak na tę dygresję, by podkreślić głęboko nowatorski charakter prac Wata w dziedzinie lingwistyki. Mam tutaj na myśli przede wszystkim tekst referatu pisarza znalezionej w jego archiwach, dotyczący semantyki radzieckiego języka, "Quelques aperçus sur les rapports entre la littérature et la réalité soviétique" /Kilka spostrzeżeń na temat stosunków między literaturą a rzeczywistością radziecką/, wygłoszony w Oksfordzie w lipcu 1962 roku. Można w nim znaleźć morfologię języka stalinowskiego /język spetryfikowany, j. ezoteryczny, j. prywatny, celowe przemilczenia itd./ oraz analizę funkcjonalnych relacji lingwistycznych zjawisk określanych w ich zwią-

zku z niektórymi procesami myślowymi. To obnażenie semantycznej schizmy, interesująca próba odczytania systemu lingwistycznego służącego więziennemu światu.

W ramach tej dygresji podkreślę jeszcze, że Wat systematycznie identyfikuje kłamstwo ze ziemi. Zgodnie z podstawową dla jego poezji zasadą antytezy, na drugim końcu świata ciemności istnieje Bóg dobra i światła. Kim jest więc dla Wata ten upragniony Bóg trzymający Klucz do wieczności? Jest prawdą, że chrześcijaństwo dyskretnie towarzyszy mu w życiu. "Mój wiek" jest szczegółowym sprawozdaniem długiego i dziwnego nawrócenia, po którym następuje okres zwątpienia i wahania. Związki Wata z religią nigdy nie były proste i pogodne. Można odnaleźć ślady jego wewnętrznych zmagających w "Kaligrafiach":

*"Prawda go przyciąga, I prawda odpycha
Poddaje się na przemian atrakcji i repulsji
jak ptywak co zasnął na wodzie w zacisznej płyciźnie
zatoki*

*obok meżur i sam też jakś meżurze podobny
bierny zarówno fali tamtej,
co go zabiera
i tej, która odnosi"*

Jakkolwiek by na to nie spojrzeć, jak to nadzwyczaj trafnie określili Jacek Trznanek, Wat należy do tych, co wierzą, że esencja poprzedza istnienie. Na wszelki wypadek przytoczę tutaj fragment "Wierszy":

*"Zaródkowy się znów do esencji. Z nią bo jesteśmy pewniejsi
Ją bo sami tworzymy. Ona nie jest zależna
ani od tego czy »jest«, ani od tego czy »nie jest«
Jak dobrze powracać do dymnych wagarzonych pojęć!"^{5/}*

Esencja przybiera czasem rysy Jezusa Chrystusa. "Czułem to, że ludzkość nie stworzyła nic bardziej wartościowego i pięknego niż oblicze Chrystusa"^{6/}. Wynika z tego cała seria obrazów symbolizujących ród ludzki pogrążony w cierpieniu. "Nikt od czasów Mickiewicza nie potrafił jak Wat unaocznic świątliwości Starożytności i Nowego Testamentu"^{7/} - twierdzi Konstanty Jeleński w studium poświęconym "Lumen Obscurum"^{8/}. Często zresztą jest mowa w tym zbiorze o krzyżu i koronie cierniowej. A symbole te określają nie tylko los człowieka, ale także - a może przede wszystkim, los poety. Cierpienie fizyczne, więzienie, przezywania, głód - połączone z fenomenalną, zawsze czujną pamięcią uczyniły z Wata poetę. Właśnie w celi w Zamarstynowie Wat dokonał prawdziwego rachunku sumienia, przeprowadził "spektralną analizę" głównych porażek, grzechów i uchybień, których dopuścił się podczas swojego życia. I właśnie wtedy wypłynęło na powierzchnię to, co do tej pory było ukryte. Ten stan duszy Wata zamknął w poetyckiej formule:

*"W czterech ścianach mego bólu
nie ma okien ani drzwi!"^{9/}*

Niedostrzegalnie rysuje się droga izolacji i wykluczenia ze świata w postaci pamięci o cierpieniu. Idąc drogą nakreśloną kiedyś przez Orfeusza /często odnośniki do tego mitu w jego tekstach/ poeta przedstawia się współczesnym w roli zwycięzcy brutalnych i ciemnych sił natury, podobny w tym do Jezusa, który odniósł zwycięstwo nad Szatanem z tą wszakże różnicą, że demony rozszarpujące jego ciało należą do historii XX wieku. Poeta, bliższy Orfeuszowi niż Jezusowi, ostatecznie zaznaje tylko rozdarcia: "Ale byłoś, życie moje, o życie moje, nieustającym szukaniem smu ogromnego, w którym w harmonii przedstawałeś mi bliźni i zwierzęta, i rośliny i chimery, gwiazdy i minerały, a którego zapomniało się, bo zapomniać go się musi, i szuka rozpaczliwie i tylko sporadycznie odnajduje jego tragiczne obłotki w czymś ciepłym, w szczególnej sytuacji, w spojrzeniu, we wspomnieniu też zapewne, w męce szczególnej, w chwili, w skórze - przecież kochałem ją pasjami, w głosach, w głosach. I stąd zamiat harmonii rozdarcie i urwki. Może to i tylko to jest byciem poetą?"^{10/}

Tak więc świadomość poetycką zyskuje Wat w okresie wignania do Azji radzieckiej. W życiu tego "doctor subtilis" polskiej poezji uwięzienie stanowi pierwsze stadium wignania /skądinąd tak przychylnie działaniu jego pamięci/ - jeśli rozumieć przez

nie przebywanie poza swoim krajem, rodzinnym miastem - słowem przebywanie w miejscu, gdzie człowiek czuje się obcym. Drugie stadium wygnania rozpoczyna się z chwilą kiedy, na początku lat sześćdziesiątych postanawia nie wracać do Polski. Niewiele wtedy potrzeba, by Orfeusz przemienił się w Odyseusza. Los A. Wata jest doskonałą ilustracją siły wykorzenienia - tak charakterystycznej dla naszego współczesnego świata. Stojąc przed klasycznym dylematem "zakorzenie się" czy "zachować korzenie" Wat wybiera drugie rozwiązanie, nie mogąc znaleźć w sobie dość siły, by rozpocząć od zera całkiem nowe życie. Początek jego emigracji zapowiada raczej epilog życia niż jego rozpoczęcie: "trumna jest najpewniejszą ze wszystkich kołyszek" czytamy w zbiorze "Wiersze"^{10/}. "Jednak to wybranie wolności - brzydki zresztą termin - w moich latach nastąpiło za późno. Bardziej to odczuwam i jeszcze odczuwam, że się odsiekłem"^{11/} - przyznaje podczas rozmów z Mitoszem.

Wspomnienie dalekiej i przymusowej tułaczki po Związku Radzieckim sumuje się, pod koniec jego życia, z dobrowolną emigracją. Ptaki śródziemnomorskie, jak niegdyś wierszy Alma-Aty, przedłużają nostalgiczne poczucie utraczonych miejsc. Wat przyzwyczaił się do wygnania. Zna co najmniej dwie jego podstawowe formy; wygnanie w świat więzienny rozciągający się gdzieś pomiędzy stepami Kazachstanu a Moskwą i wygnanie w wolny świat - między Francją, Włochy i Stany Zjednoczone. O ile jednak wyjście z kręgu sowieckiego piekła prowadziło do pożądanej przyszłości, to drugie wygnanie nie niesie już ze sobą żadnej nadziei:

*".../ zostałem bez latarni, bez skrzydeł
bez klatki, i nie wiem doprawdy co robić z wolnością
bez mojego motyla?"^{12/}*

Motyl oznacza potencjalność bytu i zmartwychwstania. Oznacza, inaczej, wyjście z grobu. Poeta, pozbawiony skrzydeł i motyla, może tylko przygotowywać się na spotkanie śmierci. Powalony ciężką chorobą, sam wzbrania się przed myślą o ewentualnym powrocie do kraju. Za ledwie pozwala, by pióro biądziło po papierze, pocztawiając je na łasce trybu przypuszczającego:

*"Posiedziałbym z tobą troszeczkę
na mazowieckim piaseczku"^{13/}*

Śmierć rzuca wielki cień na snującą się w oddali kształty ojczyzny. I tak, wiersz "Kołysanka dla konających" rozwija myśl o spokojnym odpoczynku na małym, śródziemnomorskim cmentarzu, u korzeni wysmukłego cyprysu. Niekiedy pojawia się kobieta na wozie, gdzieś w czerni polskich równin "Pejzaż", niekiedy żołnierze idą na śmierć rozsiwając z góry trupi zapach "Pieśń pielgrzyma V". Nie ma pocieszenia, nie ma ukojenia, kiedy doszło się do punktu, z którego nie ma powrotu. Na scenę życia ożywioną szczegółnymi wspomnieniami opada kurtyna wiecznej żaloty "Starość". Niechlujne, swojskie obrazki zanikają powoli w słonecznym świecie śródziemnomorskim. Jak zwykle Wat postępuje się antytezą:

*"Gorąco umierać na obcym
Łodko jest żyć we Francji"^{14/}*

czytamy w "Pieśni pielgrzyma IX", gdzie Wat powraca do myśli wcześniej wyrażonej w zbiorze "Wiersze". Pod koniec nie słychać już echa warszawskiego poranku; została przekroczona psychologiczna bariera i nie ma już powrotu /"przekroczyłeś rogatki jednokierunkowe"^{15/}. Od tej chwili jesienne, porywiste metafory zawsze towarzyszą poecie w jego wędrówkach po historii i kontynentach. "To jesienne liście, tutaj jesień jest wieczna" mówi wiersz "1905, 1920, 1965"^{16/}. Motyw "automus frugifer" jest motywem repetytywnym. Pojawia się najpierw w zbiorze "Wiersze" /"Odjazd na Sycylię"/ i powraca nieuchronnie w "Ciemnym Świecidle" /"Po bitwie", "Na spacerze"/. Odwołuje się do filozofii, która, wykraczając poza los indywidualny, kładzie nacisk na wspólny los ludzkości. To dlatego, że schyłek życia, skonfrontowany z wygnaniem i upodleniem świata, symbolizuje jednocześnie jesień całej ludzkości, pogrążonej w starczej zgniłości:

"Owoce ojców zjedli, synom została próchnica"^{17/}

To ważny fragment, bowiem poszerza, czyni uniwersalnym samo pojęcie wygnania. Chodzi o odnalezienie ciągłości pomiędzy swoim własnym losem a losem zmarłych. Indywidualne przeżycie prowadzi tylko do wewnątrz. Przeżycie jest otoczone naga, rozległa równina, wymiatająca przez wszystko, co po niej kroczy. Trzeba więc powrócić do źródeł, do mitologii miejsc, które stanowią o naszej prawdziwej kulturze. Stąd znaczenie, jakie poeta

Przypisuje "Snom śródziemnomorskim"

Metafora kamienia, kluczowa dla "Pieśni pielgrzyma", zawiera w sobie całą strategię oddalenia; pragnie pogodzić przemijanie z wiecznością. To sposób odcinania się od świata żywych, obróconego w stronę śmierci, nieczystości i oszczerstwa:

*"Zbrzydzoney wszystkim co żywe oddaliłem się w świat
kamienny: tutaj
myślałem, wyzwolon, z góry a bez pychy będę
ogładał tamtych rzeczy zwichrzzenie
Okiem kamieni, sam kamień śród kamieni i jak one czuły"*

W tradycji Zachodu istnieje ścisły związek pomiędzy kamieniem i duszą. Według legendy Prometeusza, twórcy ludzkiego rodzaju, kamienie zachowały ludzki zapach, kamień jest żywy i daje życie. W Grecji, po potopie, z kamieni rozsznitych przez Deukaliona urodzili się ludzie. Zidentyfikowanie się z kamieniem pozwala poecie udać się na miejsce spoczynku - miejsce panoramiczne, z którego będzie mógł śledzić sekularny rozwój historii ludzkości. Historii postrzeganej jako poetycki ciąg obrazów, a nie jako chronologiczny rozwój zdarzeń. Wat, wędrowiec i pielgrzym na łase fortuny, identyfikuje się chętnie z mitycznymi postaciami grecko-lacińskimi starożytności, a także Starożytności. Wat przyjął rolę podwójnego wygnańca, w tym znaczeniu, w jakim przynależność do podwójnej kultury pociąga za sobą podwójne wygnanie. Wykłąty z rodzinnej ziemi swego "wieśniaczego kraju" wywołującego w nim melancholię, zwraca się, zwłaszcza pod koniec życia, w stronę zapomnianych lektur dzieciństwa - w stronę Księgi Rodzaju i judaizmu. Próbuje odtworzyć genealogię swojej rodziny. Do swoich przodków zalicza Fashię de Troyes, egzegę Biblii i Gaona, wielkiego rabinę Kutna - przedziadka ze strony matki. Dziadek Aleksandra, właściciel ziemski, miał także i łutę, w której w 1863 roku wytapiano brąz dla powstańców. Brat dziadka poniósł śmierć w powstaniu styczniowym. I wreszcie ojciec Aleksandra, gorący zwolennik kabai, chasydów i filozofii. Starzejący się poeta próbuje grubymi kreskami zarysować historię swoich przodków w niedawno odnalezionym w jego archiwach wierszu pod znamienym tytułem "Próba genealogii". Powracając do odległego pochodzenia swoich przodków/począwszy od panowania Filipa Pięknego we Francji/ patrzy z oddali na ukochaną ojczyznę:

*"Wnuki moje będą poddanymi króla Farysa. I tak
ktoś się zamknie
z przeszło 300-letnim epiśodem ojezyny mojej
nad zimną rzeką Wisłą"*^{18/}

Wat nie jest wcale posłusznym adeptem judaizmu. Mówi o nim w swoich wspomnieniach jako o "przestarzałej religii". Jedynym, co go z nią łączy naprawdę, jest pewna wizja świata oparta na mechanizmie grzechu i kary, a przedstawiona w Prawie pod postacią surowego Boga, zawsze gotowego do natychmiastowej zemsty. Wiersz "Buchalteria"^{19/} przedstawia poetę, jak myśli, że drogo przyjdzie mu zapłacić za szczęście, którego zaznał w życiu. Czud w tym gorący człowieka pozbawionego dzieciństwa, wygnanego z ojczyzny, ale także z Edenu życia; poeta szukaje się do zapłaceniu rachunku za szczęście, które było jego udziałem. Jego los wyznacza biblijna historia świata, która zna tylko dwa momenty ewolucji: raj na ziemi, gdzie wszystko jest dane z góry i upadek w grzech pociągający za sobą wygnanie z miejsca rozkoszy: "gdy ciemny błękit się w swych ciemnych wspomnieniach" przyznaje poeta, którego umysł jest "wypełniony głosami pamięci"^{20/}. "Pod czarną przepaską twoje stare oczy patrzą wewnątrz" mówi w innym wierszu^{21/}. Taka forma aktywności poetyckiej przypomina symbolicznie żółwia, który sam stanowi podstawę świata. Słynny żółw z Oksfordu gra rolę dalekiego wygnańca "tułającego się na starość", jak sam poeta, po kontynentach w poszukiwaniu dokumentów dotyczących genealogii jego starożytnej rodziny. Obraz żółwia sugeruje poetycki sposób posługiwania się pamięcią.

Starając się zgłębić labirynt watowskiej myśli łatwo dostrzec, że inne osoby-symboli także należą do światła przymusowego lub dobrowolnego wygnania. Największym źródłem takich obrazów jest Stary Testament. Prorok Izajasz kreśli okrutny obraz wygnania narodu żydowskiego uciekającego przed babilońskim zniewoleniem. W wierszu "Izajaszowi" myśl proroka jest co nieco zniekształcona - bo to nie Bóg czeka na wiernych

u kresu długiej drogi, lecz wschodnia ładacznica, gotowa zaspokoić ich cielesne pragnienia²². Z drugiej strony Jonasz, z którym poeta utożsamia się chętnie ("mój los jest *losem Jonasza*"). Jak powszechnie wiadomo, prorok ten przeżył morza i oceany w brzuchu wielkiej ryby, by w cudowny sposób powrócić do życia.

Postacią, której los najlepiej oddaje jednocześnie wygnanie i powszechną karę jest Kain, starszy syn Adama, który po zamordowaniu brata zostaje skazany na wieczną tułaczkę. Niedokończony "Poemat Bukoliczny", redagowany w 1964 roku w Berkeley i odnaleziony w 1984 w archiwach poety przedstawia nam obraz współczesnego Kaina, wygnanieca wszechczasów, "*niechlujca o zmierzwiionych włosach, z głodem w oczach, tułacza, clocharda, urkę z cofniętym czotem, wiecznego potępięca oswojonego z ciemnością i jesienią*". Jego skarga niezmiennie powtarza wyrok ogłoszony kiedyś przez rozziłszczonego Boga:

".../Bądź przeklęty i wygnany
z ziemi żywej, której usta piły krew twego brata
Bądź wiecznym włóczęgą na ziemi osiadłych".²³

A. Wat potwierdza w "Moim wieku" identyfikowanie się z Kainem. Zamieścił w nim nawet fragment poematu ilustrującego poczucie własnej winy. Jest w nim mowa o nieświadomym jeleniu /Wat/, fałszywym wysłańcu Bogów, który w swej młodzieńczej głupocie wzgardził adeptem Talmudu. Wat przez całe życie zachował wspomnienie tego wydarzenia i długo się z niego tłumaczył podczas rozmów z Miłoszem. Zwróćmy też uwagę, że znamienity wiersz "Cóż pojąć może podróżny błądzący po ziemi osiadłych" zapowiada i jakby uzupełnia przyszły poemat o Kainie.

Obsesyjny obraz wygnania nie opuszcza poety. Oto kiedy indziej mała Dalila, mityczna pogromczyni Samsona, wchodzi na scenę ulicy Beaussire. "Dalila oddaje się każdemu z poczucia dumy, a także z dobrego wychowania". Będąc żywym ucieleśnieniem mitu nie przestaje ani na chwilę działać i filozofować. Wątpia, lecz wytrwała, zaspokaja żądze najwykleszych nawet ludzi... Wschodnia Ładacznica występująca już w wierszu "Izajaszowi" symbolizuje tutaj zarówno wieczność, jak i śmierć starych cywilizacji. Bowiem "*bogowie Uru, Babilonu i Winny gniją w kostrzicach maseł, a mieszkańcy tych miast, posantentami w popiół, na zawsze zmieszali się z płaskiem pustyni*".

Nasz wygnaniec, przepędzony z platońskiego miasta, uciekając od koszmaru i nijakości bez reszty dzieli los "poetów-fascynatorów", o których mówi w "Ciemnym Świecidle". Jego poczucie wygnania wykracza daleko poza granice indywidualnego przeznaczenia. Żło trwałe ciąży na historii / mimo najroźniejszych inkarnacji/. Właśnie dlatego chce o nim mówić odwołując się do Biblii i mitologii. Wat, wściekły indywidualista, za każdym razem powstaje przeciw gwałtowi i przemocy, kiedy jego własne ja i kultura, którą się otoczył, są zagrożone. Systematycznie broni się przed zmileniem przez machinę systemu; wielokrotnie utraciłszy słuchaczy, w każdej chwili potrafi odmierzyć ryzyko popadnięcia w zapomnienie. Jego niechęć do "bycia publikowanym" świadczy o tym jednoznacznie. Orfeusz, Jonasz, pielgrzym, kamień, żółw, Kain - to figury poetyckie wyrażające ten sam strach przed upodleniem, przemocą i arbitralnością.

W dwójnasób i dwukrotnie wygnany, zawsze poszukujący prawdy, pogodzony z istnieniem /zapewne poprzez chrześcijańskie pojmowanie sensu życia/ Wat stawia sobie wiele pytań na temat ontologicznej wartości wygnania. Po przebyciu długiej drogi nie jest do końca przekonany, czy odkupił zła uczynki swoich lat komunizmu. Jego prawdziwa poezja, owoc choroby i wygnania, zawiera w sobie fundamentalną antytezę współczesnego człowieka rozdartego pomiędzy nadzieję i chaosem, światłem i ciemnością, pamięcią i zapomnieniem. A nowoczesność Wata polega na żalu za klasycyzmem, którego był uważnym adeptem.

MAREK TOMASZEWSKI

Przypisy:

- 1/ - Aleksander Wat, "Mój wiek", Polonia Book Fund LTD, Londyn 1981, t. I, s. 257
- 2/ - Kazimierz Brandys, "Miesiące" 1962-1984, Instytut Literacki, Paryż 1984, s. 120
- 3/ - A. Wat, "Ciemne Świecidło", Libella, Paryż 1968, s. 57
- 4/ - A. Wat, "Mój wiek", op. cit. t. II, s. 15
- 5/ - "Wiersze", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, s. 84
- 6/ - A. Wat, "Mój wiek", op. cit. t. II, s. 219

- 7/ - Konstanty Jeleński, "Poezja Aleksandra Wata, Lumen Obscurum" in: "Zbiegi okoliczności", Paryż 1982, s. 251
 8/ - in: "Wiersze", op. cit. s. 7
 9/ - A. Wat, "Mój wiek", op. cit. t. II, s. 77
 10/ - A. Wat, "Wiersze", op. cit. s. 19
 11/ - A. Wat, "Mój wiek", op. cit. t. II, s. 231
 12/ - A. Wat, "Ciemne Świecideo", op. cit., "Sny śródziemnomorskie" s. 191
 13/ - A. Wat, "Do domu", in: "Wiersze", op. cit. s. 103
 14/ - in: "Ciemne Świecideo", op. cit. s. 188
 15/ - Zeszyty Literackie, Paryż jesień 1983, s. 8
 16/ - ibidem
 17/ - "Odjazd na Sycylię" in: "Wiersze", op. cit. s. 148
 18/ - in: Zeszyty Literackie nr 4, Paryż jesień 1983
 19/ - Wiersz otwierający zbiór "Ciemne Świecideo", op. cit. s. 9
 20/ - "Ewokacja", in: "Ciemne Świecideo", op. cit. s. 23
 21/ - "Jeszcze ciepłe gniazdo" in: Zeszyty Literackie, op. cit. jesień 1983
 22/ - A. Wat, "Ciemne Świecideo", op. cit. s. 25
 23/ - in: Zeszyty Literackie nr 9, Paryż zima 1985, s. 41

O trudnościach zdefiniowania systemu radzieckiego

System radziecki z pewnością wynika się z klasyfikacją Arystotelesa i Monteskiusza.* Otwórzmy "Politykę". Ustrój radziecki twierdzi, że z korzyścią złączył trzy "poprawne" formy władzy, to znaczy takie, które mają na celu dobro publiczne. Tym dobrem publicznym jest socjalizm, a w stopniu doskonałym komunizm. Miałoby być rzeczywistym, jak dobro publiczne Arystotelesa, jest on potencjalny, ale przedstawia obecną przejściową formę dyktatury proletariatu czy demokracji ludowej jako sprawę ostateczną. System uważa się za republikański, ponieważ "większość kieruje państwem, mając na celu dobro ogółu"^{1/}. Dla porównania można wziąć pod uwagę 126 artykuł Konstytucji z 1936 roku. Brzmiał on tak: *"Najbardziej zaś aktywni i uświadomieni obywatele spośród klasy robotniczej i innych warstw pracujących łączą się we Wszechwładczą Komunistyczną Partię /bolszewicką/ będącą czołowym oddziałem pracujących w ich walce o umocnienie i rozwój ustroju socjalistycznego i stanowiącą kierownicze jądro wszystkich, zarówno społecznych jak państwowych organizacji ludzi pracy"*^{2/}.

Powiemy zatem, że ustrój ten jest również arystokratyczny w tym sensie, że rządził w nim najlepszy. Przecież przez dziesiątki lat rządził dla dobra państwa właśnie najlepszy z najlepszych, System Lenina i Stalina /a także, mimo wszystko, Chruszczowa i Breżniewa/ mógł pretendować do doskonałości monarchii.

Inaczej jednak sądzili przeciwnicy ustroju radzieckiego, którzy - przeciwnie - stawali się przypinać mu zniesławiające etykiety trzech złych form - a d z y. Naza jutrz po Rewolucji zwolennicy samodzierżawia nie wąpili, że nowy ustrój jest demokracją, to znaczy władzą sprawowaną przez biednych wyłącznie we własnym interesie. Przy ważniejszej obserwacji okazało się wkrótce, że władzę absolutną sprawuje oligarchia, czyli partia komunistyczna. Na koniec stało się oczywiste, że Lenin, a tym bardziej Stalin, rządził wspólnotą polityczną despotycznie, i że w rezultacie do tego ustroju pasuje definicja tyranii.

* Contrepoint, nr 20/1976

Alte oto zaskakujący fakt: z dalszych badań wynika, że te nowe definicje są równie niewłaściwe jak poprzednie i że jeśli odbierze się systemowi radzieckiemu prawo do występowania wśród "poprawnych" form ustrojowych, nie jest on również odpowiednikiem form zdegenerowanych i nie pozwala się zaliczyć do ustrojów złych. Charakteryzują się one bowiem tym, że mają na celu tylko interes osobisty rządzących, a więc wyłącznie potrzeby biednych w demokracji, bogatych w oligarchii, monarchy w tyranii. Otóż pojęcie dobra prywatnego jest w rzeczywistości komunistycznej równie nieuchwytnie jak pojęcie dobra publicznego. Wszystko dzieje się tak, jak gdyby po wyeliminowaniu pojęcia sprawiedliwości stało się również niemożliwe rozpoznanie niesprawiedliwości, a tym bardziej niemożliwe stało się wykorzystywanie niesprawiedliwości tak, jak to można było czynić w przypadku klasycznych sposobów naruszania dobrej konstytucji.

System radziecki został wprowadzony w oparciu o "demokratyczne" dążenia ludu rosyjskiego. Istotnie, w pierwszych latach biedni sprawowali nad bogatymi władzę terroru, konfiskując ich dobra. Ale państwo zachowało prawo niemal do wszystkiego, a stopniowo również przywłaszczyło sobie wszystko. Trzeba było zaczekać kilkanaście lat, aby z kolei zostali wywłaszczeni chłopi, którzy najbardziej skorzystali z podziału. Nie rządząli oni nigdy, stąd też, jeśli by trzymać się ściśle tego określenia, nigdy nie było demokracji w Rosji w sensie pejoratywnym, jaki nadaje temu słowo Arystoteles. Po kolektywizacji nie zostało z niej śladu. Oligarchia więc? W tym punkcie zgadzają się chętnie opozycyjni marksiści. Róża Luxemburg w 1904 roku obawiała się bolszewickiego modelu władzy:

"Nie może bardziej uszczelnić ruchu robotniczego, tak jeszcze młodego, od elity intelektualnej spragnionej władzy, jak ten demokratyczny paucyzm, w którym się go wtrudhami, aby zrobić z niego autokratyczny system sterowany przez komitet".

Trocki w tym samym roku przewidywał, że metoda leninowska prowadzi od oligarchii do tyranii:

"Metody te doprowadzą do tego, że organizacja partii zastąpi samą partię, że Komitet Centralny zastąpi organizację i wreszcie, że jakiś dyktator zastąpi sam Komitet Centralny".

Partia na monopol na władzę. Aby zrealizować swe plany ekonomiczne, niemal otwarcie ucieka się do wyzysku: dla robotników - ani związków zawodowych, ani opieki społecznej, płace najniższe w Europie, dla chłopów - powrót do niewolniczej pańszczyzny. Co więcej, dla członków partii zarezerwowano najlepsze stanowiska, najzyskowniejsze i najszybsze kariery. Nie odmawiają oni też sobie przywilejów materialnych, nawet tych prymitywnych: lepsza żywność, lepsza odzież, specjalne sklepy, zastrzeżone tereny wypoczynku, niedozwolone w zwykłym śmiertelnikom podróże itp. Łatwo zrozumieć, skąd Dżilas wziął koncepcję nowej klasy: biurokracja komunistyczna zastąpiła burżuazję jako nowa klasa wyzyskiwaczy. Trocki, który był ortodoksyjnym marksistą, odrzucał wyrażenie "wyzysk klasowy" i przyznawał tylko, że istnieje "pasożytnictwo społeczne" na bardzo dużą skalę, co nie jest sprzeczne z arystotelesowską definicją oligarchii. Jednakże, nawet biorąc pod uwagę wyzysk i przywileje, trudno utrzymywać, że partia i jej członkowie rządzą we własnym interesie - co jest niezbędne, by uznać ten reżim rzeczywistością za oligarchię.

Arystoteles miał na myśli podział dóbr. Komuniści nigdzie nie zawiadnęli nimi dla siebie. Państwo daje im dobrobyt, który nazwalibyśmy "drobnomieszcząnskim" i nic więcej. Gdy handlują i wzbogacają się, podlegają prawu powszechnemu. Można odpowiedzieć, że w tych systemach prawdziwe zadawolenie daje władza, a nie bogactwo. Istotnie, ale ta władza musiałaby być sprawowana bez zakłóceń i stanowić "ius" posiadane spokojnie i przekazywane z pokolenia na pokolenie. A tak wcale nie jest. Jedyne studium opierające się na archiwach, którym dysponujemy: "Smoleńsk under the Soviet rule" ukazuje członków aparatu żyjących pod nieustanną, męczącą presją, nie zostawiającą nikogo w spokoju. Wybrać karierę w partii to zgodzić się na niebezpieczne życie. Oczywiście nepotyzm istnieje. Łatwiej skończyć wyższe studia, jeśli można wykazać się "dobrym pochodzeniem społecznym", a nie ma lepszego niż być dzieckiem członka partii. To dużo, ale nie dość, by zapewnić dziedziczenie pozycji, jak w społeczeństwie stanowym. Co najwyżej jest to antidotum na mobilność społeczną, jaka istnieje w społeczeństwach klasowych. Skoro życie polityczne koncentruje się jedynie w partii, zmiany polityczne mogą zachodzić też tylko wtedy, gdy następuje zmiana w partii. Stąd okresowe czystki, spośród których stalinowskie były tylko najgwałtowniejsze. Czy można nazwać oligarchicznym ustrój, w którym oligarchia naraża się codziennie na takie niebezpieczeństwo, w którym cała wydaje się niekiedy, jak w r. 1937, na granicy zupełnej likwidacji?

Istnieje więc pokusa nazwania go tyranją. Starzejąc się Stalin zachowywał się zapewne jak klasyczny tyran. Ale jako taki przynależy do rosyjskiego archetypu straszliwego cara, Wielkiego Grzesznika, i przekracza granice systemu. Pozbawwszy się Stalina, partia zaczęła pilnować, by jedność kierownictwa nie przeszła w tyranie, to znaczy w taką formę rządu, w której tyran rządzi w swoim prywatnym interesie. Ideałem jest nie Stalin, lecz Lenin i właśnie na Lenina powołują się: Stalin /niesłusznie, jak sądzą niektórzy bolszewicy/, Chruszczow i Breżniew. Lenin rządził za pośrednictwem policji i biur. Pisał do ministra sprawiedliwości:

"Podstawowa idea jest jasna... Otwarcie wypuklił zasadniczą tezę etuszną w planie politycznym /a nie w wąskim sensie prawniczym/, uzasadniającą i usprawiedliwiającą użycie terroru, jego konieczność, jego granice... Dopiero poczucie sprawiedliwości rewolucyjnej i świadomość rewolucyjna zdecydowały o ekerszym lub większym praktycznym jego zastosowaniu".

Zasadę sprawiedliwości, to znaczy proporcjonalny i równy podział między osobami, Lenin odrzuca, ponieważ drugi człowiek nie jest uważany za stronę w procesie, lecz za przeciwnika, którego rewolucjonista eliminuje i terroryzuje do woli. A taka jest definicja tyranii. A jednak wahamy się. Tyran bowiem rządzi w swoim imieniu, co zakłada pewną świadomość tego, że jest tyranem. Lenin nigdy nie miał takiej świadomości. Rządził w imię swojej koncepcji dobra publicznego, socjalizmu, w imieniu historycznych nosicieli dobra publicznego, proletariatu, partii, komitetu centralnego, i nigdy mu nie przyszło do głowy, że jest dyktatorem. Jego sposób rządzenia jest dyktatorski - przynajmniej się do tego - ale nie despotyczny, ideologia bowiem nie pozwala mu uznać, ani nawet wyobrazić sobie korzyści prywatnej. Tyran Arystotelesa jest interesowny, sekretarz generalny nie jest.

ZŁY SEN

Klasyfikacja Arystotelesa jest ścisła, chociaż implicite dotyczy greckiej "polis". Monteskiusz stara się doświadczenie połączyć ustroje z typami społeczeństw, którym odpowiadają. Jego klasyfikacja jest dualistyczna. Przeciwstawia ustroj republikaniski /demokratyczny lub arystokratyczny/ i ustroj monarchiczny z jednej strony, ustrojowi despotycznemu z drugiej strony. Pierwsze są ustrojami opartymi na wolności, ustrojami umiarkowanymi, gdzie każdy czuje się bezpiecznie; ten ostatni jest ustrojem arbitralnym, w którym jedynym motorem działania jest strach.

I tu także system radziecki wydaje się syntetyczny. Utrzymuje, że opiera się na grocie republikańskiej i w tym duchu jest wychowywany komunistyczny "nowy człowiek". Wysoce postawieni członkowie partii w zasadzie są honorowani jak w monarchiach. Świadkowie mówią nam o strachu i lęku, jak w despotyzmie. Monteskiusz znał despotyzm z relacji Charadina, Berniera i z dokumentacji, którą mógł wtedy zgromadzić na temat Persji, Indii i Chin:

"Władca absolutny jest jedyny, wszechmocny, może ewentualnie przekazać władzę wielkiemu wzyrowi, ale jakiegokolwiek by był zależność między despotą i otoczeniem, nie ma równowagi w społeczeństwie, ani stanów, ani rang, ani odpowiednika starożytniej enoty, ani odpowiednika europejskiego honoru; strach rządzi milionami ludzi na tych ogromnych obszarach, gdzie państwo może się utrzymać tylko pod warunkiem, że jeden człowiek jest wszechmocny".

Dość to przypomina ZSRR. Trzeba jednak być ostrożnym. Opis Monteskiusza wcale nie bardziej odpowiada prawdzie, niż relacja Custine'a, który opisywał rzeczywistość rosyjską z 1839 roku. U Monteskiusza, tak jak u Custine'a, jest sporo przesady. Człowiek Zachodu zrzuca swój lęk na zewnątrz i umieszcza swe koszmary w bezkresnych stepach i w niesamowitych miejscach.

Azjatycki despotyzm, od Monteskiusza do Wittfogla, budzi strach w Europejczyku, który boi się utraty swobód i zniszczenia społeczeństwa obywatelskiego. To jest wyobraźnia. Ustroju radzieckiego nie da się zaliczyć do ustrojów imperiów azjatyckich. W tych imperiach tkanka nie została zniszczona: jej nigdy nie było. Z różnych historycznych powodów społeczeństwo obywatelskie nie osiągnęło tego subtelnego zróżnicowania, które jest przywilejem wyłącznie Zachodu. Gdyby to zróżnicowanie zaistniało, inne byłyby i owe imperia. W ZSRR natomiast atomizacja społeczeństwa jest celem świadomej polityki, będącej częścią składową systemu, który zatrzymał wielowiekową ewolucję dawnego "despotyzmu" carskiego.

Dalej, w porównaniu z ZSRR klasyczne despotyzmy zasługiwałyby na piękne miano umiarkowanych. Nie odbierały zwykłym ludziom ich zajęć, pracy, przyjemności; zgadzały się na sklepikarza, rzemieślnika, kupca; były strażnikami obyczajów, zwyczajów prawnych, zakorze-

nionych religii; strzegły politycznego i ekonomicznego ładu, który był odbiciem ładu kosmicznego i duchowego. Władca był gwarantem i symbolem tego ładu. Pierwszym aktem chińskiego cesarza po wstąpieniu na tron było podanie tonu "la", ustalenie gamy. Mogło się zdarzyć, że władca był zwyrodniały, że zakłócał ład, zachowywał się jak tyran; jego pałac, kobiety, eunuchowie, konie zamiast budować harmonię tkanki społecznej, świadczyły o karygodnym poszukiwaniu własnej chwały i przyjemności, które szybko stawało się obrzydliwe. Z powodu niezróżnicowania społeczeństwa i słabego oporu, jaki mogło mu stawić, despotyzm azjatycki mnożył absurdalne i społecznie kosztowne działania:

"Kiedy dżicy z Luizjany chcą mieć jakiś owoc, ścinają drzewo i zrywają go. Oto rząd despotyczny" - pisał Monteskiusz w "O duchu praw".

Ustrój radziecki jest inny. Nie uznaje ustalonego porządku. Przeciwnie, aby go zakłócić nakłada na ludność niesłychane ograniczenia, chce zmieniać obyczaje i wytępić religie. Jego działanie nie jest absurdalne, tak jak może być absurdalne działanie szalonego sultana, jest zaplanowane i ukierunkowane na cel, który w swojej istocie nigdy nie jest osobisty. Oto przybliżona formuła, która pozwoli nam na tym etapie wyciągnąć następujący wniosek: ustrój radziecki nie należy ani do dobrych ustrojów Arystotelesa i Monteskiusza, ani też do złych, dlatego że - czy jest umiarkowany czy nie - jego celem nie jest ani dobro publiczne, ani dobro prywatne. Dąży do pseudo-dobra publicznego, a realizuje tylko pseudo-dobro prywatne.

Bestia jest młoda. Monteskiusz dzisiaj, w obliczu faktów, zachowałby swoją dualistyczną klasyfikację. Z jednej strony wszystkie historycznie znane ustroje, z drugiej ustrój radziecki. Gdyby był lepiej poinformowany, przyznałby, że jego niespokojna wyobraźnia wyprzedziła rzeczywistość. Ale jak ją nazwać?

PRYMAT IDEOLOGII

Totalitaryzmem, proponuje Raymond Aron, który kontynuuje badania Monteskiusza.

"Do zwykłych cech biurokratycznego despotyzmu dochodzą jeszcze dążenie do zmian ze strony partii rewolucyjnej i ideologia o inspiracji racjonalistycznej, która sama w sobie jest krytyką rzeczywistości. Zresztą nowoczesne społeczeństwo przemysłowe dało ustrojowi radzieckiemu środki, którymi nie dysponował żaden despotyzm w przeszłości, monopol na środki perswazji i nowe techniki psychologicznego działania. Despotyzm azjatycki nie tworzył nowego człowieka i nie czekał na koniec prehistorii" - pisze Aron w "Democratie et totalitarisme".

Nie można się jasniej wyrazić. Cóż więc składa się na zjawisko totalitaryzmu? Raymond Aron uwzględnia pięć następujących elementów:

I. Przejęcie przez partię monopolu na działalność polityczną.

II. Partię tę ożywia ideologia, która staje się oficjalną prawdą państwa, ponieważ partia obdarza ją absolutnym autorytetem.

III. Aby rozpowszechnić tę prawdę, państwo zachowuje dla siebie monopol na środki przymusu i na środki perswazji.

IV. Większość działań ekonomicznych i zawodowych jest podporządkowana państwu i w pewien sposób staje się jego częścią.

V. Odtąd wszystko jest domeną państwa, a każda działalność jest podporządkowana ideologii, tak więc błąd popełniony w działalności ekonomicznej czy zawodowej jest równocześnie błędem ideologicznym.

Opis ten powstał prawie dwadzieścia lat temu*. Nie jest wcale cudem to, że się nie zdezaktualizował, lecz że rzeczywistość, mimo nadziei autora, nie postarzała się w stosunku do niego. Nie jest to definicja socjologiczna w zwykłym sensie. Ani społeczeństwo przemysłowe, ani monopartyjność, ani kombinacja tych dwóch czynników nie stanowią o totalitaryzmie. Trzeba dodać jeszcze jeden warunek:

"Wydaje mi się, że przyczyną pierwotną jest sama partia rewolucyjna. Ustrój nie staje się totalitarny na skutek jakiegoś stopniowego treningu, lecz jest nim już od pierwotnego założenia, wskutek dążenia do fundamentalnego przekształcenia istniejącego porządku zgodnie z pewną ideologią". Despotyzm i ideologia mają coś wspólnego i faktem jest, że *"formy patologiczne despotyzmu są nie do pomyślenia bez ideologicznego szaleństwa"*.

W dwóch kwestiach chciałbym jednak uściślić i poprowadzić jeszcze dalej analizę Arona. Czy słowo totalitaryzm jest tu najlepsze? Oznacza ono dosłownie wchłonięcie przez państwo działań indywidualnych, które zazwyczaj mają miejsce w społeczeństwie obywatel-

*Pisane w 1976 /przyp.red./

skim. Słowo totalitaryzm wystarcza, żeby określić punkty IV i V opisu i także punkt I. Ale koncepcja ta nie obejmuje punktu II - ideologii uważanej za prawdę absolutną i narzuconej jako taka. Otóż okazuje się - i Raymond Aron jako pierwszy zdał sobie z tego sprawę - że totalitaryzm w wąskim i oczywistym sensie jest czymś wtórnym wobec ideologii. Ideologia nie jest narzędziem totalitaryzmu, lecz przeciwnie, totalitaryzm jest konsekwencją polityczną i wcieleniem w życie społeczne ideologii, która chronologicznie i logicznie jest pierwsza. Charakteryzowanie jakiegos zjawiska poprzez omówienie jego skutków zamiast przyczyn nie jest dogodne. Skutki bowiem mogą wystąpić lokalnie i okresowo we wszystkich innych ustrojach. W ten sposób właśnie dwuznacznie mówiono o totalitaryzmie w późnym cesarstwie rzymskim, w imperium Inków, w państwie spartańskim. Lokalnie, w danej chwili, dla danej grupy kult cesarza w Konstantynopolu, rozdział zapotrzenia w Peru, kontrola życia prywatnego w Lacedemonie dorównywały być może subiektywnie temu, co odczuwa mieszkaniiec Moskwy zmuszony rano do manifestowania entuzjazmu na Placu Czerwonym, po południu do stania w kolejce przed sklepem warzywnym, a wieczorem do trzymania języka za zębami w spódnocielczym mieszkaniu.

W takiej optyce totalitaryzm przestaje być czymś nowym. Pozostaje despotyzmem Monteskiusza, nie tym, który mógł on obserwować, lecz przynajmniej tym, który mógł sobie wyobrazić, widząc już pewne rzeczy w zarodku. Tak więc dla Kostasa Papaioamcu wszystkie elementy składające się na ustrój radziecki już istniały oddzielnie w historii. Oryginalna jest "nadzwyczajna s z y b c o ś ć z jaką wszystkie tradycyjne, nawet archaiczne elementy władzy mogły zamrtwychstać, przetopione i udoskonalone, i to po wieku postępu" i po zwycięstwie podójnej rewolucji, która przyrzekła socjalizm w miastach, a w rzeczywistości wprowadziła wolny wyżysk chłopców na wsi".

A z drugiej strony intensywność funkcjonowania wszystkich tych elementów, koncentracja i całkowita centralizacja władzy totalnej. Między despotyzmem czy ośrodkami despotyzmu z przeszłości i ustrojem radzieckim byłaby więc różnica stopnia, można się zastanawiać jak duża, ale tylko stopnia.

Otóż oryginalność tego ustroju w stosunku do wszystkich innych znanych ustrojów, to dzięki czemu nie można go sobie wcześniej wyobrazić ani zrozumieć, jeśli się go nie doświadczyło samemu, wynika z miejsca, które zajmuje ideologia. Jest ona początkiem i końcem systemu i totalitaryzm podporządkowuje się jej. Dopiero ideologia - podkreśla to Raymond Aron - zmienia oblicze despotyzmu i zmusza go do niesłychanej mobilizacji zasobów społecznych, ogromnie zwiększonych wskutek industrializacji. Lepsze niż "totalitaryzm" byłoby tu słowo ideokracja /które Aron cytuje/ lub logokracja, co proponuje Miłosz. Powiedźmy po prostu za Sołżenicynem - co mówi i sam Raymond Aron w "Democratie et totalitarisme" - system ideologiczny*.

BOLSZEWIZM I NAZIZM

Historycznie istniały dwa totalitaryzmy, hitlerowski i radziecki. Po przedstawieniu podobieństw, Raymond Aron porównuje ich założenia, pierwsze niegodziwe od początku, drugie na początku szlachetne:

"Różnica jest zasadnicza z powodu idei, która ożywia jeden i drugi; w pierwszym przypadku zakończeniem jest obóz pracy, w drugim komora gazowa. W jednym przypadku dżiała pragnienie stworzenia nowego systemu i być może innego człowieka, obojętnie jakimś środkiem; w drugim przypadku, zupełnie diabelskie pragnienie zniszczenia pseudo-rasy".

Nie jestem pewien, czy w ten sposób oddaje się sprawiedliwość obu systemom i czy nie gubi się tu istota rzeczy. Pragnienie zniszczenia pseudo-rasy nie jest ani szlachetniejsza, ani bardziej hańbiące niż pragnienie zniszczenia pseudo-klasy, gdy wiemy, że "pseudo" liczy się tyleż samo, co rasa czy klasa. Motywy te nie mają związku z obiektywną sprawiedliwością, bo dotyczą dwóch systemów ideologicznych, obcych pojęciu sprawiedliwości, ponieważ jeden i drugi samousprawiedliwia się i odrzuca uniwersalne kryteria, dla niego zewnętrzne. Wszak sprawiedliwość interesuje się aktem rzeczywistości dokonany, zbrodnią okreś-

* "Wyobraźnia i siła wewnętrzna zbrodniarzy Szekspira zatrzymywały się na tuzinie trupów. Ponieważ nie mieli ideologii. Ideologia! Ona to właśnie przynosi poszukiwane usprawiedliwienie zbrodni, tak potrzebne zbrodniarzowi... W ten sposób inkwizytorzy operali się na chrześcijaństwie, zdobywcy na patriotyzmie, kolonizatorzy na misji cywilizacyjnej, naziseci na rasie, jakobini /wczorajsi i dzisiejsi/ na równości, braterstwie i szczęściu przeyasztych pokolei. Właśnie IDEOLOGIA spowodowała, że wiek XX doświadczył zbrodni na milionową skalę". A. Sołżenicyn, "Archipelag Gułag".

loną przez uniwersalne kryteria prawa. Nie da się stwierdzić, czy kobietę lub mężczyznę umierających w obozie spotyka większa niesprawiedliwość dlatego, że jest to oboz "pracy," czy dlatego, że to oboz "zagłady". Czy to większa niesprawiedliwość, gdy zabijają kogos jako "kutaka", czy też gdy jako Żyda. Można by twierdzić, że zbrodnia popełniona w imię szlachetnego ideału /albo takiego, który wydaje się szlachetny/ jest cięższa niż zbrodnia, o której wiadomo, że jest zbrodnią - ale w oczach Hitlera wyniszczenie Żydów było za daniem humanitarnym. Faszysti uważali nawet, że przekroczyli tutaj narodowy egoizm i że nabyli z tego tytułu prawo do powszechnej wdzięczności. Przypominając sobie sentencję: "corruptio optimi pessima" można twierdzić, że im bardziej szlachetny jest ideał, a sprawa wniosła, tym bardziej godna pożałowania jest jego zdrada. Ograniczone ambicje nazistów spowodowałyby być może mniejsze zniszczenie niż uniwersalizm radziecki. Można również twierdzić coś przeciwnego.

Takie porównywanie założeń obu systemów prowadzi do dwójakiego rozumienia ich historii. Hitleryzm, jeśli przyjrzeć się uważnie jego tradycyjnym celom, cesarskim i nacjonalistycznym, jest przejrzysty. Gdy przyjmie się przesiankę rasową, jest nadal jasny, wraz ze swym zamiarem dokonania zmian na mapie ras Europy. Nie zgadzam się z Raymondem Aronem, gdy pisze:

"W tym momencie szaleje terror trudniejszy jeszcze do przewidzenia niż ten, który mógł uderzyć w obywateli radzieckich i którego cel nade wszystko jest inny. Celem terroru radzieckiego jest stworzenie społeczeństwa całkowicie zgodnego z ideałem, podczas gdy w przypadku hitleryzmu celem jest po prostu eksterminacja".

W wypadku hitleryzmu również chodziło o zbudowanie społeczeństwa zgodnego z ideałem. Ten ideał dlatego tylko nie wydaje się nam potworniejszy, że nie ma już nazistów. Dalej, terror hitlerowski był łatwiejszy do przewidzenia niż terror komunistyczny, ponieważ kategorii podlegające eksterminacji posiadały zarys konceptualny poza-ideologiczny. Żydzi i Stowianie istnieli przed nazizmem i nadal istnieją, nawet jeśli ich definicja nie odpowiada tej, którą podawają prawa rasowe. Nie można tego powiedzieć o pojęciach zawartych w artykule 58 kodeksu karnego z 1926 r., którego pierwszy paragraf określa jako kontrrewolucyjne każde działanie - a zgodnie z paragrafem 6 każdy brak działania - zmierzające do osłabienia władzy. Poza tym zachodzi podstawowa zgodność między planem hitlerowskim a historią Niemiec nazistowskich. Z tego powodu Raymond Aron uważa to przedsięwzięcie za absolutnie złe. Natomiast w przypadku radzieckim występuje sprzeczność między planem a historią. Raymond Aron:

"Historycznie system radziecki zrodziło rewolucyjne pragnienie kierujące się ideałem humanitarnym. Celem było stworzenie ustroju bardziej ludzkiego, niż kiedykolwiek istniał w historii, pierwszego ustroju, w którym wszyscy mogliby być w pełni ludźmi, w którym nie byłoby klas społecznych, w którym jednorodność społeczeństwa umożliwiłaby wzajemne uszanowanie się obywateli. Ale ten ruch nastawiony na cel absolutny nie cofał się przed stosowaniem żadnego środka, ponieważ zgodnie z doktryną jedynie terror mógł stworzyć doskonałe społeczeństwo i ponieważ proletariatus toczył bezlitosną walkę z kapitalizmem. Z połączenia szlachetnego celu i bezlitosnej techniki wyłoniły się różne fazy radzieckiego ustroju."

Historia radziecka jest więc wobec swego projektu ciągłym przypadkiem. Wojna domowa, kolektywizacja i terror, który im towarzyszył, nie były planowane. Dadaż się zrozumieć: cynicy z oporu, który stawia rzeczywistość rewolucyjnemu projektowi. Ale wielka czystka jest już "całkowicie irracjonalna", "niedorzeczna". Można przyjąć tylko to, jeszcze bardziej przypadkowe, wyjaśnienie: "żeby przejść od potencjalnego do rzeczywistego, od zromantyzowanej czynności oczyszczania do szaleństwa wielkiej czystki, potrzeba było czegoś niezwykłego, jednego człowieka, samego Stalina".

Z pewnością jest to wierny opis rozwoju wydarzeń. Niektórzy komuniści w czasie tych kolejnych faz odczuwali różnicę między intencjami a rezultatem jako różnicę między sprawiedliwością i niesprawiedliwością. Mówili o tym i często płacili za to życiem. Wielkie czystki są niezrozumiałe, jeśli nie bierze się pod uwagę polityki personalnej Stalina, jego decyzji zbudowania nowej partii, wierniejszej niż istniejąca, która była stalinowska z przekonania, ale nie z urodzenia. Jednakże teoria "przypadków" w radzieckiej historii mierzy za daleko i za blisko i mija się z prawdą. Za blisko - bo pojmowanie tej historii jako nieudanej próby ustanowienia sprawiedliwości wynika z n a i w n o s c i, która jest pierwszą niedokształconą ideologią. Naiwność polega na osądzaniu wartości przedsięwzięcia nie według kryteriów wewnętrznych doktryny, lecz według kryteriów uniwersalnych, których ideologia nie uznaje. Potencjalna sprawiedliwość i rzeczywista niesprawiedliwość wynikają z nieideologicznego osądu, o tyle o ile ideologia odrzuca niezależność moralności od doktryny. Za daleko - ponieważ sprawowanie władzy dla władzy i wprowadzenie

nie weń czynnika osobowego zależy od drugiej niedoskonałości ideologii, którą nazywam c y n i z m e m. Aron objaśniając poprawnie zresztą zdefiniowany system ideologiczny trafia celnie tylko w jego marginesy, skazy, nieczystości. /s./

DIALEKTYKA DWÓCH RZECZYWIŚCISCI

System staje się totalitarnym, pisze Raymond Aron, od momentu wystąpienia zamiaru, od pragnienia całkowitego przekształcenia istniejącego porządku zgodnie z pewną ideologią. Ustrój może uciekać się więc do trzech rodzajów terronu. Pierwszy z nich można nazwać zwykłym. Stosuje się go często wobec opozycji. Jest tak stary jak historia rewolucji: nowa władza na wielu wrogów i by przetrwać, musi ich zniszczyć. Drugi to terron kolektywizacji, a także planów pięcioletnich, da się racjonalnie wytłumaczyć, pomimo absurdalności planów, których terron ten był logicznym następstwem. Trzeci, skierowany przeciwko samej partii, jest zagadkowy:

"Tikt nie dat się ciekliem osakcać, ale niewielu miało odwagę powiedzieć po ormiejsku »nonsense« czy po francusku: »nonsense! nonsense! nonsense!«. W rzeczywistości, co jest zdumiewające, ten świat strasznych fikcji nie był tak po prostu podły czy okrutny. W pewien sposób podlegał, a w każdym razie fascynował, ponieważ wszystko miało tam umaczenie, nie nie było przypadkowe. Potężne siły historii łączyły się z pojęciami klasy i klanami jednostek. Dialektyka Hegla kończyła się politycznym sułektwem."

Ten kliniczny opis stanu fascynacji u obserwatora będącego na zewnątrz ideologii, lecz poddanego jej magii, jest dla mnie godny podziwu. A jednak można sprawić, żeby czar przysł i przeniknąć "misterium magnum" czyli terron, którego skutki, w miarę ustępowania przyczyni rosną. Trzeba tylko rozważyć czwarty typ terronu, który steruje trzema pozostałymi. Rzeczywiście, choć wysiłku, aby wniknąć rzeczywistość, co tłumaczyłoby dobrze pierwszy typ terronu, gorzej już drugi i źle trzeci, ideologia narzuca fikcję, że istnieje już także irna rzeczywistość, jej własna. System nie jest terronistyczny tylko dlatego, że przesłwa ideologię "in potentia" do działania, ale także i ostatecznie przede wszystkim dlatego, że utrzymuje, że istnieje ona już "in actu".

Rewolucyjny plan przedideologiczny szanuje i zachowuje niepowtarzalność rzeczywistości, chociaż ją gwałci, i następstwo czasu, chociaż go przyspiesza. Piotr Wielki reprezentuje właśnie tę prostą rewolucyjną władzę. Aby zmienić Rosję, wprowadza terron. Ale zmieniając ją nie twierdzi, że Rosja jest już zmieniona. Podobnie, choć czuwa nad swoją propagandą, nie fałszuje informacji i nie ustanawia rządów klanstwa. Przeciwnie, desakralizuje sytuację w Rosji, aby stała się lepiej znana i sprawcza ją do wspólnego wzorca, aby ją lepiej zmienić. Rozbija cerkiew, otwiera granice. Jeśli chodzi o ucięcie głowy, wystawia je w bramach miast.

Starożytna apokaliptyka widziała świat obecny i świat, który ma nadejść, jako dwa wyraźnie oddzielone "eony". Starożytna gwoza natomiast odkrywa pod tym światem inny świat, immanentny dlań, który jest już tu, i który oddziela od pierwszego tylko przegroda zmoconej jeszcze świadomości. Dwa eony zespalają się w jeden. Piotr Wielki pascuje dla świata, który ma nadejść. Także starożytny stosowali schematy apokaliptyczne, nazywając go Antychrystem, a biskupi oficjalni Konstantynem. System ideologiczny rozwija działalność terrorystyczną przede wszystkim po to, żeby przekonać świat, swoich poddanych, swoich przedstawicieli, że istota społecznego kosmosu jest już przekształcona, że o b e c n i e wraz z socjalizmem ludzkość osiągnęła ostateczny kształt. Niekiedy terron normalny czy racjonalnie wytłumaczalny usiłuje zmazać ludzkość do przyjęcia tego kształtu. Ale ten szczególny terron sięga o wiele dalej. Musi pozatykać wszystkie szczeliny w przegrodzie oddzielającej prawdziwą rzeczywistość od rzeczywistości ideologicznej. Pierwszym krokiem jest zamknięcie granic i kontrola informacji. Część rzeczywistości, która znajduje się pod kontrolą systemu, ma być traktowana jako coś, czego nie ma, natomiast pseudo-rzeczywistość jako rzeczywistość. Drugim krokiem jest reekukacja mas; powinna być ona prowadzona do chwili, w której zajęły przestają spełniać swą informacyjną rolę i białe może być sprzeciwu zostać nazwane czarnym; aby w obecności klanstwa język był sparalizowany i nie mógł krzyknąć: klanstwo! klanstwo! klanstwo!

Ale ten terron jest nie tylko bardziej natężony - to jedynie rozpowszechniłoby te rodzaje ucisku, które w historii ludzkości już zastosowano, choć może nie na taką skalę. Jest to nowy rodzaj terronu. Jest bardziej uciążliwy przez to, że jedność świata została rozbita i że jednostka, nie mogąc zaczepić się w świecie rzeczywistym, będzie prawdopodobnie żyła w świecie niestniejącym. Nie mogąc zakotwiczyć się w czasie historycznym, prawdopodobnie będzie żyła w urojonym czasie eschatologicznym. W ten

sposób popada w stan fałszu, który jest gorszy nawet niż sam ucisk. Poza tym trzeba zaprzeczyć istnieniu tego masowego terronu i towarzyszącego mu ogromu cierpienia. Terror pierwszych lat systemu wystarczająco przypominał terror normalny, można więc było się do niego przyznać. Pisano o nim wiersze. Lenin wychwalał Czecha. Dzierżyński jako jedyny ze wszystkich znanych z historii szefów policji ma pomnik na jednym z moskiewskich placów. Ale gdy ten terror spełnił swoje zadanie i system nie miał już wrogów z krwi i kości, wrogiem stawała się sama rzeczywistość. W miarę jak kompromitowała, przez sam fakt swego istnienia, tę pseudo-kreację, potrzebny był inny, niesłychanie wzmocniony terror. Ale ponieważ rzeczywistość była nie do pogodzenia z rzeczywistością ideologiczną - gdyby ta pierwsza była znana, rujnowałaby tę drugą - stała się ona wielkim sekretem.

W sercu nowego ustroju wzrastał system represyjny, który był jego zaprzeczeniem, na którym jednak ustrój się opierał. U szczytu stalinizmu promienna kreacja radziecka została zredukowana do cienkiej powłoki, która dla świata zewnętrznego zachowała pozory ciągłości, ale przekroczone przypadkiem, otwierała natychmiast bramy Gulagu, jak tego doświadczili liczni kominternowcy z Zachodu. Chociaż powłoka ta była tak cienka, nie została jednak rozdarta. Terror przez swoją wszechobecność umiał stać się niewidzialny. Jednakże w tym najwyższym stadium nie można go już kontrolować. Policja ma teraz zupełnie metafizyczne zadanie. Nowa rzeczywistość i wiara w jej istnienie wspiera się na barkach Jeżowa, Berii, na organach. Ścisłe określone zadania w "physis" - zorganizowanie koczochów, budowa fabryk, odnowa partii - są teraz drugorzędne w porównaniu z wielkim zadaniem zastąpienia jej przez "metaphysis". By osiągnąć pierwsze cele nie musiano zrujnować rolnictwa, natomiast musiano tego dokonać wraz z eksterminacją chłopskiej elity, ażeby osiągnąć te drugie cele. Wielka czystka nie była konieczna, by partia zachowała monopol na władzę. Ale aby zachować czystość ideologiczną, partii, była być może potrzebna.

Problemem systemu ideologicznego jest kontrola dialektyki obu rzeczywistości. Czerpiąc swe treści z rzeczywistości, rzeczywistość fikcyjna nie może jej osiadać, bo to z kolei grozi jej zgubą. Musi być zachowana taka równowaga, jak między pasożytem a organizmem, na którym żyje. Ustrój radziecki wystrzega się dzisiaj powrotu do stalinizmu, ponieważ za Stalina równowaga ta o mało nie została zniszczona. W pierwszych miesiącach inwazji niemieckiej uratowała ją to, że rząd mógł bardzo szybko przechylić szalę na drugą stronę: zgodził się na chwilowy zmierzch ideologii. W czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej pogodził się z ogromnym dopływem rzeczywistości, tak że sprzymierzeni, a nawet i sami poddani, uważali, że jest to system tradycyjny, pozostaje niebylegitymny od tego, o którym marzy Staliniem. Partia zachowała władzę, ale włączała w swoje działania najlepszych obywateli. Cerkwie istniały pod faktycznym konkordatem. Kłamstwo zostało ukryte pod nacjonalizmem, który skutecznie pociągał do działania. Staliniem zachował dobre wspomnienia z tego okresu, który był czasem jego wejścia w życie. Widzi w nim obietnicę. Jak jednak wiadomo, gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, rzeczywistość radziecka równie łatwo podjęła ekspansję, jak się uprzednio cofnęła. Staliniem doświadczył tego na sobie. "Organy" - ukryte - pozostały nie naruszone. Metafizyczna budowa, na chwilę porzucona, ruszyła w najlepsze zaraz po wojnie i ponownie ona nie wykrawiała kraju na śmierć. Po śmierci Stalina system odnalazł równowagę bez wątpienia doskonalszą, niż w jakimkolwiek innym okresie swojej historii. W swej istocie pozostaje nadal nietknięty.

"MILCZ SANCHO"

Ale jaka jest ta istota? Gdzie szukać jej sprężyn, jej bytu? System radziecki jest w pełni zależny od ideologii, a ideologia z kolei zależy od rzeczywistości, której stara się nieustannie nadać spójność - dlatego system jest prymitywny i ciężki - rzeczywistość jednak nie chce zaistnieć, co odbiera systemowi jego spójność i pozbawia go realności. Jeśli rozważać ten system w rzeczywistości realnej, nie ma nic równie imponującego, nie ma też nic tak wstrząsającego jak "organy", ale ponieważ nie ma on z rzeczywistością wspólnego celu, wydaje się bezsilnym w swej wszechmocy i nie kieruje nią bardziej niż lasica królikiem, którego sygi się uczepia. Jeśli rozważać rzeczywistość fikcyjną, trzeba w nią uwierzyć, żeby wierzyć w system, lecz aby w niej wierzyć, musi się on maskować.

Tam gdzie rozumowanie zawodzi, odwołam się do mitu, i gdy mądrycy są zakłopotani, właśnie głupiec wythumaczy nam, czym jest system radziecki. Otwieram Don Kichota, drugą część, dziewiętnasty rozdział:

"Zobaczyli wielki młyn ustawiony na środku rzeki i don Kichot ledwie go spostrzegłszy głośno wykrzyknął: Popatrz przyjacielu Sancho, oto przed nami miasto, zamek lub forteca, gdzie powinien być uwięziony rycerz, więziona królowa czy księżniczka, którym na pomoc zostatem tutaj przaprowadzony.

- O jakim do licha mieście, fortecy czy zamku mówicie Panie? odpowiedział Sancho. Czy nie widzicie, że to młyn zbudowany na rzece, młyn do mielenia ziarna?

- Młecz Sancho, wykrzyknął don Kichot, chociaż wygląda tak, nie jest to wcale młyn. Czyż nie mówiłem ci, że czary zmieniają rzeczy i odbierają im ich naturalny wygląd? Nie chcę powiedzieć, że je rzeczywiście przekształcają w inne istoty, lecz że sprawiają, iż wydają się czymś innym."

Młyn to Rosja. Zamek z więzioną królową to Rosja w wyobraźni rewolucjonisty. Władza rewolucyjna to władza don Kichota. Ale czy władza nad młynem, czy nad zamkiem? Ideologia każe widzieć zamek w młynie, choć wygląda jak młyn - i poprzez naprawdę szalone odwrócenie właśnie rzeczywistość wydaje się być produktem czarów. Nie ma przekształcenia "apokaliptycznego" wymyślonej rzeczywistości przez rzeczywistość realną, zamku przez młyn. Będzie się więc rządzić młynem jak zamkiem, a nie jak młynem. W zależności od punktu widzenia te rządy będą się wydawać raz potężne, raz bezsilne. Wszystko to, co we młynie przypomina młyn, zostało usunięte, żarna i koła zostały zniszczone, a młynarz poddany reedukacji. Młynarz wierzy więc, że żyje pod okropnym despotyzmem, czego nie może powiedzieć, bo: Młecz Sancho! A jednak młyn pozostaje młynem, zamek nie chce się pojawić. Ponieważ żyć trzeba, zarządca dzieli się z młynarzem chlebem, który ten piecze pokątnie jak umie. Młynarz więc - zniszczonym, ale młynie - zastanawia się, czy to nie on jako jedyny istniejący jest panem, on, a nie królowa. Znosi władzę jak niepożądanego gościa albo jak zły sen. W tym sensie żyje w anarchii: despotyczna anarchia to być może najlepsze określenie dla systemu, który sam nazywa siebie organiczną i bezkonfliktową "archią".*

Bajka pozwala zrozumieć, dlaczego system radziecki wymyka się Arystotelesowi, Monteskiuszowi, Raymondowi Aronowi. Tak jak w grze w "bomneteau"**, nie da się go umiejscowić. Chciałoby połączyć w sobie trzy formy dobrej władzy. Ale przepędzony z tej pozycji nie zatrzymuje się również na trzech złych formach. Odpowiada despotyzmowi Monteskiusza pod warunkiem, że się zaznaczy, że Monteskiusz nie znał despotyzmu, o którym mówił i że tylko go widział we śnie. Dalej spostrzegamy, że w tym despotyzmie nie ma despoty. Marksista jest jeszcze bardziej zbity z tropu niż ktokolwiek inny. Szuka bazy społecznej dla nadbudowy ideologicznej w chwili, w której władza stara się przekształcić społeczeństwo w epifenomen doktryny. Ustrój zachowuje się jak zupełny idealista. Podporządkowuje to, co ontologiczne temu, co logiczne. Lecz na wzór don Kichota uznaje swe urojenia za rzeczy i uważa się za materialistę.

Czy totalitaryzm pochodzi z rewolucyjnego planu? Tak, ale obok planu jest już - fakt ideologiczny. Przekształcenie rzeczywistości na wzór rzeczywistości, którą ogłasza się za immanentną, ale która jest urojona i fikcyjna, powoduje w rezultacie sparalizowanie pierwszej i zmusza ją do naśladowania tej drugiej. Ale młyn, dlatego, że przestaje mleć zboże, nie staje się zamkiem. Jest młynem nieczynnym. System jest więc równocześnie źródłem rewolucji i konserwatyizmu. Utopia, ponieważ uważa się ją za zrealizowaną, jest pułapką dla rzeczywistości i wyjaławia wyobraźnię. Źródłem zniszczenia /które Bakunin ucośsamiał z tworzeniem/ nie jest prometejskie natchnienie, ale kazała je ciężka fantazja podrzędnego urzędnika. Aby zoperować kulawą stopę społeczeństwa zgromadzono wszystkie możliwe środki. Przybywa Charles Bovary z instrumentami chirurgicznymi.

ALAIN BESANÇON

Przypisy

1. Polityka, III, 7
2. Konstytucja ZSRR, Lwów 1939
3. Zob.: Bez Dekretu nr 16/1987

* przeciwieństwo do anarchii, gr. władza

**gra, w której trzeba odgadnąć, gdzie znajduje się jedna z kart.

Targi Książki we Frankfurcie

Frankfurter Buchmesse, Frankfurt Book-Fair, Foire du Livre de Francfort, Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie nad Menem. Od lat uważane za największą, a jednocześnie najbardziej prestiżową na świecie prezentację książki. Co roku Niemiecki Związek Księgarzy przyznaje tutaj swoje nagrody. W 1986 roku laureatem został Władysław Bartoszewski. Targi są nie do ogarnięcia. Można jedynie zatrzymać się i słuchać. Z dżungli języków wyłaniać znajome słowa.

ROZMOWA I : MIROSŁAW CHOJECKI, "Kontakt", Paryż.

- W tym roku obchodzimy dziesiątą rocznicę powstania NOWEJ. W 1977 r. na fali niezależnych inicjatyw społecznych - powstałych po wypadkach w Radomiu i Ursusie - rozpoczęła działalność Niezależna Oficyna Wydawnicza. Znaczenie jej działań trudno byłoby przecenić. Chciałbym Cię zapytać, czy ten okres związany z NOWĄ jest dla Ciebie czasem zamkniętym. Innymi słowy, czy czujesz ciągłość tego, co robisz obecnie na Zachodzie z tym, co robiłeś w Polsce?

- Oczywiście, że to jest tak, że okres 4-5 pierwszych lat, kiedy to aktywnie i czynnie uczestniczyłem w życiu opozycyjnym kraju, jest jakimś etapem zamkniętym. Ale z drugiej strony to wcale tak nie jest, że tamte dni skończyły się dla mnie. Z chwilą przekroczenia "żelaznej kurtyny" niewiele zmieniło się w moim życiu. Kiedy teraz myślę o tej - nie tak dawnej znowu - przeszłości, to wydaje mi się, że bez owych doświadczeń lat 77-81 byłbym zupełnie innym człowiekiem. Pewnie nie spotkalibyśmy się na tych targach.

- Mój Boże, co wobec tego byś robił?!

- Nie wiem. Może bym dalej siedział w Instytucie Badań Jądrowych, badał reakcje jonowo-cząsteczkowe, najlepiej w fazie gazowej. Być może podpisywałbym jakieś listy, otrzymywał naukowe nagrody i zamartwiał się, że nie jestem docentem. Mówiąc poważnie - będąc teraz na Zachodzie, we Francji, myślę, że kontynuuję to wszystko, czym się dawniej zajmowałem.

- Czyli?

- Czyli wydając miesięcznik, robiąc wraz z gronem przyjaciół filmy, zajmując się katalogiem wydawnictw niezależnych, klubem społeczno-kulturalnym, gdzie spotykają się bardzo różni ludzie. Odbywały się tam spotkania z Janem Nowakiem-Prziorańskim, Leopoldem Ungerem, ale także z Anką Kowalską czy Arturem Międzyzrzećdem. Tu nie ma granic. Robię jakby jedną, naprawdę istotną rzecz zaczęta w Polsce. To wszystko widać, jest spektakularne, ale przecież instytucja, która się "Kontakt" nazywa i ja sam staramy się nie tylko utrzymywać kontakt z krajem, ale jakoś mu pomagać. Złatwiamy sprzęt poligraficzny, części zamienne, przerzuty do Polski, a z drugiej strony ludziom z Polski przyjeżdżającym na miesiąc, dwa staramy się pomóc materialnie. Po to, by mogli pójść do biblioteki, zorientować się w tutejszym rynku wydawniczym. A jeżeli ktoś nie jest ani dziennikarzem, ani pisarzem, ani wydawcą to po to, żeby mógł pochodzić po muzeach, kinach - zetknąć się z tym kawałkiem innego świata. Już choćby to wskazuje na to, że nie istnieje owa granica, którą bym przekroczył i od której można by powiedzieć: i wtedy wszystko się zmieniło. To wszystko, co robimy w Paryżu, jest tymczasowe. Któregoś dnia zapakujemy się na ciężarówkę i ruszymy do Warszawy. Być może dlatego od początku chcieliśmy redagować "Kontakt" tak, jakby był robiony na miejscu, a tylko z przyczyn technicznych drukowany tutaj.

- Agendy, stowarzyszenia, kluby... Myślę, że czytelnik w Polsce zaczyna się w tym gubić. Czy mógłbyś powiedzieć kilka słów na temat struktury "Kontaktu"?

- "Kontakt" z punktu prawnego jest stowarzyszeniem, które stawia sobie za cel upowszechnianie informacji o Polsce i krajach Bloku Wschodniego. W ramach stowarzyszenia wydawany jest miesięcznik o tej samej nazwie¹ robione są filmy, funkcjonuje klub, prowadzone są prace nad zawartością polskiej prasy niezależnej /ponad 1200 stron formatu A-4/. Ten katalog jest ogromnym ułatwieniem dla ludzi zajmujących się problematyką polską. Ponadto "Biuletyn Afganiski" i cała sfera działalności związana z tą problematyką. W tej chwili w Afganistanie przebywa Jacek Winkler, który przysyła nam statąd materiały. Po jego powrocie z reguły organizujemy jakąś turę. Poprzednio były to Stany Zjednoczone, Kanada, Mek-

* Do czerwca 1987 redagowany przez Bronisława Wildsteina /przyp.red./.

syk. Chcemy tą aktywnością przypominać, że wojna w Afganistanie niczym nie różni się od wojny w Wietnamie poza tym, że w Wietnamie Amerykanie bronili demokracji, a w Afganistanie Rosjanie narzucają totalizm. Chciałbym tutaj jeszcze wspomnieć o piśmie w języku angielskim "Polish Agriculture". Zaczęło ono wychodzić, kiedy były jeszcze szanse na utworzenie Kościelnej Fundacji Rolnej. Zainteresowanie tą problematyką było ogromne, a nie było dostojnie nic, żadnych materiałów w jakimś dostępnym języku. Jest to kwartalnik 140-60 stron. Zainteresowanie tą problematyką bynajmniej nie zmniejszono się. Odbiorcami są m.in. członkowie Rady Europejskiej, dziennikarze, związki farmerów itd.

- W tym roku na Targach znalazło się miejsce dla krajowego stoiska niezależnego, co jest pewnym novum w stosunku do lat poprzednich. Czy czujesz się patronem tego stoiska? Czy nie czujesz się przypadkiem tak jak farmaceuta, który wynalazł niezwykle potrzebne lekarstwo, ale w seryjnej produkcji okazało się, że posiada ono również skutki uboczne?

- To nie ja wynalazłem to lekarstwo. To lekarstwo wynalazł Gutenberg i to lat temu kilka. Mówiąc serio: są to już moje kolejne Targi, nie po raz pierwszy wydawnictwa niezależne wystawiają, z tym, że zawsze byliśmy przyklejeni do innych wydawnictw: do "Kultury", "Polonii", "Pulsu". W tym roku po raz pierwszy stoisko to jest samodzielne. Dla mnie osobiście jest to niewielka różnica. Natomiast ogromna z punktu widzenia postrzegania tych wydawnictw tutaj. Trzeba pamiętać, że wystawiać na tych Targach może tylko ten, kto jest członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Wydawców, a zostać nim można tylko poprzez związek krajowy. Innej drogi po prostu nie ma. I tutaj organizatorzy po raz pierwszy złamali tę zasadę. Formalne uznanie istnienia niezależnych wydawnictw w Polsce, właśnie przez Niemców, ma ogromne znaczenie polityczne. Oczywiście stoisko to nie powstałoby bez wydawców krajowych, to oni w końcu przysłali książki, przygotowali katalog. No i oczywiście wysiłek wydawnictw emigracyjnych, które rzecz całą sfinansowały. Trzeba tutaj podziękować "Kulturze", która bardzo zabiegała u organizatorów, "Polonii", "Pulsowi", "Spotkaniom".

- Czy wysiłek ten się opłaca?

- Na podstawie tych kilku dni mogę powiedzieć, że tak. Ilość ludzi, którzy na to stoisko przychodzą, nie ludzi wizytujących, nie dziennikarzy robiących wywiady, ale wydawców bezpośrednio zainteresowanych wydaniem polskich książek - ilość wskazuje na celowość tego przedsięwzięcia. Wielu wydawców z Holandii, Włoch, USA dopytywało się o nowości. Chcą tłumaczyć, wydawać. Problem polega na tym, że ani ja, ani nikt na tym stoisku nie ma żadnych praw autorskich. Nie jesteśmy wobec tego w stanie podpisać żadnego kontraktu, a myślę, że kilka książek się do tego nadało.

- Mógłbyś podać jakieś konkrety?

- Pytano nas o świeżo wydaną książkę Andrzeja Szczypiorskiego. Poza jego warszawskim adresem niewiele mogłem pomóc. Mam nadzieję, że wydawcy włoscy, którzy byli tą twórczością zainteresowani, jakoś sobie poradzą. Podobnie rzecz się miała z Holendrami i Julianem Strykowskiem, Maciejem Poleśkim i Francuzami itd. Warto by zadać, abyśmy tutaj znali zachoźnych przedstawicieli pisarzy wydających w podziemiu.

GRÓŚ I : MEŻCZYŻNA LAT 60-65. Siwy wąs. Żółte mówiący po polsku.

Ze skupieniem ogląda półki z niezależną literaturą.

- W Polsce nie ma cenzury?

- Jest. Oczywiście!

- To jak te książki są drukowane?

- Właśnie o to chodzi. Nocami, w wynajętych mieszkaniach itd.

- To cenzura pozwala je drukować nocami, w wynajętych mieszkaniach itd.?! A swoją drogą wyglądają dużo lepiej niż sowiecki samizdat.

Odciąga mnie na bok.

- Niech mi pan powie, jak to w Polsce? Widząc, że nie rozumiem pytania:

- W co ludzie wierzą? No w co?

Powtarza to jeszcze kilka razy wpatrując się we mnie natarczywie, nieprzyjemnie.

ROZMOWA II: NINA KARSOV, "Kontra", Londyn.

- Chciałbym Panią zapytać o urabienia z tegorocznych Targów. Czy dla Pani jako wydawcy impreza ta ma jakieś znaczenie ekonomiczne, handlowe?

- Żadne.

- Które to już Pani Targi?

- Trzecie.

- Chciałbym zapytać o początki wydawnictwa?

- Opuściliśmy z Szymonem Szechterem PRL w listopadzie 1968 r. i zamieszkaliśmy w Londynie. Mniej więcej dwa lata później założyliśmy wydawnictwo "Kontra". Pierwszą naszą publikacją był przełożony z języka rosyjskiego program Demokratów Rosji, Ukrainy i Krajów Bałtyckich.

Był to bardzo interesujący tekst - jedyny, który znaleźliśmy w samizdacie - zawierający krytykę marksizmu. A trzeba powiedzieć, że orientowaliśmy się dobrze w sowieckim samizdacie, bo tłumaczyliśmy "Kronikę bieżących wydarzeń" - 3 tomy czyli 27 numerów ukazało się w języku polskim. Potem wydaliśmy: "W cieniu krzyża" Józefa Mackiewicza, "Uciekłem" Szymonora Szechtera.

- *Jak przyjęty inne wydawnictwa waszą inicjatywę?*

- Powiedziałabym - nie zwróciły uwagi.

- *Czy nagroda krakowskiej "Arki" dla Józefa Mackiewicza doceniająca nie tylko literackie walory tej twórczości, ale również w sposób pośredni będąca usatysfakcjonowaniem dla jego wydawcy w pełni Panią satysfakcjonuje?*

Kiedy rozpoczęliśmy tę działalność, mieliśmy wiele wątpliwości i rozterek. Byliśmy jednak przekonani, że twórczość ta zasługuje na upowszechnienie. Niezwykle oryginalne poglądy polityczne, wybitne walory literackie tej prozy sprawiły, że chcieliśmy ją drukować. Żeby jednak wyjaśnić, jak doszło do zajęcia się Mackiewiczem, musiałabym panu wiele opowiedzieć, a nie ma pan dla mnie tyle czasu.

- *Mackiewicz cieszył się działając w Polsce wielką popularnością. Czy 15 lat temu można było przewidzieć taki rodzaj recepcji tej twórczości?*

- Musieliśmy wierzyć w potrzebę takiej pracy, w przeciwnym razie byśmy tego nie robili. Ale pomiędzy wiarą a wiedzą jest spora przepaść.

- *Można zapytać o plany wydawnicze?*

- Oprócz wznowień, czterech autorów przygotowuję krytyczno-literackie prace o twórczości Mackiewicza, poza tym zamierzam w najbliższym czasie opublikować wybór tekstów Janusza Szpotkańskiego.

ROZMOWA III : EDWARD KLIMCZAK, "Pogląd", Berlin Zachodni.

- *Chciałem Pana zapytać o początki. Jaki był pomysł na robienie pisma i co od tego czasu się zmieniło?*

- Pismo wychodzi od 17 I 1982 r. Przez 20 numerów ukazywało się pod roboczym tytułem "Biuletyn Informacyjny". W październiku '82 zmieniliśmy tytuł i od tego czasu ukazuje się jako "Pogląd". Przez ostatnie 5 lat jako dwutygodnik, a obecnie od września b.r. jako miesięcznik. Pomysł wydawania pisma dla Polaków w Berlinie Zachodnim powstał wkrótce po ogłoszeniu stanu wojennego. Wówczas w Berlinie - tak samo jak i na całym świecie - doszło do demonstracji przeciwko swoistemu zamachowi stanu. Po jednej z takich demonstracji - w grupie kilku osób - doszliśmy do wniosku, że istnieje potrzeba informowania Polaków o tym co się dzieje w kraju. Utworzony został wówczas Komitet Obrony Solidarności i na fali tych działań 17 I ukazał się pierwszy numer. Z czasem zmienił się profil pisma. Od informowania Polaków o wydarzeniach w Polsce do analitycznych artykułów poruszających sporne problemy historyczne czy geopolityczne. Zwiększała się również objętość pisma. Na początek wiele uwagi poświęcaliśmy problemom Polaków w RFN. Uzyskanie mieszkania, czyli, nauka języka niemieckiego to były rzeczy najważniejsze, bo codzienne.

- *Czyli było to pismo skierowane do polskiej emigracji w RFN?*

- Śluszenie. Było to pismo skierowane głównie do emigracji berlińskiej. Z chwilą, gdy zauważyliśmy, że zainteresowanie pismem wzrosło, zaczęliśmy je wysyłać do innych miast i krajów. Z czasem pojawili się korespondenci - Polacy mieszkający w tych krajach i piszący dla "Poglądu". W ten sposób "Pogląd" przestał być pismem berlińskim, a stał się pismem emigracji.

- *Jak Pan sądzi, czy "Pogląd" czytany jest w Polsce?*

- Od 1984 r. wydajemy mini-wydania, gdyż doszły nas głosy z kraju, iż pismo takie byłoby czytane. W ten sposób pismem zainteresowali się dziennikarze w Polsce pracujący dla dziennika i zaczęliśmy również od nich otrzymywać materiały. Większość z nich pisze pod pseudonimem, są jednak i tacy, którzy teksty podpisują własnym nazwiskiem, jak choćby Jerzy Surdykowski.

- *Jak wygląda obecna sytuacja "Poglądu" ?*

- W tej chwili "Pogląd" jest miesięcznikiem również ze względów ekonomicznych. Pismo spoczywało zawsze w moich rękach. Redakcja nigdy nie liczyła zbyt wielu osób. Sam nie jestem zawodowym dziennikarzem, a wykładowcą języka rosyjskiego na Frei Universität w Berlinie Zachodnim. "Pogląd" redaguję popołudniami w sobotę, niedzielę. Prowadzenie pisma w takich warunkach wymagało niesamowitego wysiłku, dyscypliny, no i swojego rodzaju poświęcenia. W tej chwili zyczyniam nie czuję się na siłach prowadzić dwutygodnika.

- *Czy można powiedzieć, że pismo od początku miało swojego czytelnika?*

- Wydaje mi się, że czytelnik wykrystalizował się w ciągu pierwszych dwóch lat. Naszym czytelnikiem niekoniecznie jest intelektualista szukający w takich pismach jak "Zeszyty

Literackie" dogłębnych analiz politycznych. My nastawiamy się na zapełnienie pewnej luki. Chcemy mówić do ludzi, którzy tu są - nie nazwałbym ich młotami książkowymi.

- Jak układają się Pana stosunki z innymi wydawcami? Czy można je określić mianem współpracy, czy są to tylko animozje?

- Trudno mówić o animozjach. Wydaje mi się, że "Pogląd" został przyjęty zupełnie normalnie. Jeżeli pismo niewiele znaczy, to inni wydawcy nie czytują go, nie liczą się z nim. Z chwilą, kiedy publikuje się znaczące teksty, to prędzej czy później pismo zajmuje swoje miejsce. Jest to normalny proces wchodzenia produktu na rynek. Myślę, że "Pogląd" jest cenny. Stosunki z innymi wydawcami układają mi się bardzo dobrze. Najlepszym tego dowodem, że tutaj na Targach we Frankfurcie jestem na stoisku "Spotkani" z Paryża. Jestem tutaj za darmo, ponieważ Piotr Jegliński udzielił mi, że tak powiem, gościny.

- W ramach biblioteki "Poglądu" ukazują się również książki. Czy mógłby Pan powiedzieć kilka słów na ten temat?

- W 1983 r. postanowiliśmy drukować książki. Dotychczas wydaliśmy około 12 pozycji. W tym roku ukazały się eseje Krzysztofa Zawrata i Leszka Szarugi, wiersze Lothara Herbsta /dwuczynne wydanie/, tekst Leszka Moczulskiego.

GTOS II : **WĘZCZYŹNI LAT OKOŁO 30.** Modnie ubrani. Na pierwszy rzut oka pracownicy fizyczni. Lekki zapach alkoholu.

- Patrz, ile tego jest.

- Jadą chłopaki na całego.

- Jak się tak na to patrzy, to jednak coś się robi.

- Mnie się wydaje, że książka powinien coś na tych mszach powiedzieć.

- E, nie wiesz jak to jest? On też ma cykora.

- Tutaj?!

- Oni wszędzie - kurwa - mają swoje sposoby!

- Chodźmy.

ROZMOWA IV : **PAUL ZSOLNAY**, Verlag GmbH Wien-Hamburg, dyrektor zachodnioniemieckiego wydawnictwa, które w tym roku wystawiło we Frankfurcie biografię Lecha Wałęsy - "Droga nadziei" /tłumaczenie z j. francuskiego/. Duża kampania reklamowa. Zdjęcia, plakaty, reklamówki z podobizną Lecha.

- Skąd wzięto się zainteresowanie tą książką?

- To jest ważna książka naszego czasu i widzimy, że rozwój sytuacji w Polsce otwiera przed nami istotne zadania. Jestem przekonany, że ukazanie się tej autobiografii w części wypełnia to zadanie. To dotyczy nie tylko Polski, ale w ogóle Europy. Poza tym sądzę, że Lech Wałęsa jest godnym zainteresowania człowiekiem i zajmie w historii pewne miejsce. Do druku tej książki doszło w sposób naturalny. Pan wie, że wyszła już po francusku? Myśmy przeprowadzili tłumaczenia z polskich taśm i francuskiego wydania.

- Dlaczego zdecydował się Pan dopiero teraz na druk tej książki, a nie w 1984 r., kiedy Wałęsa otrzymał Nagrodę Nobla?

- Nie mieliśmy po prostu możliwości. Dopiero francuskie wydanie taką sytuację stworzyło.

- I po trzech miesiącach od wydania francuskiego wprowadza Pan tę książkę na obszar Niemiec Zachodnich.

- Tak. O ile mi wiadomo, książka ta wychodzi również po włosku i angielsku.

- Jak Pan sądzi, jaką rolę odegra ta książka w percepcji zjawiska zwanego "pierestrojką"?

- Trudno powiedzieć. Myślę po prostu, że mówimy tutaj o zjawisku, które się zaczęło w Stoczni Gdańskiej w Sierpniu 80 r.

- Rozmawiamy o Wałęsie, ale książka jest również zbiorem wypowiedzi innych członków "Solidarności". Dla nas Polaków Wałęsa jest przewodniczącym 10-milionowego związku. Czy ma Pan jakieś inne plany związane z polską "Solidarnością"?

- Tak. Mamy kontakt z Lotharem Herbstem i nie jest wykluczone, że ukaza się jego książki w naszym wydawnictwie.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do "Drogi nadziei". Czy spodziewa się Pan sukcesu?

- Przygotowaliśmy 40-tysięczny nakład i wierzymy, że się rozajdzie. Zainteresowanie jest duże. Ale tu nie chodzi tylko o osiągnięcie efektów handlowych. Pan mnie rozumie? Krótko mówiąc, jest to dla nas bardzo ważna sprawa.

GTOSY PRASY FRANCUSKIEJ :

"Le Figaro": Książka ta odkrywa wreszcie człowieka Lecha Wałęsę, który stał się zbyt szybko sławny, by móc być właściwie poznany !

"Quest-France": "Wielka książka. Prawdopodobnie najwspanialsza od czasów "Archipelagu Gułag" Sołżenicyna, która do nas przyszła ze Wschodu".

"Le Matin": "Lech Wałęsa należy do tej kategorii ludzi, w obecności których stawia się pytanie: czy oni robili historię czy historia ich zrobiła".

"Libération": "Pamiętniki te odkrywają do najmniejszego detalu jego starania, żeby zapobiec krwawej łaźni i odkrywają również tę wewnętrzną rozterkę przywódcy związkowego w konflikcie między nadziejami strajkujących i potrzebą spokoju".

ROZMOWA V : STEFAN KOSIEWSKI - dziennikarz, poeta. Od 5 lat w RFN.

- *Które to już Twoje Targi?*

- Piąte.

- *Czy widzisz jakąś różnicę w prezentacji polskiej myśli niezależnej?*

- Tę różnicę widzę zarówno w sposobie prezentacji, jak i możliwościach. Po raz pierwszy stoiska polskie zebrane są w jednym miejscu. Po raz pierwszy również niezależne stoisko krajowe jest wyeksponowane. Myślę, że w pewnym stopniu można na podstawie tego stoiska wyrobić sobie opinię, co w Polsce jest obecnie czytane. Stoiska polskie są odwiedzane co najmniej w takim stopniu, jak stoiska innych poważnych domów wydawniczych Europy. Polskie stoiska są, można powiedzieć, obłączone - trwają tu ciągle jakies rozmowy, wywiady, przewijają się ekipy telewizyjne. Tego nie można chyba powiedzieć o innych stoiskach. Może nasze oczekiwania są większe, ale to już zupełnie inna sprawa.

- *Co czujesz stojąc przed tym rzędem książeczek w szarych okładkach - Ty, aktywny niegdyś datałacz "Solidarności"?*

- Ja sobie stawiam pytanie, co jest w tych książkach, czy są one dla mnie nadal żywe. I myślę, że takie pytanie stawia sobie każdy, kto przez kilka lat pobytu za granicą nabrał dystansu do tych spraw, które go kiedyś wpychały w kłopoty. Myślę, że każdy musi sobie zadać pytanie, na ile ta rzeczywistość jest mu bliska i na ile treść tych książek o tej rzeczywistości stanowi.

- *Stoimy przed stoiskiem reklamującym książkę Lecha Wałęsy. Czy mógłbyś skomentować fakt wydania tej pozycji w RFN?*

- Powiedziałbym tak: wydanie tej książki - w moim przekonaniu - jest sygnałem skierowanym do pewnych grup czy sfer opinii publicznej na Zachodzie. Ma być sygnałem przypominającym, że istnieje ktoś taki, czy coś takiego na Wschodzie, co może zaważyć na historii Europy. Książka mówi wyraźnie, iż Wałęsa nie jest dziełem przypadku, ale jest wynikiem działań pewnych politycznych konsekwencji. również z tego powodu jest osobą polityczną. I teraz książka ta będzie mówiła kilkoma językami, że istnieje w Polsce człowiek, z którym winno się liczyć. Ta publikacja jest jakby potwierdzeniem, że w oczach Zachodu Wałęsa jest nadal reprezentantem polskiego społeczeństwa. Tym samym jest to również sygnał dla rządu warszawskiego, rodzaj przynaglenia, aby tę kwestię jak najszybciej rozwiązać. I to rozwiązać nie w taki sposób, jak Gorbaczow potraktował Sacharowa tzn. nie godnościami czy zaproszeniem na konferencję. Ta książka mówi, że trzeba uznać pozycję polskiego społeczeństwa.

Opracował ANDRZEJ WIERNIKOWSKI

NASI ULUBIENICY

(RUBRYKA NA SPECJALNYCH PRAWACH)

prof. Maciej Giertych -
Wypowiedź dla Radia
Watykańskiego

Sytuacja w Polsce obecnie bardzo różni się od tego, czegośmy doświadczali przez większość okresu powojennego. Znajdujemy się pod naporem przeróżnych zagrożeń, ale również mamy nowe możliwości. Oczywiście ciągle znajdujemy się pod naporem ideologii marksistowskiej. Jest to doktryna nauczana w szkołach, a szczególnie na uniwersytetach każdy student poddawany jest tej indoktrynacji. Jest prawdą, że naród polski wykazuje duży opór wobec tej ideologii. Nauczyliśmy się nią nie przejmować. Mało który student przykłada się do przedmiotów politycznych, a po egzaminie każdy stara się wyklute treści zapomnieć. Tym niemniej zawsze coś w duszy zostaje. Trzeba jednak przyznać, że ostatnio znacznie zmalał nacisk ideologiczny. Zmiany, jakie zachodzą w naszym bloku, przesuwają akcent z więzi ideologicznych na wspólnotę interesów praktycznych. Widzę w tym nadzieję dla Polski. Jak mało kiedy w dziejach Rosja jest dzisiaj zainteresowana w tym, by Polska była silna. Powinniśmy to wykorzystać.

Z drugiej strony odczuwamy nacisk marksizmu z zupełnie innego źródła, a mianowicie z trockizmu. Poprzez różne ruchy lewackie, lewicę laicką czy wręcz lewicę katolicką plyną do nas poglądy lewicowe z Zachodu. Właśnie ze względu na kierunek pochodzenia jesteśmy na te poglądy mniej odporni i wpływy ich rosną. Wyraża się to w dążeniu do innego socjalizmu, tzw. socjalizmu z ludzką twarzą, który niemniej jednak pozostaje marksistowski, a w istocie swojej jest bardziej destrukcyjny, bo posługuje się permanentną rewolucją jako drogą do zmian. My oczywiście chcemy zmian, ale zmian na lepsze, a nie byle jakich. Podstawowe niebezpieczeństwo leży w tym, że ruch ten próbuje zmobilizować Kościół do swoich celów. Jest to swego rodzaju teologia wyzwolenia, mająca na celu upolitycznienie Kościoła i wykorzystanie jego siły i opozycyjności wobec panującego ustroju, do celów nie mających z religią katolicką nic wspólnego. Potrzebując Kościoła, ruch ten nie ujawnia w pełni swego oblicza.

Z Zachodu docierają do nas i inne niebezpieczne prądy, które można by ogólnie określić mianem sekularyzmu. Dotarła do nas moda na hedonizm, na indyferentyzm religijny, na konsumizm. Próbuje się dogonić zachodnią stopę konsumpcyjną, nie osiągnąwszy wpiery zachodniej stopy produkcyjnej. To zaprzalenie w zachodni styl życia wyraża się m.in. w marzeniu o wyjeździe na Zachód. Tysiące młodych, często wysoko wykształconych ludzi opuszczają Polskę, pozwalając, by kraje o malejącej proporcji ludności białej traktowały Polaków jako zastrzyk reszoty.

Niektóre antychrześcijańskie prądy z Zachodu znajdują u nas poparcie władz. Zostaliśmy niedawno zaskoczeni tym, że dzieciom w wieku lat 15 rozdano w szkołach podręcznik pornograficzny, traktujący rzekomo o przygotowaniu do życia w rodzinie. Wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości proponuje się młodzieży wczesne rozpoczęcie życia płciowego i w szczególności poleca się, jak to robić. Jest to w sposób oczywisty rezultat działania zorganizowanych sił antychrześcijańskich, mających swoje ośrodki dyspozycyjne na Zachodzie, a nie w Moskwie. Celem tych sił jest niszczenie wartości tradycyjnych.

Trzeba też wspomnieć, że odczuwamy obecnie napór obcych nam religii. Mnóżą się sekty, które w Polsce funkcjonują. Pojawia się synkretyzm, próby niwelowania różnic pomiędzy religiami, stawiania ich na równi. Do sekt trafia najlepszy element, ludzie myślicy, poszukujący. Czasem im w katolicyzmie zabrakło, czy to zgodności doktryny z praktyką, czy to misterium, czy wreszcie świadomości, że katolicyzm to religia jedynie prawdziwa. Równoległe ze wzrostem tych zagrożeń pojawiły się w Polsce nowe możliwości dla pracy duszpasterskiej. /.../

Oczywiście są też i niebezpieczeństwa. Jednym z nich jest nadmierne upolitycznienie Kościoła. Wielu chciałoby, żeby Kościół nieśt standard opozycji wobec władzy i taki widzą sens swojej wzrośniętej działalności w Kościele. Tymczasem sądzaniem ludzi świeckich jest nieść naukę Kościoła w życie cywilne, rodzinne, zawodowe, związkowe, polityczne itd. Czyli świadczyć swoją katolicyścią w świecie. To samo dotyczy kultury. Bardzo dobrze, że ludzie kultury przyłączyli się do Kościoła. Chy jak najwięcej czuło się obecność nauki Kościoła w ich twórczości. Z drugiej strony jednak nie można traktować Kościoła jako dodatkowej sceny. Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej, nowe i ciekawe zjawisko naszych czasów, o tyle mają sens, o ile niosą kulturę i myśl chrześcijańską do ludzi, do odbiorców. Musi ona jednak być autentycznie chrześcijańska. Stąd niepokoi fakt, że niekiedy w ramach tych Tygodni dopuszcza się do występowań w kościele osoby, które deklarują się jako ateści.

Innym niebezpieczeństwem jest tryumfalizm. /.../

Bardzo pozytywnym zjawiskiem ostatnich czasów jest wzrost działalności publicystycznej. Przez lata całe, oprócz prasy partyjnej, mieliśmy jedynie dwa koncesjonowane środowiska, którym wolno było prezentować swoją publicystykę: PAK i ZNAK z Tygodnikiem Powstalczym. Dzisiaj różnorodność prasy niezmiernie wzrosła. Właścicielem oprócz kierunku narodowego wszystkie przedkierunki polityczne mają w PRL jakąś swoją prasę. Wzrosła również liczba pism kościelnych. Do tego dodać trzeba, że mamy bogatą publicystykę tzw. drugiego obiegu, która działa bez cenzury, a ma całkiem szeroki zasięg. W tym drugim obiegu ukazują się również sporo książek, przedruków wydawnictw emigracyjnych i przedwojennych. Zwiększa też cenzura pocztowa, stąd też dużo więcej publikacji emigracyjnych do nas dociera. W sumie stwarza to dużo bogatsze życie publicystyczne. /.../

OMÓWIENIA

Książka specyficznie nieobecna

Po wielu latach od powstania trafia do rąk polskiego czytelnika książka Poppera "Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie".* Z tego faktu nie należy wnosić, iż książka ta była dotąd całkiem nieobecna w Polsce, nie znajdowała miejsca w myśli polskich filozofów, w świadomości polskiej intelektualnej publiczności, w polskich sporach. Przeciwnie. Można mówić o pewnej osobliwej recepcji, a nawet rozgłosie, który zdobyła. Osobliwość tej recepcji leży w tym, że poprzedzała ona lekturę. Recepcja przed lekturą /czasem wręcz bez lektury/ nie jest w Polsce zresztą czymś wyjątkowym. Myślę zresztą, że nie tylko w Polsce, a wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z prowincjonalizmem, który swoją prowincjonalność usiłuje zamaskować pogonią za modnymi nowinkami. Mało kto czytał sartrowskie "L'Étre et le néant", a wielu o tej książce Adorna, Horkheimera, czy Marcusego były przedmiotem zażartych dyskusji. Ale w zestawieniu książki Poppera z innymi, o których tu mowa, ujawnia się pewien kontrast. Gdyby przełożono teraz główne dzieło Sartre'a, niewiele znalazłoby czytelników. Adorna "Dialektyka negatywna" doczekała się przekładu i bardzo niewielu czytelników, a między tymi większość obcowała już z oryginalnym tekstem. To, że "Społeczeństwo otwarte" znajdzie czytelników nie wydaje mi się wątpliwe, a jeśli ktoś miałby nawet wątpliwości, nietrudno byłoby je rozproszyć, wskazując na tempo, w którym książka znajduje nabywców. Ale warte zastanowienia wydaje się porównanie przewidywanego odbioru tego dzieła z dotychczasową "recepcją". Dotąd powszechniej znano się książkę Poppera z omówień z drugiej ręki, z krytyk marksistowskich egzegetów /a jakże, plany oficjalnego wydania książki dwukrotnie podejmowane chybiały z powodu braku oficjalnej zgody, ale krytyk z pozycji marksistowskich znaleźć można w druku kilka/, wreszcie z mozołnie czytanych w obcym języku wyników obszernego przecieź dzieła. Panowała o nim raczej zgodnie brzmiąca opinia, że jest to wnikliwe, krytyczne studium totalitarnego myślenia, rozbijające w puch jakiegokolwiek teoretyczne legitymacje jedynie słusznego modelu "przodującego ustroju" i w równie przekonujący sposób gruntujące fundamentalne wartości zachodnich demokracji

Karl Rajmund Popper, Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1987. Przekład: Tadeusz Korczyński.

i kapitalistycznego ładu ekonomicznego. Konfrontacja tego przeświadczenia z lekturą książki, pisanej przecież czterdzieści kilka lat temu w kompletnie innych realiach politycznych, społecznych i intelektualnych, może prowadzić do rozczarowania.

Dzieło Poppera ma bowiem swoje wady, które rozczarowywać mogą czytelnika sięgającego po książkę, która ma już swoją legendę "młota na totalitarystów". Wady te zawdzięcza częściowo pewnej swojej anachroniczności spowodowanej tak dużym dystansem czasowym pomiędzy powstaniem a tłumaczeniem. Popper pisał "Społeczeństwo otwarte" w czasie, kiedy inaczej traktowano ideologię, a w szczególności marksizm. Nie mało ludzi, w tym znaczna część intelektualistów, traktowało go serio. Był nie tylko legitymacją opresywnych rządów, lecz także nadzieją i obietnicą dla wielu. Praktyczna lekcja komunizmu znana była wszystkim obywatelom największego państwa świata, ale nauki z tej lekcji wzdragała się przyjąć ci, którym edukacja nie znaczyła grzbitów śladami ran i blizn. Nie były też znane niebezpieczeństwa ingerencji państwa kapitalistycznego, powodowanej szlachetną intencją, stania się państwem opiekuńczym, w ekonomiczną grę wolnego rynku. Tym tłumaczyć się może, nie dość radykalne, niewystarczająco mocne w słowach, acz zasadniczo krytyczne odniesienie się Poppera do marksizmu. Tym też tłumaczy się zapewne jego koncepcja stopniowej inżynierii społecznej i interwencji państwa w interesie słabszych i przesuwanie ich argumentów, traktowanie serio ideologii, której nikt - włączając dygnitarzy i ideologów komunistycznego państwa - nie traktuje dziś poważnie. Czytelnik ten wie, że marksistowska doktryna jest nieścisła i nie potrzebuje argumentów filozoficznych, wystarczy mu zatłoczony tramwaj, kolejka po papier toaletowy i dający się zauważyć ogólny brak wszystkiego.

Co gorsza, książka posiada wady nie dające się usprawiedliwić czasem, w którym powstała. Są one na domiar złego dość poważne. Nie sposób ukrywać, że Popper podchodzi do materiału historycznego, z którego książkę buduje, z ogromną dezynwolturą przerażającą się momentami w nierzetelność. Naciąga materiały źródłowe do swojej, z góry powziętej, tezy. Nie przynosi mu to chluby, a co więcej jest w jaskrawej niezgodzie z podstawowymi założeniami metodologicznymi, które wyznaje w tej i innych pracach. Szczególnie ostro rysuje się to w odniesieniu do antycznych filozofów, którym poświęca niemalą część swojej pracy. Poza Platonem, którego poglądy i ich krytyka przedstawione są szeroko i w miarę rzetelnie argumentowane /choć specjaliści i tu znajdują wiele uchybień/, inni starożytni myśliciele przedstawiani i klasyfikowani są raczej ze względu na sympatie i antypatie Poppera. Heraklit, Arystoteles, Hezjod mimo wszystkich różnic dzielących ich od siebie nawzajem i od Platona - głównego oskarżonego w tej sprawie, okazują się być zwolennikami społeczeństwa zamkniętego, a więc protoplastami dzisiejszych totalistów /Arystoteles z bliżej niezrozumiałych powodów okazuje się nawet bezpośrednim poprzednikiem Hegla/. Demokryt, sofisci // „Sokrates przeciwstawiali się, jak wywodzi /dość niefrasobliwie/ Popper, społeczeństwu zamkniętemu i byli bojownikami społeczeństwa otwartego. Można jeszcze - o zgrozo! - przypisywać autorowi "Społeczeństwa otwartego" popadanie w sprzeczność. Zwłaszcza w ostatnim rozdziale tej książki Popper bardzo często przypisuje różnym myślicielom błąd historyczny. Wystarczy znaleźć w historii jakiś określony sens, jakąś tendencję, aby narazić się na ten zarzut, a za nim na drugącołą krytykę /daleko precyzyjniej opisaną w "Nędzy historyczny"/. Tymczasem Popper, przynajmniej jako autor pierwszego tomu omawianego dzieła, niewątpliwie znajduje tendencję historyczną i w jego przekonaniu jest nią zmaganie się trybalizmu ze społeczeństwem otwartym. Znaleźć można i inne wady - pochodne założenia /należy tu np. przyjęcie ostrego przeciwieństwa rozum - tradycja/, a wreszcie artykulacja swoich tez w tonie niezwykle autorytatywnym i napastliwym.

Być może należałoby zatem uznać "Społeczeństwo otwarte" za książkę złą i ostrzec potencjalnych czytelników od jej lektury? Moim zdaniem nie. I to nie tylko dlatego, że książki, które wpisały się w klasykę - a książka Poppera taką jest na pewno - należy czytać, nawet jeśli uważamy, że książka nie jest dobra. Książka, o której mowa, posiada bowiem zalety z nadciatkami równoważące wszystkie wskazywane wady.

Pierwszą z tych ewidentnych zalet jest podniesienie i obrona wartości, których nikt poczuwający się do schedy zachodniej kultury lekceważyć nie może. Najważniejszymi z tych wartości są: wolność polityczna jednostki pomiędzy innymi, również wolnymi jednostkami, nadrzędność tej wolności wobec wszystkich innych wartości, wobec zakusów czyhających na nią molochów - państwa, kolektywów czy historii, sprzeżona z

wolnością odpowiedzialność jednostki za wszelkie podejmowane decyzje, równość wobec prawa i instytucji wszystkich poszczególnych ludzi w tej mierze, w jakiej sprzyja to ich wolności, wreszcie suwerenność i kreatywność indywidualów wobec wszelkich instytucji. Rozwijając te wartości i ich konsekwencje w całą przestrzeń teoretycznych uwarunkowań, czyni zaś Popper rodzaj probierza, testu dla myśli filozoficznej. Niezależnie od tego, w jakiej mierze trafne są popperowskie rekonstrukcje myśli omawianych przezeń filozofów, ważne jest to, że zawsze poddawane są temu właśnie testowi.

Inną doniosłą zaletą książki jest znalezienie dla tego konceptu fundamentu. Popper znajduje go w racjonalności. I nie zadowala się - jak często w tradycji myślowej bywało - samym zawołaniem. Szczegółowo określa charakterystyki tej racjonalności. Przeciwstawia ją innym postawom, już to podającym się również za racjonalizm, już to irracjonalizm. Postawa Poppera niewiele ma wspólnego z popatycznością marksistów, którzy znalazłszy dla swych teorii właściwy przymiotnik: naukowy /socjalizm/ - czują się zwolnieni od obowiązku krytyki własnych założeń i rozumowań. W ujęciu Poppera racjonalizm prawdziwy - w odróżnieniu od fałszywego, będącego "pyszczatkową wiarą w wyższość własnych walorów intelektualnych, dążeniem do wtajemniczenia, do wiezary pemej i autorytarnej" jest racjonalizmem krytycznym. Krytyczny racjonalizm "to gotowość do ważnego przyznania krytycznej myśli i do uczenia się z doświadczeń. Jest to postawa gotowości do uznania, że »ja mogę się mylić, ty możesz mieć rację i wspólnym wysiłkiem możemy zbliżyć się do prawdy«". Krytyczny racjonalizm przyjmuje, że sensownymi teoriami są tylko te, które w wyobraźnym ruchu myśli możliwe są do obalenia. Jego nieufność wobec myśli, które nie wydają się w żaden sposób fałszyfikowalne, każe mu odrzucać je jako niestosowne, nienaukowe, nieracjonalne wreszcie. Świadomie płaci za to wysoką cenę - wszak okazuje się, że sam postulat krytycznego racjonalizmu nie jest w jego rozumieniu racjonalnym. Nie da się przecież obalić za pomocą żadnego testu opcji za rozumem krytycznym raczej, niż przeciw niemu. Popper jasno wyznaje, że to zasadnicze rozstrzygnięcie musi być kwestią wyboru, ostatecznie opartego na wierze. Nie jest to wszelako cena zbyt wysoka, jeśli udaje się za nią - a przekonany jestem, że tak jest rzeczywiście - ugruntować wartości naczelne, o których mowa była wyżej.

Omówienie książki tak ważnej z pewnością powinno być potraktowane bardziej serio. Jeżeli pozwoliłem sobie pisać tak lekko i bardzo przecież pobieżnie, to tylko dlatego, że czytelnik, który znalazł się już w posiadaniu wydanego w serii Biblioteki Krytyki "Społeczeństwa..." odszuka w niej wprowadzający esej pióra Leszka Kołakowskiego /drukowany już wcześniej/ i gruntowne postowie autorstwa Klemensa Szaniawskiego. Mogłem sobie więc pozwolić na kilka nie całkiem zobowiązujących zdań, a nie stać by mnie było na poważniejszy tekst - kto bowiem ośmieliłby się zagrać przy Jankielu.

Zanim skończę, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na bardzo dobrą robotę edytorską wszystkich, którzy do wydania tej pozycji się przyczynili. Najpierw bardzo dobre tłumaczenie - co, niestety, nie jest regułą w drugim obiegu /w pierwszym oczywiście też nie zawsze/, potem dobrane wspomnianych testów: wprowadzenia i postowia, wreszcie staranna, przynajmniej jak na możliwości podziemia, korekta.

S.L.

„Widnokrąg”

Bohdan Cywiński, autor głośnych "Rodowodów niepokornych" - książki, która odegrała sporą rolę w formowaniu się stylu myślenia i działania niektórych /zwłaszcza młodszych wieków/ środowisk opozycji demokratycznej lat 70. - redaktor naczelny miesięcznika ZNAK, wreszcie zastępca redaktora naczelnego "Tygodnika Solidarność", a więc człowiek mocno zaangażowany w polskie niezależne życie publiczne, przebywał służbowo poza Polską, gdy ogłoszono stan wojenny. Do kraju nie powrócił, osiadł w Szwajcarii, gdzie podjął starania o stworzenie kolejnego wolnego polskiego pisma - kwartalnika WIDNOKRĄG. Pierwszy jego numer ukazał się z metryczką: "Bazylea-Warszawa-Londyn, zima 1986" oraz adnotacją: "Kwartalnik ukazuje się w językach: polskim i angielskim" /nie figuruje już jednak ona w zeszytach 3/4 i 5/.

Tradycyjnym zwyczajem pierwszy numer "Widnokręgu" otwiera redaktorska deklaracja. Bohdan Cywiński jawi się w niej jako zaprzysięgły zwolennik idei "Solidarności". Ruch "S" uważa za zjawisko bezprecedensowe i nowatorskie, dopatrując się w nim podjętej po raz pierwszy w dziejach próby wydzwignięcia się społeczeństwa, które doświadczyło na sobie czterdziestu lat komunizmu, spod jego dyktatu. Cywiński określa ów prąd społeczny mianem "postkomunistycznego", dodając, że choć "skierowany jest przeciwko komunizmowi", to jednak jest "całkowicie różny od tradycyjnego antykomunizmu!" na Zachodzie. Momentem różniącym jest właśnie owo "niezmiernie ciężkie doświadczenie życia w systemie komunistycznym". Skłonny jest przy tym rozciągać ową "postkomunistyczną" świadomość na szerokie kręgi społeczeństwa polskiego, choć daje do zrozumienia, że wie o istnieniu grup i środowisk społecznych aprobujących obecny kształt ustrojowy i wynikające zeń praktyki.

W innym, ściślej politycznym, fragmencie redaktorskiego "wyznania wiary" odrzuca Bohdan Cywiński schemat pojęciowy lewica - prawica. Po czterdziestu latach doświadczenia życia w komunizmie kategorie te mogą mieć bowiem znaczenie wyłącznie "historyczne".

Bohdan Cywiński interesuje się dziejami Kościoła katolickiego w Europie Środkowo-wschodniej. Owocem tych zainteresowań jest bardzo ciekawa książka "Ogniem próbowane". Nic więc dziwnego, że pragnie w swym piśmie publikować materiały również z tej dziedziny. Byłoby to zresztą cennym wkładem "Widnokręgu" do polskiego niezależnego życia umysłowego, bo tematyka kościelna czy szerzej religijna jest tu rzadko podejmowana inaczej niż w kategoriach czysto politycznych. W pięciu pierwszych numerach kwartalnika, jakimi dysponuję, można przeczytać 3 artykuły z tej dziedziny, z których najciekawszy wydał mi się szkic Patricka de Laubiera pt. "Kościół na Zachodzie A.D. 1986". Przedstawiając uczciwie skalę masowego odchodzenia od Kościoła - i w ogóle od katolicyzmu - autor podkreśla, że należy zachować ostrożność w określaniu tego zjawiska mianem "kryzysu". Obok deprymujących danych statystycznych można bowiem zaobserwować czynniki odnowy i autentyczne, dynamicznie rozwijające się życie religijne, zwłaszcza typu wspólnotowego. W samej Francji powstały w ostatnich latach 3 nowe wspólnoty zakonne, wyrosło z poszukiwań form religijności odpowiadających wyzwaniom obecnych czasów. Patrick de Laubier sugeruje, by używać raczej terminu "dramat" - dramat wyrażający się w trudności podjęcia decyzji o "wyborze dóbr zorientowanych ku życiu wiecznemu."

"Opcję preferencyjną" na rzecz "Solidarności" urzeczywistnia "Widnokrąg" konsekwentnie: każdy zeszyt przynosi materiały dotyczące tego ruchu, jego historii i współczesności, a także materiały traktujące o problematyce związkowej w szerszej perspektywie. Ambicją "Widnokręgu" jest bowiem spełnianie funkcji swego rodzaju mostu łączącego Polskę ze światem; Bohdan Cywiński akcentując zakładane przez "Widnokrąg" współmyślenie i współdziałanie Kraju i Emigracji, stwierdza otwarcie, że "stać /czyli z Zachodu/ trudno dojrzeć Polskę, z Polski - nie objęty komunistyczną władzą świat". Cywiński podkreśla przy tym, że ów "świat", który niełatwo dojrzeć z Polski, to przede wszystkim kraje Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej - ich specyficzne doświadczenie w tworzeniu własnego modelu życia społecznego, politycznego i gospodarczego. Niedocenianie tej problematyki w Polsce wynika, jego zdaniem, z silnie u nas zakorzenionego "europocentryzmu". Ta "deformacja" skutkuje nieumiejętnością poważnego traktowania spraw Trzeciego Świata i brakiem powszechnej świadomości, że są na świecie systemy bardziej represyjne niż komunizm w jego obecnej postaci.

W rozmowie ogłoszonej w 1 numerze "Widnokręgu" na temat "Związków, świat współczesny i doświadczenie" Dominique Agussy wyraża pogląd, że tradycyjna formuła ruchu związkowego jest anachronizmem, dziś bowiem na całym świecie oczekuje się odeń nie tylko obrony praw pracowniczych, lecz i "wpływania na rozwój społeczeństwa". Ruch związkowy w Euro-

pie Zachodniej utracił jej zdaniem charakter ludowy - między działaczami związkowymi a masami społecznymi otworzyła się przepaść. Treścią demokracji - uważa Aguessy - jest "społeczne uczestnictwo", a tego można się nauczyć właśnie w ruchu związkowym. Stąd wielki "odświeżenie" "S" w krajach Trzeciego Świata - wizja ruchu związkowego jako motoru przemian społecznych. Uczestniczący w tej samej rozmowie Jan Kulakowski - sekretarz generalny Światowej Konfederacji Pracy - stawia kropkę nad i, stwierdzając: "/.../ ruch związkowy zachodzi właściwie" »S« popiera, ale specjalnie nie sądzi, że »S« może mu wiele przynieść. Mówiono: »S« to bardzo dobra rzecz, no, oczywiście w kraju Europy wschodniej, adomianowanym przez komunistów /.../. Mamy dobry ruch związkowy, pomożemy im działać jak trzeba. /.../ Ale nasi przyjaciele z krajów Trzeciego Świata powiedzieli inaczej: »S« jest to doświadczenie, które stulecie nam będzie w naszych walkach /.../. A osobiście uważam, że »S« mogła i jest nadal w stanie pomóc zachodniemu ruchowi związkowemu w debiurokratyzacji i w podjęciu pewnych wyzwań." Dominique Aguessy dodaje jeszcze: "My /.../ - ludzie z Trzeciego Świata - przeżyliśmy doświadczenie »S« jako spójną i globalną propozycję, jako alternatywę społeczną we wszystkich dziedzinach: politycznej, ekonomicznej, społecznej, kulturalnej i religijnej. Wymiar duchowy, religijny jest dla nas bardzo ważny. Przeżyliśmy to jako alternatywę, a w Europie Zachodniej nie chciano otworzyć nad tym dyskusji. Dlaczego? Dlatego, że związki zawodowe są tu współnikami biurokratycznego państwa opiekuńczego, zaakceptowały one ten stan rzeczy i nazywały go zdobyciami społecznymi. I tego bronią. Bronią takiej koncepcji państwa, bronią właściwie własnej pozycji przywódców związkowych. Ale dla nas... my to przeżywamy jako uciek ideologiczny /.../ W Stanach Zjednoczonych rozmawiałam często z przyjacielami, z ludźmi z AFPCIO. /.../ uświadomiliśmy, że ten problem przed nami stoi i że dla ruchu związkowego jest to punkt, od którego nie ma odwrotu." »S« postawiła pytanie o współczesny sens ruchu związkowego /.../".

O ile omówione powyżej materiały istotnie pobudzają do namysłu (nie zamierzam w tym miejscu podejmować polemiki ze zreferowanymi poglądami, choć tyłoby się o co spierać), o tyle sprawie "lepszego dojrzenia" świata wolnego od komunizmu mniej służą publikacje w rodzaju artykułu Starostawa Czaplifskiego /"Widnokrąg Ameryki Łacińskiej widziany z Boliwii"/. Autor, mieszkający w La Paz, nawarł w nim wiele z pewnością interesujących i prawdziwych informacji na temat sytuacji polityczno-społecznej Ameryki Łacińskiej, owej - jak sam pisze - "klasy średniej Trzeciego Świata". Nigdy bowiem dosłownie przypomina, że Latynosi są antyamerykańscy i że Stary Zjednoczone popełniły w swej polityce wobec Ameryki Południowej wiele grubych błędów. Polacy interesujący się polityką międzynarodową zbyt często skłonni są te fakty ignorować. Nie oznacza to jednak, by musieli oni od razu zaakceptować hurtem sposób, w jaki Autor przedstawia sytuację w Argentynie lub na Kubie. Wątek kubański znalazł zresztą należyta odprawę w liście do redakcji nadesłanym przez Irenę Lasotę. Nawet tu, w Polsce, jest bowiem rzeczą oczywistą, że manipulacje statystyczne, jakich dopuszcza się reżim Fidela Castro - chodzi przede wszystkim o lansowanie tezy, że dopiero "rewolucja kubańska" zlikwidowała analfabetyzm i zdecydowanie podniosła poziom zdrowotny Kubańczyków, co samo przez się wystarcza do jego legitymizacji - nie są w stanie przesłonić brutalnego charakteru castrowskiego totalitaryzmu.

Trzecim nurtem tematycznym często pojawiającym się w "Widnokręgu" - znów zgodnie z wstępną deklaracją odredaktorską - są sprawy naszych sąsiadów. Bohdan Cywiński na siłą przypomina, że lubimy zapominać, iż jesteśmy jednym z wielu uciemięzonych i walczących o swe prawa narodów oraz że problematyka krajów bezpośrednio z nami sąsiadujących bywa u nas lekceważona. W pierwszych pięciu zeszytach "Widnokręgu" punkt ciężkości spoczywa na sprawach ukraińskich; pismo przedrukowuje na przykład materiały z artykuły dotyczącej stosunków polsko-ukraińskich, przepisanej przez ukraiński emigracyjny kwartalnik "Widnowa".

Numer piąty /Zima 1987/ przynosi głosy ze "spotkania Czechów i Słowaków z kraju i zagranicy u wyśnionego jednego stołu", zredagowane przez Jana Tesarę. Pytanie o źródła siły polskiego ruchu oporu przeciwko totalitaryzmowi /tytułowe "W czym je siła Polaków"/ uznaje pierwszy z rozmówców - wszyscy uczestnicy dyskusji są anonimowi, sygnowani jedynie inicjałami - za "najbardziej aktualne zagadnienie, stojące przed całą naszą emigracyjną publicystyką". Na owo zasadnicze pytanie czeskie i słowackie środowiska niezależne /krajowe i emigracyjne/ udzielają trzech głównych odpowiedzi: 1/ źródłem owej "siły Polaków" jest klasa robotnicza i jej powiązania z inteligencją; 2/ jest nią "katolicka gorliwość boleśnie kontrastująca z bezbożnością Czechów i letniością religijną Słowaków" oraz 3/ ograniczona zdolność reżimu warszawskiego do dialogu ze społeczeństwem. Między zwolennikami owych trzech wyjaśnień brak jednak dyskusji.

Niezależni publicyści czeszy i słowaccy podkreślają często znaczenie więzi pomiędzy polskimi robotnikami i inteligencją, zapominając przy tym, że czeska - a zwłaszcza słow-

wacka - klasa robotnicza była tradycyjnie w najlepszym razie politycznie neutralna. Podczas puczu komunistów w roku 1948 była nawet ich podporą. Wszystkie doniosłe wydarzenia w historii Czechosłowacji były dziełem inteligencji. Postawa typowego czeskiego współczesnego intelektualisty czy inteligenta przypomina z kolei "postawę żydowsko-niemieckiej inteligencji austriackiej z przełomu wieków" /koniec cywilizacji, nihilizm/. Inteligencja słowacka - trzymająca się dobrze aż do lat 60. - popadła zaś w bierność. Inteligencja nie jest dziś - konkluduje dyskutant - w Czechosłowacji wewnętrznie gotowa do nawiązania więzi z robotnikami.

Katolicyzm czeski nie był nigdy nawet "cieniem" polskiego - brakuje mu przede wszystkim charakteru mesjanistycznego. "Ta rzeczywistość duchowa jest nam wprost nieprzekazywalna" i to właśnie ta idea byłaby skazana "na całkowitą dyskredytację" w duchowym klimacie Czechosłowacji. Istotne znaczenie ma tu historycznie przeszłość czeskiego Kościoła katolickiego /nie umiejącego wesprzeć walki o niezależne państwo/ i słowackiego /pomagającego nazistom w eksterminacji Żydów/ Opozycja katolicka o tym wszystkim milczy, nie dostarczając potrzeby redefiniowania czeskiego i słowackiego katolicyzmu. Inny uczestnik rozmowy dodaje, że poza rozdziałem ks. Tisy Kościół słowacki ma nadzwyczaj czcigodną tradycję walki o sprawę narodu i niepodległości i potrzeba nie tyle "redefinicji", ile uświadomienia sobie autentycznych korzeni.

Chrześcijańskie "podziemie" ma w Czechosłowacji charakter wybitnie "antypolityczny", troszczy się o odrodzenie duchowe i moralne w przeświadczeniu, że "polityka rozmija się z tym ideałem". Katolicyzm upolityczniony nie znajdzie w tym środowisku aprobaty.

Jeden z dyskutantów wysuwa tezę, że źródłem siły oporu polskiego społeczeństwa jest "intensywny nacjonalizm", wskazując przy tym na sprzeczność, jaką natrafia w niezależnej publicystyce czeskiej piszącej o polskim Kościele jako gwarancie tożsamości narodowej, a równocześnie zwalczającej nacjonalizm czeski i słowacki.

Rozmówcy podkreślają brak łączności czeskiej elity twórczej z narodem. Zdaniem jednego z nich "pisarze czescy nie odzwierciedlają duszy narodu". Z "nihilistycznej produkcji książek typu Kundery", stanowiących "rzeczywisty przejaw rozkładu kultury" nie wynika jednak jeszcze, że cała czeska kultura jest w rozkładzie. Emigracyjna publicystyka, zorientowana socjalistycznie celowo wytwarza "odium" wokół tematyki "nacjonalistycznej". Inny z dyskutantów dystansuje się od tej opinii, twierdząc, że jakkolwiek nacjonalizm polski jest silną bronią Polaków, to nie oznacza to, iż nacjonalizm jest "rzeczywiście zjawiskiem postępowym". Konkluduje, że "europelizm" Karty 77 jest jednak "historycznie bardziej postępowy".

Za jedno z istotnych źródeł polskiego ruchu oporu uważa inny uczestnik jego demokratyczny pluralizm. W Czechosłowacji brak odpowiedników polskich prądów politycznych, istotną rolę spełniają natomiast miejscowi eurokomuniści, czyli komunistyczni reformiści.

Kolejny dyskutant wskazuje na pożytek, jaki płynąłby z napisania dwóch biografii: Jacka Kuronia i Jarosława Šabaty. Ukazałyby one prawdopodobnie "nieporównywalność charakterów narodowych" obu krajów. Różnica między tymi działaczami społecznymi polega, zdaniem dyskutanta, na odmiennym sposobie przyjmowania obu tych ludzi przez ich narody. "Kuroni mówi o rewolucji i polskości. Czeszy eurokomuniści usmaliby go za niewłaściwego towarzysza, a wszyscy inni może by się z tym zgodzili ze względu na tolerancję dla eurokomunistów. Tak właśnie zdarzyło się w Czechosłowacji z Šabatą. Kuroni od 20 lat nadaje profil polskiej opozycji - a Šabata zawsze był jakimś enfant terrible eurokomunistów czeskich /.../ Dlaczego się u nas szanuje i uważa za odpowiednich jedynie tych polityków czy pseudopolityków, których interesują tylko zmiany na Kremlu i którzy zbawienia oczekują z tamtej strony? /.../ stałe oglądanie się na spory o władzę w centrum imperium osłabia myślowo aktywność naszego własnego społeczeństwa /.../ W naszej konkretnej sytuacji owa monarchistyczna wiara w Gorbaczowa jest grzechem naszej słabości".

Odnotujmy na koniec - bo to wszak informacja znacząca - że wśród autorów goszczących w 5 pierwszych zeszytach "Widnokrepu" są między innymi: Zdzisław Najder, Krzysztof Pomian, Jacek Merkel, St. Jajłowiecki, Adam Stanowski, Tadeusz Mazowiecki /rozmowa o Październiku i początkach ruchu kłkowskiego/, Bronisław Geremek /wspomnienia z negocjacji sierpniowych w Stoczni, Gdańskiej/, Lew Kopelew i Wojciech Lamentowicz.

ADAM WAKSMAN

TUMANY i FETYSZE:

Naród się broni

Wczoraj Radio France Internationale nadało reportaż Marii Wiernikowskiej z lokalu Stowarzyszenia Kombatantów w Paryżu. Tam to odbyła się projekcja filmu Marcela Łozińskiego "Świadkowie". Film ten jest już i w Polsce dość głośny, mimo jego więcej niż skromnego zasięgu w kraju. Łoziński pokazuje w nim świadków pogromu Żydów w Kielcach w 1946 r. Relacje te przerażają takim stosunkiem do tego, co się stało, jakby się nic nie stało. Coś w rodzaju polskiego "Shoah".

I oto publiczność emigracyjna zebrana w siedzibie Stowarzyszenia Kombatantów o-
bejrząwszy film Łozińskiego, dzieli się swoimi wrażeniami z dziennikarką RFI. Słychać, że w sali zapanował tumult. Ludzie mówią głośno, są rozgorączkowani, a nawet przekrzykują się wzajemnie. Pani: Nieprawda, to tak nie było, robi się z nas wszystkich antyemitów /Pani nie chce, by ją nagrywano/. Pan: Wstyd i hańba, szkalowanie Narodu. Drugi Pan: Miałem kolegów-Żydów, siedzieliśmy w jednej ławce, a to no... to że nie pozwalano Żydom siadać w polskich ławkach, to było przecież reżyserowane przez władze wywiady.

Reportaż przepłatał tego rodzaju wypowiedzi głosami rozsądnymi. Nie wiadomo, jaka była w rzeczywistości proporcja jednych do drugich. Wiadomo, i to nie tylko ze Stowarzyszenia Kombatantów, że zawsze, kiedy pojawi się świadectwo, że Polakom kiedyś w historii zabrakło odwagi czy zwykłej przyzwoitości, natychmiast odzywa się gromki chór obrońców narodowej dumy usiłujący naszymi niewątpliwymi przecież ranami i przewagami zasłonić tamte niedostatki.

Wiele się w Polsce i w Polakach zmieniło w ciągu ostatnich 50 lat - raz na dobre, raz na złe. Poczucie narodowej dumy bez względu na fakty trwa w najlepsze.

KONRAD STRUGA

P.S. Ostatni numer Tygodnika Powszechnego /13/1988/ przynosi artykuł Teresy Kuczyńskiej pt. "Mniejsze zło?...", w którym autorka surowo ocenia sprawowanie przez Polaków-więźniów funkcji w niemieckich obozach koncentracyjnych. Przepowiadam w ciemno historyczną reakcję obrońców honoru narodu.
